

BOOK CARD

Please keep this card in
book pocket

ISMA-POSNIERTHE
PARTIAL

1 42 44 45 46 47 48 49 50 51 52 53 54 55 56 57 58 59 60 61 62 63 64 65 66 67 68 69 70 71 72 73 74 75 76 77 78 79 80



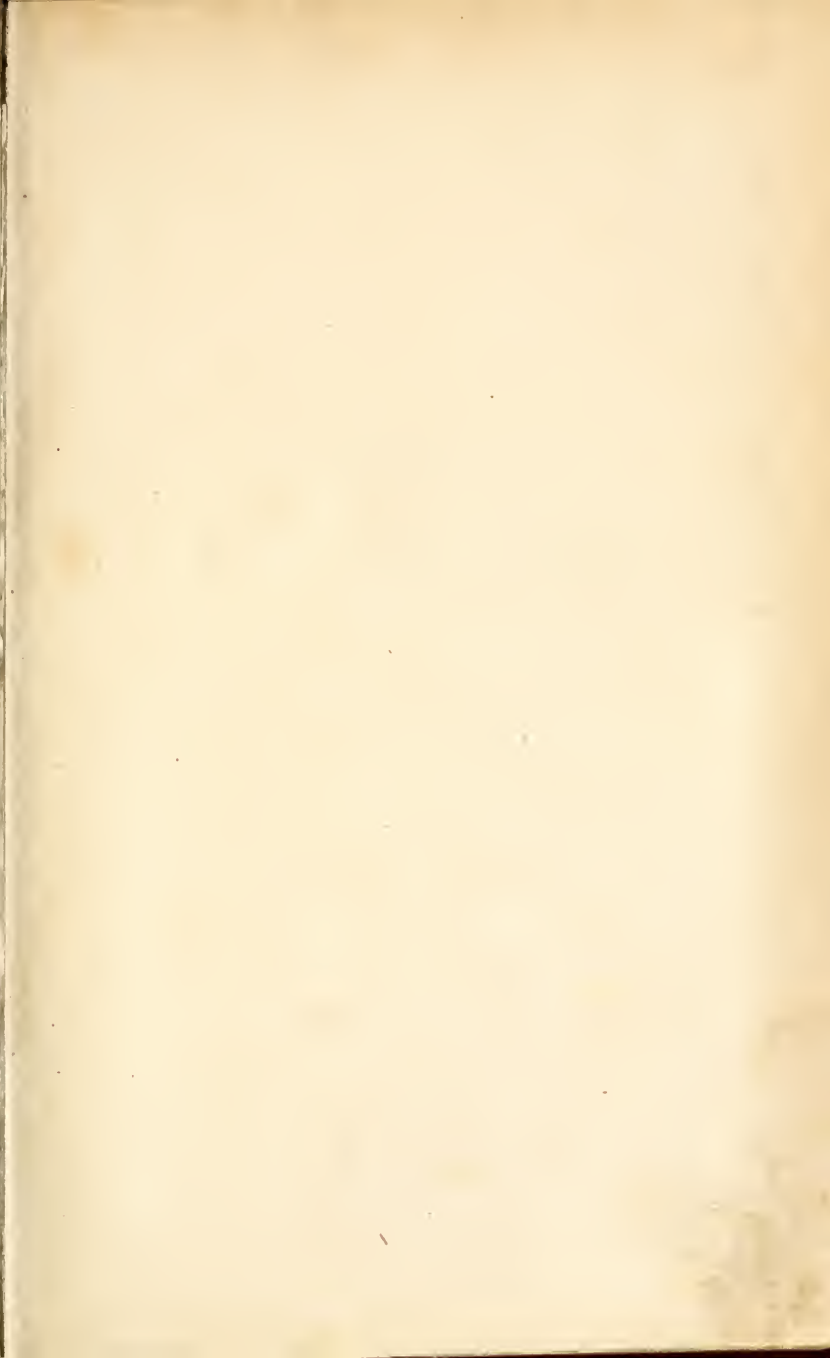
81 82 83 84 85 86 87 88 89 90 91 92 93 94 95 96 97 98 99 00

THE LIBRARY OF THE
UNIVERSITY OF
NORTH CAROLINA



ENDOWED BY THE
DIALECTIC AND PHILANTHROPIC
SOCIETIES

PG7158
.S6
1885
t.4



WYDAWNICTWA KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

	złr. ct.
Aër. Pierwszy romantyk, powieść	2.60
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3.—
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3.—
1) Pod pół księżycem. 2) Książę Sarmacyi. 3) Odwiedziny monar- sze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tułczyński. 6) Losy pięknej kobiety. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.	
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5.60
Belza, Wanda. Opera w czterech aktach	—.60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w oprawie	2 30
T. I. II. Krasieński Z. Pisma, wydanie z przedmowa Stan. hr. Tar- nowskiego, 2 tomy. — III. — VI. Mickiewicz Adam. Dzieła, wydanie zupełne, przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII.—X. Zale- ski B. Poezye, wydanie przejrzane przez autora. — XI. Pamięt- niki Paska. Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Wę- clewskiego. — XII. Niemcewicz J. Jan z Teczyna, powieść hi- stor. — XIII.—XVI. Słowacki Juliusz. Dzieła, wyd. przejr. przez prof. dra A. Małeckiego. — XVII.—XIX. El...y, (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. — XX.—XXII. Małeczki A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. J. Wybięcki. Pamiętniki. — XXIV.—XXV. Mickiewicz A. Dzieła. V. VI. — XXVI.—XXVIII. Mickiewicz A. Korespondencya, 3 t. — XXIX.—XXXI. Kitowicz X. Pamiętniki i pisma historyczne, 3 t. — XXXII.—XXXIII. Kitowicz X. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. — XXXIV.—XXXVII. Romanowski M., Pisma, 4 t. — XXXVIII. XXXIX. Słowacki J. Listy, 2 t., wy- danie II. znacznie pomnożone. Słowacki J. Pisma pośmiertne, 3 tomy, wydanie II. znacznie pomnożone.	
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2.40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2.40
— Nad modrym Dunajem, nowella	2.40
Bronikowski, Listy Jana III., króla polskiego, pisane do królowej Kazi- miry w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683	2.80
— Jan III. Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVIII. w., 2 t.	4.20
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2.40
El...y. Gałazka heliotropu, komedya	—.60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie	2.80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2.40
Kaczkowski K., gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831, wydał T. O. Orzechowski, 2 tomy	4.20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagielly	1.20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tomy	3.60
Kubała L. Dr. Szkice historyczne, dwie serye, każda po	3.40
— Jerzy Ossoliński, 2 tomy	6.80
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy	6.40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4.20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemińskiego	2.80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825	1.80
Monumenta historiae polonica. Pomniki dziejowe Polski, t. III. Wyda- nie nakład. Akademii Umiejętności	12.—
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2.20
Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku	1.80
Przyborowski W. Rubin wezyrski, powieść	1.80
— Ksieźniczka z Minsterbergu	1.50
Stadniecki K. Olgiard i Kiejstut, synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2.40
Sass Berlicz. Mozaika, gawędy szlacheckie, 2 tomy	3.80
Sewer. Bratnie dusze, powieść	2.40
Wilezyński A. Kłopoty starego komendanta, opowiadania, 3 tomy z illu- stracyami	5.40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy	4.20
— Medytacye kawalerskie	2.40
Wilkońska P. Na teraz, powieść	2.20
Wspomnienia Konstantego Wolickiego z czasów pobytu w cytadeli War- szawskiej i na Syberyi	2.40
Zieliński, August II. i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy	2.60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3.60

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

PG 7158

.56

1885

WYDANIE DRUGIE POMNOŻONE

t. 4

STARANIEM

DRA. ANTONIEGO MAŁECKIEGO.


TOM IV.

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

1885.



Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of North Carolina at Chapel Hill

A K T I.

Szopa wyprzedzona jak na zebranie koła rycerskiego. — Wchodzą: STAROŚCIC Z BARKU i TOWARZYSZ PANCERNY. — Słychać zdaleka śpiew konfederacki.

TOWARZYSZ.

Słyszysz pieśni, oto z pola
Rycerze nasi wracają.

STAROŚCIC.

Mam taką harfę Eola
W Anielinkach nad strumykiem;
Lecz jój struny tak nie grają
Z szumem liści, ze słowikiem,
Tęskno, dziko i żałośnie,
Jak ta pieśń, co w hymny rośnie.

TOWARZYSZ.

Wracają pełni zapału,
A ksiądz Marek, karmelita,
Ludziom błogosławi z wału.

STAROŚCIC.

Jak miło, gdy młodość rozkwita!
Gdy krwią biją wszystkie żyły,
Rzucić się pod sztandar boży,
Co w stepach z dawniej mogiły
Jak tęcza, którą na chmurach
Słońce gdzieś ojczyste tworzy,
Błyska i na złotych piórach
Dusze rycerskie unosi.
A ta pieśń, co Boga prosi
O łaskę, politowanie,
Taka miła — jak pieśń dziecka,
Rubaszna — jak pieśń szlachecka,

Święta — jak organów granie,
 A świeża — jako zaranie
 Przyszłych nadziei narodu,
 Tak trzęsie całą mieścina,
 Że bez żadnego powodu,
 Kiedy słucham, łzy mi płyną.

PIEŚŃ KONFEDERATÓW, za sceną.

Nigdy z królami nie będziem w aliansach,
 Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi,
 Bo u Chrystusa my na ordynansach,
 Słudzy Maryi.

Więc choć cię speka świat i zadrży słońce,
 Chociaż się chmury i morza nasrożą,
 Choćby na smokach wojska latające
 Nas nie zatrwożą.

Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami,
 Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce.
 Wszak, póki On był z naszymi ojcami,
 Byli zwycięsce!

Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
 Nie uklękniemy przed mocarzy władzą,
 Wiedząc, że nawet grobowce nas same
 Bogu oddadzą.

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
 I spać pójdziemy o wieczornój zorzy,
 Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
 I hufiec boży.

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
 I szedł na święte kraju werbowanie,
 Ten *de profundis* z ciemnego kurhanu
 Na trąbę wstanie.

Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
 Póki on z nami, całe piekła pękna!
 Ani ogniste smoki nas ustraszą,
 Ani ułękna.

Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
 Ani zhołdują żadne świata hołdy,
 Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
 Na jego żołdy.

STAROŚCIC.

Ponieśli dalej sztandary,
 Poszli dalej z bronią w rękę,
 A ta pieśń na fundum wiary,
 Anielskiego pełna jęku,
 Ściąga nam cudy, zjawienia,
 Przelotne niebios humory,
 Gwiazdy z grzywą, meteory,
 Nocne słońca, łby z płomienia,
 Szwadrony w zbrojach nieznanym,
 Po obłokach malowanych
 Idące truchtem i cwałem;
 A jak wczora sam widziałem,
 Będąc na straży w mieście,
 Pana, naszego obrońcę,
 Co siedmiomieczowe słońce
 Na serca jasnym rubinie
 Zapaliwszy, stał na chmurach.
 I nie sam świadczę o cudzie,
 Ale wszyscy moi ludzie,
 Wszyscy sztyldwasi na murach
 Widzieli ten wizerunek
Doloris, jak brał kierunek
 Ku wschodowi, świećąc miastu.
 Widać, że nasz okręt tonie,
 Że potrzeba mu balastu,
 Więcej szabel, więcej ducha,
 Więcej serca w naszym łonie,
 Bo ta wielka zawierucha
 Niebios wszystkich nas pochłonie.

TOWARZYSZ.

Ksiądz Marek wczoraj to z ducha
 Wytłómaczył na ambonie,
 Mówiąc o różnej pokusie.
 Miecze te, powiada, bólu,
 Bolące w Panu Jezusie,
 To są, gorsze od kłokolu,
 Wady na ojczystym polu,
 Z których boleść ma ojczyzna.
 Pierwszy miecz, co w niej usterka,

Mówił, jest to francuszczyzna,
 A drugi miecz, to szulerka,
 A trzeci, to kieszeń stratna,
 A czwarty, kobiéce rządy;
 Piąty, to sprzedajne sądy,
 A szósty, zawiść prywatna,
 A siódmy, zgniłe sumienie.
 Te wszystkie, mówił, ościenie
 W jedném sercu, co je mieści,
 Zatknięte ręką morderczą,
 Jako błyskawice sterczą;
 Jak słońce srebrne boleści,
 Słonecznik siedmio-mieczowy,
 Co ma w środku serce boże
 A na rękojeściach głowy
 Do panów naszych podobne.
 I znów o każdym upiorze,
 O każdym mieczu, magnacie,
 Mówił powieści osobne,
 Jak sędzia na majestacie,
 Sądzący zbrodnie czerwone...
 Potém kazał przed amboną
 Przynieść trumnicę z kościarza,
 I sam z ognistą powieką,
 Nogą odrzuciwszy wieko,
 Kiedy się pył ruszył z kości,
 Krzyknął: oto proch cmentarza,
 Który w żywych obecności
 Będzie sądzon, jak wy sami
 Kiedyś, nakryci trumnami,
 Przez lud będziecie sądzeni...
 Oto jest proch z trupa rdzeni!
 Oto jest jedna z piszczeli,
 Co może na karabeli
 Spoczywała do starości.
 Jeśli ty, mówił do kości,
 Z pod twojej rysiwój delii,
 Przy czytaniu ewangelii,
 Szabli dobyłaś na światy,
 Ręko, bądź błogosławiona!

Lecz jeśli wy, stare gnaty!
 Wy, spróchniałe dziś ramiona!
 Wy, drżące palców kosteczki!
 Dla jakiej prywatnej sprzeczki
 Dobyłyście z pochwów miecza,
 Chłopską porąbały chatę!
 Jeśli ty, ręko człowiecza,
 W sygnetach a krwią ociekła,
 Podpisywałaś utratę
 Naszych pogranicznych grodów,
 Jeśliś cały naród wlekła
 Za włosy w trumnę narodów
 I poiłaś go piołunem,
 Ręko hańby, idź do piekła!
 Rzekł i kością jak piorunem
 Uderzył z czarnej ambony
 Pomędzy lud przerażony,
 W sam środek szary motłochu,
 W sam środek czerni, szepcącój
 O tój kości latającój,
 O tym poruszonym prochu,
 O tym niespokojnym grobie.
 Aż ksiądz znowu ręce obie
 Zanurzywszy w trumny łonie,
 Czerepem się na ambonie
 I głową trupa oświecił.
 Czerep pacierzom polecił
 I ccił pogrzebową rzeczą:
 To go malował w przyłbicy,
 To w karbunkułach korony,
 To w cierniach, co kość kaleczą;
 Aż ten czerep uśmiechniony,
 Wziąwszy prawie twarz człowieczą,
 Co się uśmiecha, nie sroży,
 Jak drugi spowiednik boży
 Zaczął nauczać z ambony...

STAROŚCIC.

A tym czasem obrażony
 Pan marszałek, szlachta cała,
 Tém ruszeniem z grobu ciała,

Tém urąganiem z magnatów,
Tą obelgą antenatów,
Zamyśla porzucić sprawę.

TOWARZYSZ.

Co mówisz?

STAROŚCIE.

Będą ciekawe

Dzisiejsze panów narady.
Patrzaj, regimentarz błady
Z manifestem o głos prosi;
Ale oczu nie podnosi
Na czoło marszałka dzielne.

Wchodzi i zasiadają na ławach: PAN MARSZAŁEK KONFEDERACYI KRA-
SIŃSKI, PAN REGIMENTARZ PUŁASKI, KSIĄDZ PRZEŁOŻONY KAR-
MELITÓW i wielu ze szlachty.

REGIMENTARZ, z manifestem w ręku.

W imię Boga nieśmiertelne!
I w imię bożego Syna!
I w imię bożego Ducha!
Przed tym światem, co patrzy i słucha,
Jak się nasza krew tu łąć zaczyna
I wulkanem pomsty z nas wybucha,
I wulkanem jęków świat przeraża;
Przed ziemią, co nas spotwarza,
Że już ojczyzny nie mamy
I o nią się dobijamy
Z mieczem w ręku; przed tronami,
Któreśmy kiedyś zakryli
Od Turka naszymi szablami;
I przed dzieciątkiem, co kwili,
I przed starcem, co grób kopie,
I przed chłopkiem, który siada
Jak Ceres na złotym snopie
I płacze, gdy o nędzy gada;
Przed magnatem, co krew żłopie,
Ludu wnętrzości wyjada
I złoto skrwawione chowa;
I przed tą, która jest wdowa
Po mężu za kraj poległym;
I przed wiekiem już ubiegłym,

I przed tym, co w czasów prądzie
 Na sąd trupów naszych idzie...
 Wydarci przeszłej ohydzie,
 Stajemy z tém pismem na sądzie;
 Sądem krwi nie przerażeni,
 Ani dumni, ani bladzi
 W środku rzezi i płomieni,
 Przy biciu gwałtownych dzwonów;
 Pany na czele czeladzi,
 Wodze na czele szwadronów,
 Księża tłum prowadząc niemy
 W blasku krzyżów i kagańców,
 Dawnych świętych zmartwychwstańców;
 Na sądzie wszyscy stajemy!
 I podnosząc ręce blade
 I wskazując rany święte,
 Tę wszystkich narodów zdradę
 I to morderstwo nie święte,
 Na naszych spełniane ciałach
 Rzucamy w czasu koryto.
 Bogdajby kiedyś odkryto,
 Że na tych przekleństwa skałach
 Zatrzymane ludów wody
 Pierś swoją o nas rozbiją,
 Staną i w kałużach zgniją,
 Nie mogąc wejść na te wschody,
 Któreśmy sypali sami
 Wiekom, kładąc się trupami.
 Bogdajby kiedyś odkryto,
 Że tu, gdzie nas zabijano,
 Ludów patronkę zabito;
 Że tu, gdzie Polski kolano
 Pierwszy raz przed nędzą klękło,
 Nowa jest ludów kalwarya;
 A tam, gdzie jój serce pękło,
 Gdzie zapłakała jak Marya,
 Jest miejsce lamentowania;
 A tam, gdzie ją kat pogania
 Knutem, cierniami i spiżem,
 A ona padła pod krzyżem,

W koronie z blasków słonecznych,
 Jest miejsce upadków wiecznych
 I śmierci okropna przystań.

A tam, gdzie matka rycerzy,
 Choć w grobie, w grób nie uwierzy,
 Jest miejsce wieczne zmartwychwstań,
 Jest duch, co z grobu wrywa
 I kos żadnych się nie boi.
 Panowie! to miejsce stoi!
 To miejsce — Bar się nazywa!
 Tu my, rycerze bez plamy,
 Z odkrytą przed Bogiem głową,
 Pod chorągwią Jezusową
 Za kraj nasz poumieramy,
 Zatknąwszy wieczne sztandary
 Dla miłości i prawdy i wiary.

MARSZAŁEK.

Szanowny regimentarzu,
 Mówisz tak jak na Golgocie,
 Mówisz tak jak na cmentarzu.
 I takby się nam w istocie
 Należało dziś zachować:
 Krzyże nosić i całować,
 Samym je zatykać w ziemię,
 Nauczając przyszłe plemię,
 Jak los przeciwny pokona,
 Za prawą rękę i lewą
 Dać się przybijać na drzewo,
 Aby widział nasz morderca,
 Że otworzywszy ramiona,
 Pokazujemy i serca.
 Ale sędzę, mój kolego,
 Że wola Nieśmiertelnego
 Chowa nas na większe czyny.
 Więc z téj ubogiej miściny,
 Gdzieśmy się teraz zamknęli,
 Nie chciałbym uczynić jeszcze
 Grobu dla obywateli.

REGIMENTARZ.

Panie! przechodzą mię dreszcze!
 Z gwałtownego chłoneż żaru!...
 Pierwszy raz ktoś mówi w radzie
 O hańbie... o wyjściu z Baru.

MARSZAŁEK, dobywając w pół szabli.

Hańba! Cóż to mi ty?

REGIMENTARZ.

Panie,

Niech twoje słowo zostanie
 W gardle, szabla niech się kładzie
 Do snu i niech się nie budzi.
 Dawno ja żyję wśród ludzi!
 Z różnymi panami żyłem,
 Obelgi nieraz znosiłem
 Dla ojczyzny i dziś zniosę.
 A jeśli kto mimowolną
 Obaczy na rzesach rosę
 U obelżonego starca,
 To wszakże i mnie mieć wolno
 Przy białej siwiznie marca
 I łód, co szkłem w oczach świeci.
 Bo ja mam aż czworo dzieci,
 Aż czworo żywych pod niebem;
 A gdy na mnie hańba spada,
 To, panie, tym jednym chlebem
 Nas pięcioro się najada.
 A czy to łza w oczach stoi
 I błyszczy w źrenicy biédnej,
 To pięciorgo się napoi,
 Panie, z téj wielkiej łzy jednéj...
 Bo kto na świat się nie gniewa
 Często, chociaż łez nie leje
 W serce -- rzeki łez wylewa.

MARSZAŁEK.

Jeślim obraził — boleję.

REGIMENTARZ.

Dosyć. Gadajmy o Barze.
 Więc wola jest rzucić miasto...

MARSZAŁEK.

Dosyć spojrzeć tu na twarze...
 Żaden tu nie jest niewiastą,
 Ani dzieckiem nie jest w duchu;
 Widziano nas przy barmatach.
 Lecz dać się ciągnąć w łańcuchu?
 I przy ruskich kazematach
 W błocie przed Braneckim legać?
 Mnie... co jestem z panów panem,
 Nazywać jego hetmanem?
 I grzeczności z nim przestrzegać?
 Być jego sługą? Gdy mogę,
 Do Turzech dziś pojechawszy,
 Jutro tu powrócić krwawszy,
 Zgnieść tę moskiewską stonogę,
 Stanąć mu butem na głowie,
 Królowi napędzić strachów.
 Cóż? czy nieprawda, panowie,
 Że tak lepiej! z hufcem spachów!

SZLACHTA.

Lepiej!

MARSZAŁEK.

Zgodne głosy słyszę..
 A oto patrzcie (dobywa listu), tu pisze
 Pan Potocki, nasz podczaszy,
 Że Turek już Moskwę straszy,
 Nad Prutem stanąwszy w sile.
 Cóż mu po naszej mogile?

SZLACHTA, krzycząc.

Do Turków całymi szwadrony!

Wchodzi KSIĄDZ MAREK.

KSIĄDZ MAREK.

Niechaj będzie pochwalony
 Jezus Chrystus... Szatan głuchy

Na stronie.

Żadnej nie dał odpowiedzi.
 W tej szopie widać złe duchy
 I zło... co otworu śledzi,
 Aby zerwać naszą zgodę.

Głośno.

Gdzie tylko okiem powiodę,
Zasmucone widzę twarze.

REGIMENTARZ.

Mój księżę, źle z nami w Barze,
Myślimy z miasta uchodzić.

KSIĄDZ MAREK

A miastem kto ma dowodzić?

REGIMENTARZ.

Na cóż dowództwa w pustoszy?

MARSZAŁEK.

Dosyć téj wojny kokoszy?
Téj manifestów papierni!
Byliśmy krajowi wierni
I wiernie jemu dotrwamy.
Lecz tu w Barze już nie mamy
Prochu, jądła ni pieniędzy.
Gorszy pocałunek nędzy
Niż pocałunek Judasza;
Bo często odwagę zdradza,
I wszystkie enoty rozprasza,
I w śmierci — hańbę doradza.

KSIĄDZ MAREK.

Marszałku! panie narodu,
Czyś ty dzisiaj doznał głodu?
Otruł się na miejskiej wodzie?
I pomyślał o tém w głodzie,
Ażeby naród opuścić?
Pan Bóg ci może odpuścić,
Jeśli to się w głodzie stało,
Jeśli twoje biędne ciało
Zaczęło się trząść na kości.
Pan Bóg jest pełny litości,
Jeśliś głodny był .. przebaczy.
Lecz, panie! o ta stodoła
Tego mi nie wytłómaczy,

Przez jakiego ty anioła
 Ducha... byłeś ogłodzony?
 Powiedz? czy upiór czerwony,
 Jakie rodowe widziadło
 Odpycha od ciebie jadło?
 Straszy cię? jeść nie pozwala?
 Albo krwią okrzepłą kala
 Ten chleb, który bierzesz w usta?
 Mówisz o nędzy?... Ta pusta
 Stodoła, ta szopa żyda,
 Panie, pałacem się wyda,
 Jeśli ją który z twych wnuków
 Ujrzy wygnańca oczyma.
 Patrzaj, co tutaj jest bruków
 Z jedwabi... gdzie okiem tręcę,
 Dywan na powietrzu trzyma
 Srebrne gwiazdy i miesiące,
 Kwiaty, takie winogrody,
 Że dają oczom pokusy.
 Więc także blade turkusy
 Patrzą niby na obrady
 Z szabel brylantowych czoła,
 Jakoby oczy aniołów.
 Więc ten dom i od kościoła
 Bogatszy... bo dół kościołów
 Często z ludzkich trumien bywa
 A tu morze złota pływa
 Po pas w téj żydowskiéj stajni.
 Więc jeżeli wy przedajni?
 Czego nie daj, Boże wielki,
 Kto was kupi? gdzie są fanty?
 Kto znajdzie takie brylanty,
 Coby waszój krwi kropelki
 Były godne? warte były?
 Więc wyznaj, że ani nędza,
 Ani głód jedzący żyły
 Poradził — ale ta jęzda,
 Co krew polską dawno chłepce,
 Tchórzostwo do ucha szeptee...

Nie chwytaj za miecz, człowieku!
 Ja ksiądz prosty, powiem tobie,
 Że tu leży Polska w żłobie,
 Lecz Polska nie tego wieku,
 Żywa — nie przez nasze czyny.
 Szanuj sen świętej dzieciny,
 Która, gdy oczy otworzy
 A uczuje boleść ciała,
 Najpierw będzie płakała,
 Taka ją ciemność zatrwoży
 Z naszych grobów uczyniona,
 I brak mateczynego łona
 Tak ją w żłóbeczku rozkwili.
 Szanuj! . . bo tu, gdzieśmy żyli,
 Śród naszej niby opieki,
 Bogu i ziemi na chwałę,
 Poczęło się dziecko małe,
 Które będzie żyło wieki!
 O! gdybyś wiedział, jak one
 Przed narodami wystrzeli,
 Jaką ogromną koronę
 Włoży — jakie berło chwyci;
 Chociaż wódz obywateli,
 Co są w rodach znakomici,
 Nie śmiałyś przed tą maleńką
 Ruszyć ni szablą, ni ręką,
 I stałyś tam u podwoi,
 Jak żebrak przed królem stoi.
 Ja ci nie powiem, kto ona,
 Pozwalam jak szaleńcowi
 Pożyć, a sam też w ramiona
 Nie wezmę piastować żłobu —
 Bom jest już podobny snowi,
 Bliski męczeńskiego grobu.
 Ale, że tu jest to dziecię,
 To wiedzą małe ptaszęta
 Świegocące mu w błękicie,
 Gdzie słoma wichrem podjęta
 Błękit niebios pokazuje...
 Koń to już wojenny czuje,

W kącie stojący przy sianie ;
 Bo kiedy poczucie ducha
 Pójdzie ludziom w urąganie,
 To świat go podlejszy słuca,
 I nieraz harfą się stanie,
 Na którą duch boży dmucha,
 Aż słońce się ludziom odsłoni...
 Człowieku! niech cię Bóg broni,
 Abyś zwątpił o proroczwie!
 Bo wkrótce! w całym sieroczwie
 Twego nieszczęsnego rodu,
 Gdy odrzucon od narodu
 Krwią się do krzyża przyklei,
 Sercem przylgnie do przyszłej ojczyzny ;
 Nie zostanie — prócz nadziei,
 Żadnej po ojczach puścizny ;
 Nie zostanie, gdy wyjęczy
 Całą boleść ; tylko, panie,
 Oto się chwytac tej tęczy,
 Którą przez wieków otchłanie
 Z proroczych ust teraz ciskam.
 Więc się nie dziw, że tak błyskam
 Jak Mojżesz, duchem natchnięty,
 Zem jest jako ów Jan święty,
 Widzacy to... co ja widzę...
 Bo zaprawdę, jestem w lidze
 Z duchami i ze świętymi!
 A chociaż niski na ziemi,
 To duchy okryte zbroją
 Na ramionach moich stoją!
 I kończą się gdzieś w bezkończach,
 W świecie, gdzie gwiazd zawierucha,
 W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,
 Za słońcami — w słońcu ducha.

MARSZAŁEK.

Czegoż chcesz w tej exaltacyi?
 I co ma ona za związek
 Tu? gdzie pierwszy obowiązek
 Zbawić panów naszych braci,
 Szlachetnych ludzi ostatki?

KSIĄDZ MAREK.

Panie, zostań, z téj gromadki
Nie zginie żaden.

MARSZAŁEK.

Kto ręczy?

KSIĄDZ MAREK.

Pan.

MARSZAŁEK.

Co za znak?

KSIĄDZ MAREK.

Zagrzmi działo.

Po chwili milczenia słyhać strzał.

Czy słyszycie, że zagrzmiało,
Aż belka w stodołach brzęczy
Jak echo kościelne nad ludem.

Wchodzi ARTYLERZYSTA POLSKI.

ARTYLERZYSTA.

Panie, pękło nam na ćwierci
Jedno działo, ale cudem
Puszkarze uszli od śmierci;
Myślą, że świat cały runął,
Śledzą, kto ognia podsunął
I kupią się... a szlachectwo
Już krzyczy: ogień i zdrada...

MARSZAŁEK.

Czyli to boskie świadectwo
I głos który z niebios gada?
Czy zrządzenie przypadkowe?
O to nie zachodźmy w głowę.
A jeśli takie portenta
Brać nam za rozkazy z nieba,
To harmata rozpęknięta
Mówi... że wyjeżdżać trzeba,
Unosząc ducha i serce.

Wstaje.

KSIĄDZ MAREK.

Zabierz z sobą te kobierce,
Własnością są twego rodu.

MARSZAŁEK.

Gdzie ja ogrody zasadzę,
 To ptaszki z mego ogrodu,
 Nawet gdy się wyprowadzę,
 Mają prawo żyć wiszniami:
 Choć tu jedwab jest murawą,
 A hafty złote drzewami;
 Ten, kto ma do gruntu prawo,
 Ma prawo do drzew i kwiatów.

Wychodzi.

KSIĄDZ MAREK.

Więc sprzęt twoich antenatów
 Pójdzie do żyda rabina,
 Który wynajął stodołę.

REGIMENTARZ.

Upadać Polska zaczyna!
 Zarzucam żupana połę
 Na oczy, by nie widziano,
 Czy z twarzą wstydem rumianą,
 Czy z twarzą łzami zalaną
 Stary Pułaski odchodzi.
 Pole teraz waszój młodzi,
 Niechaj nowe gniazdo lepi;
 Bo oto my wodze starzy,
 Jako żebrakowie ślepi,
 Uchodząc z narodu straży,
 Ręką macamy, gdzie wrota,
 Co na wygnanie prowadzą.
 Niech wam duchy boskie radzą!
 Niechaj rośnie patryota
 I nowy kościół zakłada...
 Co do mnie... byłaby zdrada,
 Gdybym nie szedł za Podole,
 Gdzie pan marszałek nas wiedzie...

KSIĄDZ MAREK.

Szablę zostawiasz na stole!

REGIMENTARZ.

Kto był na cudzym obiedzie,
 Nie bierze sztucców gościnnych,
 Ale zostawia dla innych
 Zaproszonych na dzień drugi;
 Weźcież miecz pańskiego sługi
 Przechemnie tu zostawiony
 I czyńcie nim, co potrzeba:
 Na ucztę wołajcie wrony
 I kruki i pomsty z nieba.

Wychodzi.

KSIĄDZ MAREK.

Szabla mi się nie należy,
 Lecz przez nią Pan Bóg uderzy.

Przypasuje pałasz.

KSIĄDZ PRZEŁOŻONY KARMELITÓW.

Ja także na żadną zgrozę
 Nie wydam pańskich ołtarzy,
 Lecz obnażę z relikwiarzy
 I sakramenta uwiozę,
 Aby splamione nie były.

KSIĄDZ MAREK.

A cóż nam zostawiasz? mogiły?
 Ojcze! ojeze przełożony!
 Gdyby tu jedna owieczka
 Pańska, jeden człek raniony
 Miał zostać w nędznej mieścinie,
 Co podobna do okrętów,
 Na morzu rozpaczy ginie:
 Gdyby ten jeden, o panie!
 Ranny wołał sakramentów?
 Rękę swoją kładł na ranie,
 Głowę zwiedniałą pokłonił
 I tchu duchowego bronił
 Z rozpaczą w zawrotnój głowie,
 Aż Pan Bóg przyjdzie i powie
 Słowo ostatniej pociechy:
 „Przebaczone ci są grzechy!

„Duszo święta, wychodź z ciała“
 Gdyby jeden został taki,
 Najlichszy między żebraki,
 Pańska by przy nim została
 Myśl i miłość pańska przy nim...
 A myż co, mój księże, czynim,
 My, co o jutrze nie wiemy,
 A tu grzeszni zostajemy,
 Aby tego jutra dożyć,
 Gotowi żywot położyć,
 Nakryć się prochu mogiła,
 Ducha oddać w ogniu, w dymie,
 Byle się tylko świeciło
 Przenajświętsze Boga imię
 W obliczu świata i szyków,
 Nad trupami schyzmatyków;
 Byle hostye krwią rumiane
 Wilgotne naszymi łzami
 I w niebo exaltowane
 Drżącymi rannych rękami,
 Exaltowane i drżące,
 Póki stanie mocy w kościach,
 Świeciły na wysokościach
 Ludom, jak pełne miesiące
 Pośród pożarnych płomieni...
 A gdy na to odważeni
 Zostajemy tu na rzezie,
 Ty myślisz, ojcze wielebny,
 Że nam kto Boga uwiezie?
 Że nam Bóg jest niepotrzebny
 Charłakom jęczącym w nędzy?...
 Więc pan téj jedwabnej przędzy
 Nie chciał zwlekać przez hajduki
 I zostawił złote bruki,
 Po których chodził wspaniale,
 Jak na opuszczonej skale
 Morze swe perły zostawia!
 Więc drugi, którego wślawia
 Nie ród, lecz wielka ofiara,
 Droższa od pereł, rubinów,

Uczyniona ze krwi synów...
 A przecież? kiedy go wiara
 W moc własnej szabli odbiegła,
 Zostawił ją, aby strzegła
 Rzeczy od człowieka świętszych,
 Kościołów i serc gorętszych
 A osadzonych na Bogu.
 A ty sam z kościoła progu
 Uchodzis! ksiądz poświęcony!
 I gdybyś twymi ramiony
 Mógł, co Samson z dawnych czasów,
 Wyrwałbyś bramy z zawiasów
 I poniósł z sobą wydarte,
 A potem przedawał ćwieki...
 A gdyby co były warte
 Okna, co patrzyły wieki,
 Niby źrenice tęczowe,
 Które anioł w ołtarz wsłupił,
 W skrwawioną Chrystusa głowę,
 Tobys je, panie, wyłupił,
 A potem nosząc przedawał
 Kawał szkła... za ziemi kawał,
 Łan tęczy, za łan pszenicy...
 Ja wiem, że w twojej winnicy,
 Gdy zbierzesz, coć urodziła,
 Nie będzie ptaszyna piła
 Słodkiej rubinowej wody
 Z żadnej sierociej jagody;
 I zaćwierka gdzieś na płotach
 Mówiąc: jak ci ludzie bozi
 Zapomnieli o sierotach!...
 Lecz ksiądz, co Boga uwozi
 I ucieka z nim za bramy,
 Tego my jeszcze nie znamy
 W Polsce od dawnego wieku!
 A co ty wiesz? ty człowieku!
 Czy Bóg nie chce zostać z nami
 I patrzeć, jak umieramy?
 I karmić sakramentami?
 I dusz naszych wszelkie plamy

Krwią swoją obmywać drogą?
 A co ty wiesz? czyli trwogą
 Włożon do twoich zanadry
 Duch sakramentów nie zadrży?
 I nie złęknie się tych kości,
 Gdzie żaden już duch nie gości?
 A co wiesz? czy tajemnice
 Po sakramentach zamknięte
 Nie pierzchną, by gołębice,
 Nie zlecą się w jedno święte
 Miejsce... gdzie były już miecze,
 A teraz jest pokój boży..
 W to biędne serce człowiecze,
 W moję pierś, co się otworzy
 Pełna radosnej boleści
 I wszystkie! wszystkie pomieści!
 Nie... Boga nie weźmiesz zgoła,
 Boć to nie jest tobie dane..
 Oto idę do kościoła,
 Sakramenta porwę w dłonie
 I pójdę... i śród kul stanę.

KSIĄDZ PRZEŁOŻONY.

Temu księdzu na ambonie
 Tumanić ludem zakazę.

Wychodzi.

KSIĄDZ MAREK.

Idźcie! idźcie... a ja w Barze
 Z ostatkiem ludu zostanę.
 Zbiorę całą moję rzeszę,
 Tęcze moje chorągwiane
 Na miejskich wałach rozwieszę
 I odprawię nabożeństwo
 Święte do krwawego krzyża:
 A Pan, co ludy uniża,
 Da mi tryumf... lub męczeństwo
 I swoję wolą pokaże.

Wychodzi z resztą szlachty.

Wchodzi ŻYD RABIN.

RABIN.

Teraz my tu gospodarze,
Zamiećmy izbę po panach.
Nu... jest zysk na tych dywanach,
Kto zyska a kto też straci
Na téj to konfederacyi?
A Moskal dywany kupi...
Judyt! Judyt... hejne! hejne!

Woła do drzwi bocznych.

Wchodzi JUDYTA.

RABIN.

Nu, co ty szejne morejne
Zapłakana?.. szlachcie głupi
Nagadał się i wychodzi...
A mnie pan marszałek dobrodziej
Nie zapomniał! Pan kochany!
Podarował mi dywany.
Nu! czemu ty głupia szlochasz?

JUDYTA.

Ojeze, jeśli ty mnie kochasz,
To porzuć te darowizny.
Na co nam?... my bez ojczyzny!
Na co nam takie wystawy?

RABIN.

To dobrze, ale te ławy
I te makatne pościele
Ja schowam na twoje wesele,
Aby ty na nich usiadła.

JUDYTA.

Obwiniesz mnie w prześcieradła,
Złożysz trupa na drabinię,
Każesz wynieść, nim zadniało.
A jak goim spotka ciało,
To przeżegna się i minie;
A jak dziecko, to będzie się bało
I u matki się rozpłacze
I pod rańtuchem ukryje.

Nu, a jak kruk, to zakracze,
 Nu, a jak pies, to zawyje,
 A jak księżyc, to pobladnie,
 A jak gwiazda, to upadnie,
 A jak słońce... Nie, my żydzi,
 Nas nigdy słońce nie widzi
 W prześcieradła obwiniętych,
 Szybko na cmentarz niesionych;
 Bo my na prawach przeklętych
 Pośród ludzi przerażonych
 Naszą modlitwą gorącą,
 Naszą moglią stojącą,
 Krwią białych macowych praśnieć
 I blaskiem naszych szabaśnieć
 I tajnych komor ciemnością
 I tą żółtą naszą złością,
 Co się w oczach jadem kręci:
 My tu na wieki wyklećci,
 Jak ogromne cherubiny,
 Co w trumnach zamkniętych siedzą.
 Nu, a ci ludzie nie wiedzą,
 Co ja mogę, kiedym sroga,
 Co ja wiem od Pana Boga,
 Jaki ja im garnek z gliny
 Ulepię? co duchem zrobię?...
 Jaki duch w mojej osobie?
 Nu, ja wczora na konwalie
 Na mogiłki poszła nasze
 I patrzała na batalie,
 Na działa i na pałasze:
 A w prochu był obłok jazdy,
 A kule jak srebrne gwiazdy,
 A bomby nad nimi w górze
 Jako płomieniste róże,
 A wystrzelone harmaty,
 Jeszcze do góry dymiące,
 Jak z ogniów siarczanych kwiaty,
 A podkowy koniów, jak miesiące!
 Nu, ja tak patrząc z mogiłek
 Na te ognie, na tę krew,

Zmarszczyła na czole brew,
 Wzięła gliny kilka bryłek,
 Wzięła z grobu trochę piasku
 I przeciwko temu blasku
 Rzuciła, że poszli w nie,
 Jak tysiąc zagasłych świec,
 Gdy wiatr przeleci bóżnicą.
 Bo ja była błyskawicą!
 Duchem, co krwią pole broczy!
 Śmiercią gaszącą ich oczy!
 Naszej wiary tajemnicą!
 Aniołem na boskich posyłkach,
 Który piorunami strzela!
 Zmartwychwstaniem Izraela
 Stojącym już na mogiłkach!
 A przed Bogiem — małą mrówką,
 Przed aniołami — aniołem;
 A wśród popiołów — popiołem,
 A przed ludźmi — jak zawsze żydówką
 Pogardzoną.

RABIN.

Nu, Judyta,
 Ty pierwszy raz jesteś taka?
 Słyszę tam pana Polaka,
 Co się o austerie pyta,
 Zakryj się, bo ty w płomieniach
 Za jasna na jego oczy.

Wchodzi KLEMENS KOSAKOWSKI.

KOSAKOWSKI, do sług za karczmą.

Niechaj tu Grzegorz zatoczy
 Mój karaban... a tu w sieniach
 Powiązać moje brytany.
 A tu ćwieki wbić do ściany
 I pozawieszać szturmaki,
 Szable, kindżały, kulbaki.
 A wymieść dom żyda brodą.

Do rabina.

Żydzie! staję tu gospodą.

RABIN.

A panie, a kto ty taki?

KOSAKOWSKI.

Niech tego żyda wywiodą
I zakneblują mu pyski.
Kto ciekawy, szpiega bliski.

RABIN.

Nu, żartuje pan wielmożny.

KOSAKOWSKI.

Żydzie, ze mną bądź ostrożny,
Bo u mnie żyda powiesić,
To tak jak w pejsy go trzepnąć.

RABIN.

Nu, a czy ty umiesz wskrzesić?
Ty możesz, człeku, oślepnąć,
Patrząc na niewinną krew.

KOSAKOWSKI.

Patrz, pierś mam taką jak lew,
A nozdrza takie jak koń,
A w żyłach gwałtowną skroń,
A włos koloru płomieni.
Biada! kto mię zarumieni,
Ale temu stokroć biada,
Przed którym twarz mi się blada
Stanie, by opłatek boży.
Lew się ducha we mnie sroży
I rzuca się i rwie ludzi,
Wprzód, nim się rozum obudzi.

Do Judyty.

Żydówka, ściągnij mi buty.

Judyta kłeka i całuje mu nogi.

Co robisz?

JUDYTA.

Całuję twe nogi.

KOSAKOWSKI.

Co to jest? precz mi z podłogi.

JUDYTA, na kolanach.

Panie! ty wczora z reduty
Jako Judasz Machabeusz

Skoczył na moskiewskie działa.
 Ja cię z mogiłek widziała
 Śród panów, choć ty chudensz
 W szaraczku a oni w złocie,
 W turkusie i w karmazynie.
 To ty chodził po dolinie
 Na koniu, jak Goljat jaki.
 Włos twój był jak ogień w grzmocie!
 Czapka jak srebrzyste ptaki,
 Jak orzeł, co z nieba runie
 I usiądzie na piorunie!
 Nu, a twój koń był czerwony
 I ubrany cały w druty,
 I czwórma miesiącami podkuty,
 A w boju taki szalony
 I tak ogniem z pyska strzela,
 Jak smok w pismach Izraela.
 Otóż ja tu żydowica
 Do nóg ci, panie, upadła
 I twój proch ustami kradła,
 Bo tyś jest z królów narodu;
 Ja z narodu — niewolnica,
 Z Jerychońskiego ogrodu
 Róża, między obce ludy
 Przesadzona i kwitnąca;
 A królewna z rodu Judy...
 Nu! niech mię twa noga trąca!
 W piersi mię podkówką wytnij!
 Niech się moja pierś zbłękitni
 I twego herbu dostanie
 Od twojej czarnej podkówki.
 Ja wiem, że dla mnie żydówki
 Ty jest król, wielmożny panie!
 Ale ja powiedzieć chciała,
 Czego zamilczeć nie mogła,
 Że ja twój szabli pomogła,
 Kiedy ty leciał na działa...

RABIN.

Nu, Judyt, ty oszalała!

JUDYTA, wstaje i odstaniając welon, mówi z gniewnym zapalem.

Ja Judyt! ja Judyt, Judyta!
 Nu, ja nie straszna nikomu,
 Póki moja twarz zakryta!
 Ale z oczu mego gromu
 Ja cisnę na was zagładę,
 Bo ja duch, co wszystko odmieni.
 Nu, ja kiedyś wezmę i szpadę
 Jasną ze złotych płomieni.

Wychodzi.

KOSAKOWSKI.

Rabinie, czy ta szalona
 To córka twoja, czy żona?
 Wcale do niej nie mam wstrętu.
 Czysta, mało ma akcentu.

RABIN.

Panie, to jest moja córka,
 Dziewica.

KOSAKOWSKI.

Cha! cha! cha! żydzie!...

RABIN, na stronie.

Ten człowiek patrzy na Turka.

KOSAKOWSKI.

Słuchaj mnie, żyłem w bezwstydzie,
 Na kartach i pijatyce,
 Kochałem i żydowice
 I szlachcianki i cyganki;
 A tak mnie zna Litwy księstwo,
 Że gdyby nie moje męstwo,
 Dawno by mnie już — na drzewie...

Czyni gest duszenia się.

A jednak do mnie się czepi...
 Tak w serce Bóg coś zaszczepi,
 O czym często człowiek nie wie;
 A w sercu to boże ziarno
 (Choć się szlachcic oddał biesu)
 Działa jak ziarno magnesu,

Tak, że się doń ludzie garną
I kochają... Człowiek taki
Na coś musi być potrzebny.
Otóż ja, ów łotr haniebny,
Ów Kosakowski pyszałek,
Tak się umiem dać we znaki,
Mam za sobą tyle gałek
Sejmikowych, tyle szabel,
Furdyng, rapierów, karabel,
Ile ich ma sam Radziwiłł.
A jużem raz świat zadziwił,
Porwawszy aż sejmik cały,
Palestrę i trybunały,
W jedném miasteczku na Żmudzi;
I z sotkiem tych różnych ludzi
W kontuszach i taratatkach,
Ubranych w niedźwiedzie burki,
Niektórzy w żelaznych siatkach,
A ci w lisy, ci w marmurki,
A ci przy szablach w jaszczurze,
A drudzy niosąc dwururki
Pozaczepiane na sznurze
Jako hiszpańskie gitary;
Cały, mówię, ten tłum szary
Wiodąc jak stare Żurawie,
Pokazałem się w Mitawie,
Gdzie wtenczas Sas, Karol młody,
Bez wojska i bez pieniędzy,
Obleżony, prawie w nędzy
I bez chleba i bez wody,
Bo pompy Moskał poimał,
W zamku się książęcym trzymał
Jako pszczoła w głębi ula,
Mając na to rozkaz króla,
Aby dzierżał swoje księstwo;
Rozkaz! patent na męczeństwo!
Bo sejm zamiast posłać szyków,
Posłał mu dwóch senatorów,
Jakby rzec, dwóch spowiedników,
Dwóch nietoperzy, upiorów,

Dwie chorób, dwie dżum i krupów,
 Dwóch sejmowych kościotrupów
 Posłał mu sejm... Senatory,
 Dziwny w potrzebie rynsztunek!
 Otóż ja mu na ratunek
 Przyszedłem i umysł chory
 Podparłem... (jak brytan wierny,
 Choć go czasem i nie karmią,
 On przy domie jak odźwierny)
 Tak ja przed moskiewską armią,
 Poleciwszy duszę Bogu,
 Położyłem się na progu
 Warcząc, bo mi tam, mospanie,
 Brakło zębów na kąsanie.
 I tak my Polacy górą,
 Lub z Moskałem oko w oko.
 Aż z carską inwestyturą
 Przyjechał Biren z Sybiru.
 Zda się, że go więdźmy włoką
 Na tron, śród wroniego skwiru,
 Kacią zbryzgały posoką
 I pokazały z pod chmury
 W płachcie z moskiewskiej purpury
 Przemrożonego do kości.
 Jego oczy pełne złości
 I ognia, jak owe doły
 U bałwana ze śniegoły,
 Przestracha na arendarzy,
 Co jak latarnie cmentarzy
 Przez wydrążone dwie jamy
 Leją płomieniste błamy
 Światła... we mgle gorejące
 Jako cmentarne miesiące...
 Ten trup ciągle nam wybladły
 Groził... te oczy nas jadły...
 Bo nie ma straszniejszej rzeczy,
 O! żydzie, nad wzrok człowieczy
 Błyszczący w sińcach wygnania,
 Jako w oprawie ze stali:
 Wzrok, który chęć królowania

Rabinem piekieł zapali...
 Otóż patrz na moje oczy,
 Takie są jak u Birena.
 Odmienionąć wprawdzie scena,
 Tu się rzecz o naród toczy,
 O poklask idzie gromadny,
 Nie zaś o tron samowładny;
 Ale mi to Bóg nadarzył,
 Że magnaterya ucieka;
 A potrzeba znów człowieka,
 Coby się na wszystko ważył,
 I los, który się wałęsa,
 Ćwiekami przybił do siebie.
 Takim obaczą w potrzebie
 Kosakowskiego Klemensa...
 Bo choć ksiądz o Bogu gada,
 To w szable wierzy gromada;
 Choć tu ksiądz o cudach gęda,
 Od szabli idzie komenda;
 Choć tu w żywot wieczny wierzą,
 Do mnie żywoty należą.
 Ja miasto mam w mojem łonie,
 Ja go ogrzewam... ja bronię,
 Ja na wroga wyprowadzę
 Nawet karczmy, nawet mury;
 A kiedy trzeba? do góry
 Jak wulkanem je wysadzę
 Bez drżenia, bez drgnięcia powiek...
 Teraz wiesz... com jest za człowiek;
 Więc... mój kochany rabinie,
 Oto na ten skrypt książęcy,
 Musisz mi dać sto tysięcy
 Dukatów i milczeć głucho,
 Bo nawet trup twój zaginie,
 Jak namiot przed zawieruchą
 Wichrem Jehowy zmieciony.

RABIN, przeglądając skrypt.

Nu, panie... ja miliony
 Wydam zaraz na skrypt taki...

Ja nie wiem, dla kogo one,
 Ale będą zapłacone
 Tęj nocy... mam dwa przetaki
 Złota... sługa niski pańa!...

KOSAKOWSKI.

Żydzie, to skrypt na sułtana,
 Na nim ty nie będziesz tracił,
 Choć się jak cytryna wyciśniesz...
 Lecz jeśli mi przed kim piśniesz,
 Żeś mi taki skrypt zapłacił?
 Żydzie!.. tak mi pomóż Boże!
 Nic cię z mych rąk nie wykupi.

RABIN.

A ja byłbym, panie, głupi,
 Gdybym gadał, nim otworzę
 Kredyt u wielkiego Turka.

KOSAKOWSKI.

Niechaj ani twoja córka,
 Ani franki u łóżka,
 Ani pod głową poduszka
 Nie słyszą jednego słowa.

RABIN.

A czy żadna inna głowa
 O tém nie wie?

KOSAKOWSKI.

Żadna inna.

RABIN.

Nu! to moja będzie winna
 Albo pańska, jeśli o tém
 Kto na powietrzu zagada.

KOSAKOWSKI.

Zaraz mi przychodź ze złotem.

Żyd wychodzi.

Jaki mi na serce spada

Kamień!... Cudzy pieniądz biore;
 Skrypt na Potockich pisany.
 I w złocie kradzioném piore
 Brudny honor mój karciany.
 Groszów publicznych grabieżą
 Przeszłe me opłacam długi.
 Zabiłbym, gdyby kto drugi...
 Lecz sam to nazwę... kradzieżą!
 Wchodzi RABIN z pieniędzmi i uderza go po ramieniu.
 Kto to jest?

RABIN.

Nu... rabin, panie,
 Z pieniędzami... nie miej strachu...
 Chodźmy do stancyi na dachu
 Liczyć... póki w skarbie stanie...

Wychodzą oba.

Wchodzi JUDYTA i JOZAFAT.

JUDYTA.

Chłopaku, chrześcijanie,
 Zapal mi, proszę, latarnie,
 Chodź... i za mną nieś tę skrzynię...
 W miasteczku ciemno i gwarnie.
 Weź szablę i pistolety,
 Weź i kij, co psy odpędza,
 Pójdę do świętego księdza...

JOZAFAT.

Do księdza? (Na stronie.) Z téj się kobiety
 Zrobił szatan stujęczny.

JUDYTA.

Zapal ten kaganiec śliczny,
 Tę latarnię z pergaminu,
 Co jako księżyc z bursztynu
 Po ciemnych ulicach chodzi;
 Księżyc, który na srebrnicy
 Róże malowane rodzi
 I rzuca po błotach ulicy,
 Gdzie ja żydówka przechodzę,
 Tęczę... za most mojej nodze;

Kwiaty rzuca na kałuże,
Abym stapała na róże...

JOZAFAT, na stronie.

Co ten zły duch przez nią plecie
O papierowej łojówce!
Co za język w tej żydówce!...

JUDYTA.

Nu... pudło trzymaj na grzbiecie.
Nie gadaj nic, ale prowadź,
A pomnij, by fanał nie zgasnął.

Wychodzą.

Wchodzi KOSAKOWSKI i RABIN.

KOSAKOWSKI.

Żydzie! ktoś tu drzwiami trzasnął,
Ktoś wyszedł.

RABIN.

Nu... złoto schować
A nie dbać, czy tu kto chodzi.
Niech się pan rotmistrz dobrodziej
Nie boi... Niech pan naczelny
Taki wojak wielki, dzielny,
Żydowi także zaufa.

KOSAKOWSKI.

Ćwiekami nabita kufa
Dla ciebie żydzie gołowa,
Dla twoich kości i grzbietu,
Jeśli ten dom nie dochowa
Tak jak mogiła — sekretu...
Pamiętaj... źle z tobą będzie,
Mój krwawy Dyogenesie,
Jeśli kto słowo wyniesie
Za dom... A gdzie twoja córka?

RABIN.

Nie wiem, może jedwab przedzie,
Może z jedwabnego sznurka
Zwleka perły kałakuckie...

Dziewczyna ma serce ludzkie...
 Może gotuje balsamy,
 Szarpie strzępi dla szpitali,
 Albo się w modlitwie pali
 I płacze jak Rachel u Ramy.

KOSAKOWSKI.

Zawołaj mi ją.

RABIN.

A po co?

KOSAKOWSKI.

Bo ona wyszła za bramy.

RABIN.

Nu... ona nie chodzi nocą.

KOSAKOWSKI.

Łżesz, żydzie... Oto ci powiem,
 Że kiedyś ty liczył złoto,
 To ja na uliczne błoto
 Spojrzałem w ciemne czeluście;
 I gdzieś pod księżycą nowiem
 Postać, cała w białej chuście,
 Jak słup w bieliznę ubrany,
 Mgłą owinięta pochmurną,
 Za księżycem z porcelany,
 Za powietrzną jakąś urną
 Złotą, świecącą do koła,
 Jak lilija, co kielichem
 Złotym oświeca anioła:
 Postać taka do kościoła
 Szła i spotkała się z mnichem.
 Ten mnich — to ksiądz karmelita,
 A ta postać — to Judyta.

RABIN.

Panie mój... to być nie może.
 Judyt!.. Nie ma jój w komorze!...
 Nu, prawda, że poszła... Judyta!...
 Nu ja nie wiem, jasny panie,

Gdzie moja córka ukryta?
Pójdę na poszukiwanie.

Wchodzi JOZAFAT z latarnią.

A gdzie ty bywałeś, mój sługo?

JOZAFAT.

Pannę rabinównę wodził.

RABIN.

A gdzie z twoją panną chodził?

JOZAFAT.

O tém rozpowiadać długo.
Gdybyś mi był na Wielkanoc
Dał na kolendę złotówkę,
Powiedziałbym, gdzie żydówkę
Odprowadziłem dziś na noc.

RABIN.

Jozafacie, ja ciebie odpędzę!

JOZAFAT.

Czytujesz w talmudu księdze
A nie wiesz, gdzie córka chodzi?

KOSAKOWSKI, otwierając drzwi do szynkarni.

Hej! albeńska moja młodzi,
Proszę tu do mnie z szynkarni.

Wchodzi BOJWIŁ i Litwinów kilkunastu w kurtach szarych, w czapkach przesytych drutami.

Panowie, kto wami dowodzi?

BOJWIŁ.

Ty, jak zawsze dyabeł Klemens,
Infernem nec Deum temens;
Na róg przysięgliśmy sarni
I na buty Radziwiłła.

KOSAKOWSKI.

Otóż wybieram Bojwiłła,
Namiestnikiem go stanowią;
Jeżeli się tylko dowie,

Że mię na koniu widziano
 Z tą srebrną szablą nad głową
 I w rękę z tą chustą rumianą:
 Niech mi da rycerskie słowo,
 Zgiąwszy przed Bogiem kolano,
 Że mój karaban zaprzęże,
 Mój trzos weźmie i manatki
 I wyjedzie za rogatki,
 Nie dbając na warty księżę...
 A choćby sto gromów trzasło
 I świat drżał, niech nie uważa,
 A na takie moje hasło
 Powiesi tu arendarza.

Do rabina.

Dobry jesteś i uczynny,
 Więc niechaj ci twarz nie bladnie,
 Bo jeżeliś ty niewinny,
 To ci włos z głowy nie spadnie.

Do Litwinów.

Wziąć go i strzec... Niech za bramy
 Nie wychodzi. Gdy ujrzycie
 Mój znak, to go powiesicie.
 Przysięgacie?

LITWINI.

Przysięgamy!

A K T II.

Plac w Barze ubrany jak na Zielone Świątki w brzozy, klony i jarzębiny.
 Wchodzi: KSIĄDZ MAREK, JUDYTA i STAROŚCIC z BARKŪ.

KSIĄDZ MAREK, do Judyty.

Wracaj, Izraelitanko,
 I bądź o ducha spokojną,
 Nie długo będziesz wygnanką.
 Na to się toczy ta wojna,
 Na to ja moję siwiznę
 Ofiarowałem, kość złożyć,
 Aby silne duchy boże
 Miały na ziemi ojczyznę

I sztandar sercom zatknięty.
 Więc manele, dyamenty,
 Któreś ty Bogu złożyła,
 Przyjmę... A ty, duchom miła,
 Już miłości nauczona,
 Chociaż przez krwawe ramiona
 Chrystusa i boskiej Matki
 Jeszcze nie obcięta z cierni,
 Ale jako polne kwiatki
 W słońca jasnego farbierni
 Umalowana sowicie
 W izraelowej purpurze,
 W polskich bławatków błękicie;
 Jeszcze nie biała lilija
 A już pachnąca jak róże;
 Strzeż serca, co się rozwija,
 I łez wiszących nad rzęsą,
 Bo mówię ci, przyjdą burze
 I duchem twoim zatrzęsą;
 Z drogi cię może zawrócą
 I trupem pod nogi mi rzucają
 Jak garstką przeklętych kości...
 Idź, córko — i trwaj w miłości!

Błogosławi klęczącą Judytę, która wstaje i w milczeniu odchodzi.

STAROŚCIC.

Panie, Klemens Kosakowski
 Po całym cię mieście szuka.

KSIĄDZ MAREK.

Nad tym człowiekiem gniew boski.

STAROŚCIC.

Księżę, lecz to śmiała sztuka!
 Głowa zła, lecz serce złote.

KSIĄDZ MAREK.

Otóż obaczysz, jak zgniotę
 Tę głowę, tę czaszkę całą,
 Aby serce ocalało.

[STAROŚCIC.

Jak to?

KSIĄDZ MAREK.

Z miasta go wygonię.

STAROŚCIC.

Lecz on ku miasta obronie
Potrzebny... wódz tego steku...

KSIĄDZ MAREK, przerywając.

Bóg tylko potrzebny, człowieku.

STAROŚCIC.

On ma partyzantów wielu ..

KSIĄDZ MAREK.

Posłuchaj mnie, przyjacielu.
Zaprawdę, że ludziom łatwo
Mówić grzeczności wzajemne,
Rozrzucać słowa przyjemne,
Obchodzić się z ludźmi jak z dziatwą
Przynęconą na łakocie:
Albo dawać cięgi mocne
Jak palmy przedwielkanocne,
Umoczone całe w złocie,
Owite kwiatki złotymi...
Tak że wchodzą do kościołów
Jakby z krainy aniołów
Inne drzewa, nie z téj ziemi...
To też zwyczaj u nas żyje,
Że wierzbą z kwietnej niedzieli
Bijesz własnych przyjacieli,
Mówiąc, że wierzba je bije
A tyś nie winien, że boli...
Raz w rok żart jest pozwolony,
Uświęcone kłamstwa tony,
Aby się duch téj swawoli
Dorwawszy, znalazł spoczynek
I z pod niańki się wyłamał,
Objadł się cukru, rodzynek,
A potem -- rok cały nie kłamał
I z prawdą już nie swawolił.
Więc jeżeli w prawdę wierzysz

A Bóg ci miecza pozwolił,
 Bić kazał, — a nie uderzysz,
 Choćby serce własne krając,
 Ale uderzysz igrając
 Jak arlekin, nie jak człowiek;
 Jeżeli prawdy piorunem
 Nie spalisz grzesznika powiek,
 Nie jesteś wtedy piastunem
 Boskiej powagi i chwały.

STAROŚCIC.

Słuchałbym ciebie dzień cały,
 Ojcze Marku.

KSIĄDZ MAREK.

Przed wieczorem
 Z harmat będę miał słuchaczy,
 Bo z całą szlachtą, z nieszporem,
 Wiodąc nawet tłum żebraczy,
 Pójdę na wroga.

STAROŚCIC.

Dziś, panie?

KSIĄDZ MAREK.

Dzisiaj, w dzień Zielonych Świątek.

STAROŚCIC.

A tu w mieście któż zostanie?

KSIĄDZ MAREK.

Ot, ta gromada dzieciątek,
 Która się na piasku bawi,
 Młynki na kałużach stawia
 I cieszy się, że drzewiny
 Ścięte na ulicach wędną.
 Polsko, nie jesteś oszczędna!
 Te klony, te jarzębiny,
 Te brzozy, las cały młody
 Przyniosłaś sobie do miasta;
 Prawdziwie jak ta niewiasta
 Między Judzkimi narody,
 Sławna, że flaszczykę całą

Bardzo drogich aromatów
 Wylała na Zbawcę światów;
 O której rzekł, że mu ciało
 Uprzedziła na pogrzeb pomazać,
 I któżby jój śmiał zakazać
 Tej rozrzutności?... niewieście,
 Która Zbawcy śmierć przeczuła
 I cały słoik zepsuła,
 I rozłukłszy alabastry,
 Rozlała po całym mieście
 Woń tego balsamowania.
 Więc i dla naszej hałustry
 Ostatniego pomazania
 W tych drzewach pachną oleje!...
 I zaprawdę! nasze dzieje,
 Gdy nas srogi los połamie,
 Pachnąć będą w tym balsamie
 Długo w umarłej krainie;
 Szczególnie, małej dziecinie,
 Co się zbudzi i obaczy
 Las cały z kalin czerwienią,
 Stojący przed domu sienią;
 Gdy jój dziadek wytłómaczy
 I pod cieniem tych drzew powie,
 Że tak czynili ojcowie,
 Którzy już dawno są w grobie,
 To dziecko poczuje w sobie,
 Przejęte smutkiem i strachem,
 Patrząc w smętne oczy dziada,
 Że i tym nawet zapachem
 Ojczyzna do niego gada...

Błogosławiąc plac.

Czy słyszysz, jak ten las śpiewa,
 Listeczków tracąc ostatki?
 Błogosławione wy, drzewa!
 Błogosławione wy, dziatki
 Rosnące przy kraju męczeństwie..

STAROŚCIC.

Panie, dzwonią na nieszpory.

KSIĄDZ MAREK.

Ide... a po nabożeństwie,
 Choć starości krok nie spory,
 Wycieczkę Pańską prowadzę,
 Bo mam na to rozkaz boży
 I taką nad ludem władzę,
 Że Kosakowski mi złoży
 Komendę... i stąd wyleci
 Jak czarny szatan nieczysty,
 Bo mi anioł promienisty
 Rozkazał, abym z tych dzieci,
 Które mam, nie stracił żadnego.

Wychodzi.

STAROŚCIC.

Chciałbym gdzie Kosakowskiego
 Ostrzec, że burza go czeka.
 Szkoda byłoby człowieka!
 I strach... ach, strach, gdyby zorze
 I to słońce już czerwone,
 Na morderstwo zapatrzone,
 Zachodziło po nieszporce.
 Gdyby smętna twarz księżycy
 Ujrzała pod cerkwi ścianą
 Szarą szlachtę porąbaną
 Za księdza i za szlacheica.
 Gdyby znów nocne pojawy,
 Ten Chrystus strasznej bledości,
 Z dziurami na wylot w kości,
 Ubiczowany i krwawy,
 Jak kometa, co z podróży
 Powraca, pokazał miecze
 We krwi, co z grobów się kurzy
 I po mogilniku ciecze.
 I odleciał z tymi mgłami,
 Zostawiwszy nas trupami.

GŁOS ZA SCENĄ.

Aj! wej!

STAROŚCIC.

Krzyków pełno w mieście.

Słyszę wrzask i szlochanie niewieście.

Wpada JUDYTA z nożem w rękę, za nią KOSAKOWSKI i BOJWIŁ.

JUDYTA, do Kosakowskiego.

Nu! ja cię nożem przebiję,
Ja nie twoja nierządnicą.

Do Starościca.

Panie! od tego szlachcica
Ratuj! skoczył mi na szyję
Jak wąż, jak płomień z pod ziemi,
Wyskoczył do mnie w alkierzu.
Patrz! on cały w prochu, w pierzu,
Z oczyma zapalonymi
Jak Edomit.

KOSAKOWSKI.

Milcz, szatanko!

JUDYTA.

Patrzaj ty na mnie, człowieku,
Jestem Izraelitanką.
Mój Bóg nie wisiął na ćwieku,
Nie pił octu i piołunów,
Ale stał na wielkiej górze
Pośród dwunastu piorunów,
W czarnej i ognistej chmurze,
I rozbłyskał się na całe niebiosa.
Otóż ten Bóg teraz broni
Każdego mojego włosa,
A pioruny trzyma w dłoni
Bóg Izraela i Judy,
Pioruny nad twoją skronią!
A jak spojrzysz, to się góry pokłonią!
A jak błysnie, to ślepotą na ludy!
A jak zagrzni, to się groby odsłonią!
A jak ścichnie, świat się cały odmieni,
A skrę rzuci, to świat będzie z płomieni
I w słoneczne się ognie roztrząśnie;
A brwi zmarszczy na czole, to zgaśnie
Jako węgiel pod wodą i syknie;
A gdy rękę podniesie, świat zniknie
I nie będzie ani mnie, ani ciebie,
Tylko ciemność i sam Pan Bóg na niebie.
I któż jesteś ty, gwałtowny goimie?
I któż jesteś ty, chrześcijaninie?

Że chcesz Bogiem być judzkiej dziewczynie,
 Jak ten drugi, co w Jerozolimie,
 Choć poselstwa do Judy nie mając,
 Zaćmił księżyc i słońce, konając.
 Któż ty jesteś? nu, że chodzisz cieniem,
 Jak duch jaki za owczém gdzieś runem?
 I dotykasz się piersi piorunem?
 I z rąk chwytasz za szyję płomieniem?
 Nu, ty zginiesz jak duch w błyskawicy!
 I przy lampie, co stoi przy łożu,
 Łba twojego w żydowskiéj miednicy
 Twoi słudzy obaczą przy nożu,
 I przełkną się łóżka i ciała.
 Nu, ja sama, gdy to rzekła, zadrzała,
 A ty nie drżysz? któż ty jesteś, człowieku?

KOSAKOWSKI.

Na twe czoło wykapanie
 W ptasiém gołębiczy mleku!
 Na twoje usta różane,
 Których łuk napięty drży!
 Na ten szprejtuch, który skrzy
 Niby złoty jaki kruz,
 W środku pełen białych róż!
 Na twe oczy, z których bije
 Razem żar i noc i dzień!
 Na twoję łabędziałą szyję!
 I na ten błękitny cień
 Twoich rzesów, który spada
 Aż na rubin twoich lic!
 Na tę głowę, gdzie gromada
 I brylantów i rubinów
 Pali się jak tysiąc świec,
 Lub nad głową Cherubinów
 Z różnych gwiazd uwity kłęb!
 Na każdy z perełek zęb,
 Co jak skrzydełko gołębie,
 Bieląc czepca axamity,
 Spuszcza się na skroń błękity!
 Na każdą perłę w tym zębie,

Co jakoby grochy duże
 Zwinęły się w srebrną różę
 I twoją głowę oblały!
 Na ten, mówię, skarbiec cały
 I klejnotów i piękności!
 I na królestwo miłości
 Przysięgam.

JUDYTA.

Co?

KOSAKOWSKI, urągając.

Miłość wieczną.

Bojwile, pod straż bezpieczną
 Wziąć mi tę synogarlicę.

Bojwił chwyta Judytę i unosi ją do karczmy.

STAROŚCIC, do Kosakowskiego.

Puść waćpan tę żydowicę.

KOSAKOWSKI.

Co? czy chcesz się rąbać o nią?

STAROŚCIC.

Zgoda...

Dobrywają szabli i biją się. Starościc pada.

Dostałem śmiertelnie.

KOSAKOWSKI.

Sam się przebiłeś tą bronią.

STAROŚCIC.

Rana pali mię piekielnie.

Księdza!

KOSAKOWSKI.

Trzymajże za brodę

Duszę, aby nie uciekła.

A ja ci księdza przywiode.

Odechodzi.

STAROŚCIC.

W téj krwi, co ze mnie wyciekła

Więdnie moja blada skroń.

Jezu! Jezu! ty mię broń

Przed skonaniem od rozpaczy!
 Cóż tam będzie, gdy zobaczy
 Matka moja starościna,
 Że na marach niosą syna
 Przez posepne z lip aleje,
 A z mar syna krew się leje,
 A służący trupa kryją..
 Cóż tam będzie! gdy zawyją
 Moje psy u moich bram?
 Gdy mój stary dziadek sam
 Przyjdzie, klęknie w czarnej sali,
 Oczy wlepi w moje oczy
 I na nogach się zatoczy,
 I na ciało się powali,
 I na piersiach mi zaryczy!
 Jezu! Jezu!

Wchodzi KOSAKOWSKI, wiodąc KSIĘDZA MARKA w ubiorze mszalnym z mon-
 strancyą — w głębi pokazują się zbrojne tłumy konfederatów ze sztandarami.

KSIĄDZ MAREK.

Kto tu krzyczy,
 Kto tu z jękiem woła Pana?

STAROŚCIC.

Moje serce, moja rana
 Bolesne usta otwiera,
 Jęcząc w śmierci i w tęsknocie.

KSIĄDZ MAREK.

Kto ufa, ten nie umiera.

STAROŚCIC.

Mówisz o wiecznym żywocie!

Zamyka oczy i kona.

KSIĄDZ MAREK.

Zaprawdę, kto nie doczeka
 Na jasny męczeństwa wieniec,
 A krew rzuca jak szalenciec
 Pod miecz drugiego człowieka
 I drogie utracą ciało,
 Gdy téj krwi biédnej tak mało

Tutaj na obronę bożą,
 Wart, że go w trumnie położą
 Ludzie, przy bladym świeczniku;
 I zapomną o nim na ziemi
 Jak o zdrajcy, niewdzięczniku,
 Niewartym nawet powszedniej
 Modlitwy, jednego krzyża,
 Niewartym nawet łzy jednej!
 Lecz Chrystus, co się przybliża
 Do twych ust pełnych rozpaczy,
 Które go wołały z jękiem,
 Człeku, niechaj ci przebaczy.
 I niech twój grobowiec młody
 Ukraińskich kwiatów wdziękiem
 Okwitnie. O Boże! Boże!
 Jakie to matkom zawody!
 Jakie dla ich serca noże!
 Jakie za miłość wypląty,
 Takie wczesne dziełek straty!
 Takie śmierci z marnych sprzeczek
 Wynikłe, zgony gwałtowne,
 A zaś równie nieodzowne
 Jak tamte, co są dla Boga.
 O! jak te garstki kosteczek,
 Które śmierć odnosi sroga,
 Drogie im w dzieciństwie były!
 Ile mleka, łez wypily!
 Ile za nimi pacierzy
 Pobiegło w złote niebios!

Zamyka mu oczy.

Umarł... Trup przed wami leży.
 Młodzieniec złotego włosa
 Wczoraj jeszcze kwiat młodzięży! —
 Oto zszedł ze świata tego
 Syn Jaśnie Oświeconego,
 Dziedzic Barku i Ladawy,
 Na wejściu w związki książęce. —
 Weźcie ten pierścionek krwawy
 I oddajcie go panience.

A nad trupem, co tu leży,
Zaśpiewajcie Anioł Pański.

Pokazuje na Kosakowskiego.

A to słuźalec szatański,
Człowiek mordu i grabieży,
Gwałtownik i pijanica,
Pusty jak dyabła kaplica,
Krzykun jak wojna kokosza,
Złodziej publicznego grosza,
Obdzierca domów, kapituł,
Chodząca jakaś szkarada:
Do którego nie przypada
Żaden dawny polski tytuł.
Starosta? Lecz on na głowie
Nie ma zasług, ani lat!
Podskarbi? sam niechaj powie,
Niechaj publicznie obwieści,
Ile grosza wczoraj skradł;
Cześnik? ale on bez cześci!
Miecznik? ale on jest kat!
Nawet nie człowiek! bo oto
Leży jego jeden brat,
Z którego krew szczerózłotą
Tak czystą, młodą, rumianą,
Ojczyźnie ofiarowaną
Ten człowiek wytoczył z serca.
Więc nie człowiek, lecz morderca
Stoi pod nami i zgrzyta.
Otóż mówię w imię boże,
Że odtąd jako banita
Pójdzie na świata bezdroże,
Jako szatanowie czarni,
Pędząc gdzieś pod błyskawice,
Do mglistej w deszczu latarni,
Przez krwią zbryzgane ulice,
Śród zgiełku i tarabanów;
Z odwagą w sercu umarłą
Bez sądu położyć gardło.
Proszę więc wielmożnych panów,
Abyście go od téj chwili,

Jako zdrajcę opuścili,
 Jak Moskala się wyrzekli,
 Jak od choroby uciekli,
 Zamknęli sąd jak nad świętym,
 Jak dla węża łoż nie mieli,
 Jak o zmarłym zapomnieli;
 A myśląc jak o wyklętym,
 Żegnali się i truchleli.
 A ty, na twój koń czerwony
 Siadaj... bo drżysz jak niewiasta.
 A jeśli dla swój obrony
 Nie masz wyrzec nic? precz z miasta!

SZLACHTA, wyprowadzając Kosakowskiego.

Oczy jego obłąkane,
 Milczy i z ust toczy pianę.

KSIĄDZ MAREK.

Posadźcie go na rumaka,
 Dajcie w rękę szablę gołą
 I połóżcie ją na czoło
 Jak miesiąca w półpromieniach.
 Śniła mi się postać taka
 W przenajświętszych objawieniach,
 Żem ją Duchem bożym cisnął,
 I gnał w ciemność krzyża znakiem,
 A za nim i za rumakiem
 Cztéry razy piorun błysnął.
 Królowo świętych! proroków!
 Najświętsza Panno Maryo!
 Każ, niech mi pioruny biją,
 Proszę o salwę obłoków
 I grzmoty: Salve Regina!

SZLACHTA.

Niebo się łyskać zaczyna,
 Koń rycerza na kiel bierze.

KSIĄDZ MAREK.

Gwałty, morderstwa, grabieże
 Precz z Polski!

SZLACHTA.

Grzmot już tu bije...

KSIĄDZ MAREK.

Wszemu duchowi, co żyje,
I tym, którzy przyjdą nowi,
Czyści, stać przy bożem prawie,
Tym kielichem błogosławie.

Błogosławi chmury śród ognistych trzaskawic.

Chwała Ojcu i Synowi
I Duchowi świętemu, chwała!

SZLACHTA.

Niebo od piorunów pęka,
Z wałów biją wszystkie działa.
Kto żyw niech przed Bogiem kłęka!
Pan zwycięża! Narody giną!

KSIĄDZ MAREK, śród najmocniejszych piorunów.

Gloria in excelsis Domino!

SZLACHTA, na kłęczkach.

Pioruny trzęsą biegunem!
Panie! proch z nas i ofiara,
Lituj się naszego jęku!

KSIĄDZ MAREK.

Wstańcie! teraz wasza wiara
Zapalona jest piorunem,
A ja ten piorun mam w ręku.

Chwyta sztandar i wychodzi na czele szwadronów.

SZLACHTA.

Idźmy, prowadzi na wały...
Dzień to zwycięstwa i chwały!
Dalej z działkiem za rajtary!

CECHOWY.

Naprzód sztandar z Panną Maryą,
Naszą świętą z Poczajowa...
Słyszycie? to Suwarowa
Bateria gra posepnym basem

Kantyczce naszój do wiersza.
Odezwała się najpierwsza
Pod hawryszowieckim lasem...

GŁOS Z POZA SCENY.

Cud! cud!

CECHOWY.

Co tam?

GŁOS Z POZA SCENY.

Jedna ruska

Bateria z ziemi porwana.
A na płomieniach wulkana
Zjawienie!... I wał konnicy,
Którój koń we krwi się pluska,
W samo morze z błyskawicy
Jak wał żelazny się wali...

CECHOWY.

Wszelki duch Chrystusa chwali!
Bez harmat my, bez oręża,
Lecz Pan Bóg za nas zwycięża!

Wychodzi z sztandarem i z resztą ludu.

Scena oświetlona posępnie błyskawicami, pusta, przez cały ciąg słycać odgłosy dalekiej walki. KOSAKOWSKI wlatuje, waląc się z konia, z drugiej strony z poza karezmy wychodzi BOJWIL.

KOSAKOWSKI.

Zwierżnął mię rumak przelekle,
Popręgi u siodła pękły.
Wyleciałem stąd jak śpiąc,
Obelżony, duchem złaman.
Gdzie ten ksiądz? Gdzie ten czart ksiądz?
Każe ćwiczyć po ulicach,
Będzie bity tak jak A mau.

BOJWIL.

Ktoś tutaj przy błyskawicach
W ognistój ulewy skrach
Stoi jak upiorny strach,
Co to jest? to rotmistrz nasz?

KOSAKOWSKI.

Obelgami złał mi skronie,
 Piorunami dał mi w twarz,
 Przed nim siedział duch mój w łonie,
 Jako robak w trupie siedzi,
 Bo głos księdza jak dzwon z miedzi,
 W który kula uderzyła,
 A twarz jako słońce była,
 A w źrenicach mocy sto.
 Czy jest tam kto? czy jest tam kto?

Stuka do karczmy.

BOJWIŁ.

W téj karczmie nie ma nikogo,
 Tylko żydowska dziewczyna
 A na belce — trup rabina.

KOSAKOWSKI.

Otwórz! otwórz!

BOJWIŁ.

Jakaś trwoga
 Wskróś przejęty, nie śmiem, panie,
 Trup ci przed oczyma stańcie,
 Trup rabina się pokaże.

KOSAKOWSKI.

Otwórz! otwórz! ja ci każę!
 Niech widokiem tym ohydę
 Moje oczy...

BOJWIŁ.

W oczach émi się
 Od błyskawic... drzwi nie widzę.

KOSAKOWSKI.

Oczy moje jasne, rysie,
 W oczy tego żyda wszczepię,
 Na błądnościach je oślepię
 I na strachu zahartuję.
 Tysiąc trupów mi się snuje
 Przed oczyma, widma same!
 I ja widmo... Otwórz bramę!
 Choćby ją sam szatan kuł

I przed piekłem ją postawił,
Szablą ją rozetnę w pół.

Bije we drzwi szablą — i brama się odmyka, ze środka rozepchnięta... w bramie pokazuje się JUDYTA w worku szarym ubrana, z bosymi nogami.

Jakiż mi się szatan zjawił?

JUDYTA.

Nu!... Czemu bramę rozbito,
Gdzie ja odprawiam bosiny
Po ojcu?

KOSAKOWSKI.

To ja, Judyto.

JUDYTA.

Ach... czemu ty taki siny
Jak zabójca? oczy w ślup?

KOSAKOWSKI.

Daj wody, pragnę jak pies.

JUDYTA.

Nu... ja ci dam moich łez!
Nie chodź tu, bo w karczmie trup.
A ja sama siedzę boso
Na popiele w szarym worze.
Póki trupa nie wyniosą,
Żaden goim wejść nie może,
Gdzie żydówka na bosinach,
A przed nią trup na drabinach
W śmiertelnój. leży koszuli.

KOSAKOWSKI.

Judyto...

JUDYTA.

Nu... co?

KOSAKOWSKI.

Chcę wody.

JUDYTA.

Nu... czy ty żebrak na kuli?
Ty możesz robić — ty młody;
Młode jeszcze twoje lata,
Możesz być hyclem u kata.

KOSAKOWSKI, dobywając szabli.

Jezu!

JUDYTA.

Ha... ty przy orężu?

KOSAKOWSKI.

Kobięto! szatański węzu!
 Co świszczesz urągowskiem
 A nie drżysz przed szabli błyskiem,
 Spokojna i blada jak kręda.
 Wiédz, że z mego rozkazu
 Powieszono tego żyda
 Bo mię zdradził...

JUDYTA, przez ciąg jęj mowy słyhać ciągle odgłos dalekiej walki.

Nu, do razu

Ja to zgadła i wiedziała,
 Że się to przed Bogiem wyda.
 Ty okradł i zabił żyda,
 I z jego martwego ciała
 Zostawił posag żydówce;
 A sam poprowadził hufce,
 Jak wiatr co się w polu miota,
 Jako Polak patryota,
 Jako rycerz krwią czerwony,
 Jak pan wielki oświecony,
 Jak twęj ojczyzny dobrodziej;
 Choć ty zabójca i złodziej
 Brzęczysz od mego złota;
 A ja, przez ciebie sierota,
 Przy okradzionym kantorku
 Siedzę w popiele, na worku,
 A przedemną z trupem drabina.
 Nu, czy ty wiesz? jak rabina
 Trup po śmierci straszny, srogi?
 Jak do wschodu leży głowa?
 A z drabiny sterczą nogi?
 Czy ty wiesz, co się nazywa
 U chłopów noc rabinowa?
 Co dęby w puszczech porywa,
 Domy znosi jak namioty

I całą noc sypie grzmoty
 Głośne jak Jehowy słowa:
 A dla czego rabinowa?
 Nu?... a czemu piorun głuchy
 Taki jasny? a świat drżący?
 Bo to są rabinów duchy,
 Nu... i trup się ten modlący,
 Co siedzi wtenczas w bóżnicach
 Przy wicherze i błyskawicach,
 Pod czarnym kahałów dachem,
 I z pacierzem i z rejwachem,
 I z płaczem aż do niebiosów,
 I z jękiem i z rwaniem włosów,
 I z żałobliwymi słowy,
 Modlący się do Jehowy,
 Aby zdjął już z Izraela
 Przekleństwo... A gdy Jehowa
 Piorunami wtenczas strzela
 I sprawuje taki zamęt;
 To widać, że płacz i lament
 Panu Bogu się podoba,
 Że biędnych żydków żałoba
 Pioruny jego zapala.

Stucha grzmotu dział.

Nu, tam teraz u Moskala
 Wielki strach Chrystusa Pana:
 Ksiądz wziął krzyże, zdjął ornaty,
 Duchem rozrywa harmaty
 I w białym świeci habicie
 I krwi ma aż po kolana;
 A ja tu, żydowskie dziecko,
 Sierota w waszej krainie,
 Siedzę przy trupiěj drabinie,
 Przy wietrze, co wieje od trupa,
 A podemuą popiołów kupa,
 A na mnie wór podły, szary;
 A ja podobna do mary
 Z twarzą bielszą od miesiąca,
 Z zabójcą rozmawiająca,
 Z szczęścia jak kwiat oberwana,

W żalosci jak obłąkana,
 O zabójstwie jakby śniąca,
 A we śnie łzami zalana,
 A w strachu, jak wiedźma blada,
 A zemstą w niebo porwana,
 A w przekleństwach jak piorun, co spada!

W najwyższej exaltacji, przy odgłosie dział.

Nu, więc teraz ja się zrywam
 I o ściany tłukę głową.
 Ja przekleństwem się nazywam
 I nazywam się zaguba,
 Krwią i burzą rabinową,
 Wichrem, deszczem, nocą grubą,
 Duchem, gwiazdą, trumną, trwogą!
 Bo w tém sercu są wicherzyce,
 Co was i rozerwać mogą!
 Nu, bo w puchu błyskawice,
 Co świat cały mogą spalić!
 Bo oto ja tchnęła na pole
 I chorągwie zaczęły się walić,
 I wasz duch leży na dole
 Podobny węzowej chmurze;
 A ja tu stoję na górze
 I podnoszę zemsty ramie,
 I nogami go depcę i łamię,
 I odpędzam precz z pola do miasta!

Strzały harmatnie ustają nagle.

Abyś wiedział, że judzka niewiasta,
 Będąc w usprawiedliwieniu
 Przed Bogiem swego zakonu
 Zemstą ojcowskiego zgonu,
 Jest jak noc, cała w płomieniu,
 Jest jak burza, cała w mocy,
 Jest jak siła, cała w ciszy,
 Jest jak głąz w Dawida procy,
 Jest jak płacz, który Bóg słyszy,
 Jest jak grad, co bije w twarze,
 Jest jak strach, co serca napełnia,
 Jest jak miecz, którym Bóg karze,
 Jest jak sąd, który Bóg spełnia.

Ten sąd macie chrześcijany,
Ja go na was trzęsę z rąk!

W największej furji trzęsie ręce nad głową i rzuca garściami przekleństwa
na pole.

KOSAKOWSKI.

Żydówko, ja twoich mąk
Nie winien... bo obłąkany,
W zupełnej nieprzytomności
Dałem znak chustą czerwoną
I mój rozkaz wypełniono,
Wypełniono bez litości.
A jam tu powracał po to,
Bym żydowi oddał złoto
A porwał córkę żydowską.

JUDYTA.

Kogo, powiadasz, goimie?

KOSAKOWSKI.

Przysięgam na Matkę Boską,
Ciebie samę.

JUDYTA.

Powiedz imię?

KOSAKOWSKI.

Judytę.

JUDYTA.

O! wielki Boże!

Kiedy wczora ja w komorze
Całowała twoje nogi
A ty jak pan wielki szumiał,
Ty ust moich nie zrozumiał!
Ty mię nogą pchał z podłogi,
Jak człek, co gałganem miota!
A dziś, czy ja tobie droższa
Przez to, że dziś ja sierota?
I od żydów najuboższa,
I od kobiet niegodziwsza,
I od wszystkich węży mściwsza;
Śmiertelniejsza od żelaza!
Że ja?... Nu, ja.. jak zaraza

Dmuchięła i wiatr popsuła?!
 Nu, ja... prawda, co mówicie,
 Igiełkami dzieci kłuła
 I wieszała na suficie
 I robiła ze krwią ciasto.
 Nu, a teraz wasze miasto,
 Chociaż wiem, że sama zginę,
 Tak zakłułam jak dziecinę,
 Aż krwią skapie purpurowe.
 Jeśli ty kat, to nie czekaj,
 Lecz mi szablą zetnij głowę,
 Rzuć za siebie i uciekaj
 Pełny trwogi i popłochu,
 Bo tam w karczmie, patrzaj! z lochu
 Widma, co zagaszą słońce!

KOSAKOWSKI.

Wielki Boże! w karczmie Dońce!
 I piechotny bagnet świta!
 Ty zdrajczyń!

JUDYTA.

Ja, Judyta!

Wchodzi do karczmy.

KOSAKOWSKI.

Bojwile! miasteczko wzięte!
 Czynmy to, co jeszcze można.
 A ty, coś wydała święte
 Kościoły, furyo bezbożna!
 Przysięgam ci, że powrócę,
 Za włosy ciebie pochwycę
 I w żar płomienisty rzucę,
 I spalę jak czarownicę,
 I strzaskasz się jak suchy pień...
 Gdzie mój koń?... to sądny dzień!

Bojwił i Kosakowski wychodzą.

Z karczmy wychodzi KRECZETNIKOW, generał moskiewski, SUWAROW oficer,
 ADJUTANT i moskiewskie wojsko.

KRECZETNIKOW.

Tak się przez żydów każde miasto bierze.
 Suwarow, weźmij z sobą sotko ludzi

I od klasztoru postaw tak żołnierze,
 Aby schwytali księdza cudotwórcę.
 Ten mózg, co twoje dziś rękawy brudzi,
 Krew, koralowej podobna paciórce,
 Którać na czole błyszczy, bestyo dzika!
 Zrobiły z ciebie dzisiaj pułkownika.

SUWAROW.

Sława Rosyanom!

Odechodzi.

KRECZETNIKOW.

Gdzie jest pan Branecki?

ADJUTANT.

Gada z karczmarką.

Wychodzi.

Wchodzi BRANECKI, prowadząc za rękę JUDYTĘ już ubraną jak poprzednio,
 w pięknym żydowicy stroju.

BRANECKI.

Na honor szlachecki!

Nigdy piękniejszej nie widziałem jędzy.
 Dałem jój kiesę pieniędzy,
 Rzuciła na ziemię złoto,
 Zdjęła worek, z bladłej twarzy
 Obtarła popiołów błoto
 I stoi cała w klejnotach
 Jak paw, kiedy rozwachlarzy
 Ogony.

JUDYTA.

Nu, wy w namiotach
 Mieli od mojego sługi
 Pokazany ten loch długi,
 Idący tu do piwnicy.
 Teraz wy, jak na gościnie
 U rabina żydowicy,
 Szanujcie ludzkie żywoty,
 Niech tu żadna krew nie płynie,
 Niech tu nie grzmią żadne grzmoty,
 Bo...

BRANECKI.

Bo i cóż?

JUDYTA.

Bo ja proszę.

BRANECKI.

Na twoją instancją wnoszę
 Tę prośbę do generała,
 Aby wiatrem nabił działa
 I kul nie dawał harmatom;
 A manifestami z lawet
 Walił w tył konfederatom,
 Oddawszy im to wet za wet,
 Co nam niosła ich wymowa,
 Za wiatr — wiatr, za słowa — słowa.

JUDYTA.

Nu, kto ty, co mi urągasz?
 Czy ty pies, że ludzkie kości
 Na polu zębami ciągasz?
 I nad trupem jesteś w złości?

BRANECKI.

Co, najpiękniejsza z karczmarek?...
 Wziąć ją, ręce związać sznurem.
 Niech czeka.

Moskale wiążą Judyty ręce w tył i krepują powrozami. — ADJUTANT wchodzi, prowadząc KSIĘDZA MARKA pod strażą.

ADJUTANT.

Oto ksiądz Marek!
 Pod samym klasztorным murem
 Z szablą w ręku wzięty w plen.

BRANECKI.

Co? ksiądz Marek? oszust ten?...
 Czy to ty jesteś, mój klecho?

KSIĄDZ MAREK.

Ja sam.

BRANECKI.

Bądźże nam pociechą
 I grzesznych orędownikiem.
 Księżę, tegim jesteś ćwikiem,

Oszukiwałeś rok cały
 Wszystkich nabożnych i głupich;
 Biłeś się jak jenerały
 I chciałeś sobie z głów trupich
 Wybudować kazalnicę,
 Skądbyś mógł do króla gadać...
 Czas ci na osiołka siadać,
 Przejechać się przez stolicę,
 Gdzie już nie podolskie mózgi
 I szlachecka cię głupota
 Przyjmą, ale kat i różgi;
 Bo ta twoja tu robota,
 Te bunty i te powstania
 Warte tylko wysmagania.

KSIĄDZ MAREK.

Czegokolwiek one warte,
 Pokornie proszę waćpana,
 Abyś me piersi rozdarte
 Lekarzom opatrzeć kazał.

BRANECKI.

A gdzież ty tak habit zmazał?
 A gdzież wzięta owa rana?

KSIĄDZ MAREK.

Na polu, z ręki Moskala.

BRANECKI.

Jak to? więc Pan Bóg pozwala,
 Że i święci noszą blizny?

KSIĄDZ MAREK.

Tak, mospanie, dla ojczyzny
 Pozwala Pan Bóg i świętym...

BRANECKI.

A różgami być ociętym?

KSIĄDZ MAREK.

I to zniosę.

BRANECKI.

Kreczetnikow,

Daj mi, proszę, dwóch burłaków
 Z sekty twoich biczowników,
 Bo w całym hufie Polaków
 Nie ma ludzi... a ten klecha
 Zna się na bicia dobroci.
 Patrz, jak się na to uśmiecha,
 Że Moskal mu kość wymłóci...
 Hej! bić go tak, aż krwią się spluszcze.
 Stają żołnierze przy księdzu.

KSIĄDZ MAREK, pokazując przed sobą palcem na ziemię, do Judyty.

Upadnij tu na kolana,
 Córko, niechaj ci odpuszczę.
 Idę do mojego Pana.

JUDYTA, rzuca się na kolana, szlochając.

Przeklnij! przeklnij!...

KSIĄDZ MAREK.

Ja, Judyto?

Oto naród mój zabito!
 Oto, patrzaj! tam w oddali
 Płomień.. Dom się boży pali
 Nad ognistą krwi strumieniem
 I niebo kole płomieniem,
 Jak miecz archanioła kręty,
 Już na brusie pociągnięty,
 Ostrzem postawiony w górę,
 Miecz gotów karać naturę!
 Ludzi, że są przeciw cnocie,
 Braci, że rwą serca bliźnie,
 Polaków, że przeciw ojczyźnie,
 Niewinnych, że są w ciemnocie,
 Winnych, że w jasności ślepi.
 Oto miecz z płomieni różnych,
 Co wkrótce niebo rozszczepi,
 Potem się na domach próżnych
 Powali, świszcząc jak żnije,
 I powali i nakryje

Gwałty, płacz, mordy rumiane
I to miasto wyrzynane
Jak anioł ognia pochłonie.

I podobny jest koronie
Z hyacyntu, z chryzolitu,
Śród gwiazd białych i błękitu
Przez duchy boskie trzymana;
Aż naród zegnje kolano,
O Bogu pomyśli w burzy
I na to ogniste wiano
Męczeństwem ducha zasłuży.

I jest jeszcze jako kręta
Burza, co płomieni ręką
Porwała tam sakramenta,
Krzyże, hostye z pańską męką,
Obrazy przeświętych wzorów,
I grobowce fundatorów,
I podłogi, które rosi
Ludu łza, nawet kamienie;
Zawinęła je w płomienie
I Panu Bogu odnosi.

Więc i te drzewa żałobne,
W Zielone Świątki sadzone,
Których pnie takie czerwone,
Listki jak iskierki drobne
W rubin na nitki znizane,
Jak struny wichrem odwiane,
Ogniem zajęte przy korze;
Te drzewa, to harfy boże,
Od kościelnego krawędzia
Idące rzędy długimi,
To Dawidowe narzędzia
Hymnów, które tu na ziemi
Śpiewają mi z tryumfalnych
Pieśni długie litanije,
Od aniołów niewidzialnych
Duchową ręką tręcane.

Widzę Boga! któż mi oczy zakryje?
Chwały niewypowiedziane
Widzę! głosy wielkie słyszę!

Boga, co mi ogniem pisze
 Nowy rozkaz, nowe prawo!
 Oblewa mnie swoją sławą!
 Ogniami męczeństwa złoci!
 Pan Bóg mój pełny dobroci!
 Którego mię rany bolą
 A wola jest moja wola.

I ja, przez tych światel krocie
 Oświecony, miałbym, córo,
 Nie przebaczać tu ślepcie?
 Lecz we krwi umoczyć pióro?
 Ja, którego Bóg dziś słucha,
 Wydać mam na twego ducha
 Wyrok na wieki tracący?..
 Owszem, węgiel gorejący
 Na białych ci ustach kładę;
 Zmazuję wszelką szkaradę,
 Wszelkie jady, co je ślinią,
 Abyś była prorokinią
 Przyszłą między twoim ludem,
 Nawrócenia żywym cudem,
 Jedną z tych, co w kraju jęczą,
 Jedną z tych, co boleść dzielą,
 Jedną z tych, co go weselą,
 Jedną z tych, co w przyszłość wierzą;
 Świecącą przymierza tęczę,
 Świecącą, aż pioruny uderzą
 I z chmur spędzą jak ostatnią pochodnię.
 Bo wiedz, córko, że wszystkie ci zbrodnie
 Odpuszczone są na wieki wieków.

Obraca się do Moskali.

A teraz krzyża i ćwieków,
 A co macie czynić, czyńcie prędzej. :

Wyprowadzają go strażę.

JUDYTA.

On przebaczył, bo ja w nędzy,
 Bo on wie, co ja cierpiała...
 Puśćcie mnie do generała,
 Do ruskiego wojownika.

Nu .. niech on księdza nie tyka,
 Bo straci całe obozy,
 Piorun mu spadnie na ramię.

Rwąc na sobie powrozy.

Bo tak... jak ja rwę powrozy,
 Tak ja mu wojsko połamię!
 Spalę lud jak błyskawica!

MOSKALE.

Czarownica! czarownica!

JUDYTA.

Nu, ja wolna przed grabieżą
 I przed ogniem i przed katem.
 Jeśli tam księdza uderzą
 Jednym tylko, jednym drutem,
 Tak wy padli z całym światem!
 Ta krew wasza jednym łutem.
 Nie zaważy przed krwią Judy!..
 Nu, tam patrzcie! oto cudy!
 Oto w pożarach wychodzi
 Ksiądz męczony.

BRANECKI.

Co to znaczy?

Kto nam tu stracha przywodzi?
 To ksiądz!... tysiąc sto kartaczy!..
 Widmo po pas obnażone
 Z katowskiej wychodzi chaty.
 A za nim wloką się katy,
 Niby dwa słońca czerwone,
 Niby dwa czerwone duchy,
 Zgięci jak żebracy na kulach
 I biją się po koszulach.
 A koszule markietanów
 Od czarnej smagalnej pluchy,
 Są jak skrzydła u szatanów,
 Oczy przenikają zgrozą,
 Powietrze całe czerwienią...

Wchodzi KSIĄDZ MAREK

KSIĄDZ MAREK.

Lub się serca w katach mienia,
 Lub Pań oczy zaćmi słoza...
 A ciemna to była chata,
 Gdzie mię po pas obnażono.
 Więc zamiast bić w moje łono,
 To kat się rzucił na kata
 I we krwi się oba pluszcza..
 Rozłączcie ich, bo się nie puszcza,
 Aż skonają.

KRECZETNIKOW, do katów za sceną.

Precz, sobaki!
 Wziąć ich, zanieść do szpitala.
 Branecki, cudownik taki
 Harmaty nam pozapala,
 Zrobi bunt w moskiewskiej armii.
 Ach! tam Katarzyna karmi
 Tyle mnichów ruskiej wiary;
 A wszystko chłopcy do miary,
 Poszczą chlebem i jesiotrem
 A żaden cudów nie umie.

BRANECKI.

Poślij jój żydówkę z tym łotrem.

KSIĄDZ MAREK.

Cokolwiek w twoim rozumie
 Ułożysz, to nie pomoże,
 Bo ja tu ciało położę
 Pierwsze dla kraju i wiary.
 I mój kopiec jak sztandary
 Będzie trwał — aż wiek przeminie,
 Aż ludzie z jasnymi skrońmi
 Pokażą się w téj krainie,
 Wchodząc ducha mego bramą.
 Więc nie porwiesz mię stąd końmi!
 Ani nawet śmiercią samą!
 Mój duch wiecznie tu i ciało
 Przyszłego kościoła skałą.

KRECZETNIKOW.

Hej, z kibitką kapitana!

KSIĄDZ MAREK.

Patrz, kogo wysyłasz ze mną,
 Bo na drogach pańskich ciemno,
 I często jest krwią zbryzgana
 Ta ciemna i nocna droga
 Krwią szaleńców roztraconych o Boga.

A K T III.

Plac w Barze. — Wchodzi KOSAKOWSKI, ubrany jak sługa szpitalów zadżumionych, w smolnej koszuli, w kapturze.

KOSAKOWSKI.

Zaraza, co tu panuje,
 Gdzie Moskale wiatr popsuli,
 Gorsza od miecza i kuli,
 Tysiącami ludzie truje,
 Z trupów czarych urodzona,
 Stojąca jak widmo na wale.
 Pełne Moskalów szpitale,
 Każda karczma zarażona.
 Każdy człowiek straszny, blady,
 Sine włóczą się gromady
 Z krwią i ogniem pod powieką;
 Zgniłe prześcieradła wleką,
 A głowy w skrwawionych chustach
 Wspierają na rękach chudych,
 Z węglem i ze krwią na ustach,
 Pełni plam zielono-rudych,
 Ponurzy, jak rozbójnicy,
 Jak wilcy na krew gotowi.
 Przypatrzyłem się ludowi,
 Co tam, przed Boharodocy
 Namiotem klęczy i leży,
 Pałaszami namiot kraje.
 I Boharodocy łaje,
 Nazywa ją matką żołnierzy,
 I pochlebia i klnie na przemiany.

A tak wszystko zaraza rozprzega,
 Że oto w smołę ubrany,
 Rzuciwszy na plecy haki
 Jak koń, który się zaprzega
 Do ciał, włóczę te sobaki;
 Wyciągam z miasta za bramy
 I rzucam nagie do jamy;
 A nikt o to nie zapyta,
 Kto ja jestem? skąd przychodzę?
 Mógłbym sztyletować wodze,
 Mógłbym zatruć wód koryta,
 Mógłbym — wszędzie chodzę wolny —
 Wejść aż do generałówej
 W nocy jako upiór smolny,
 Wziąć lampę, która u głowy
 Przy srebrnym obrazie świeci,
 W kołysce podpalić dzieci,
 Blaskiem zbudzić matkę śpiącą
 I z pochodnią gorejącą
 Jak upiór wyniść z sypialni.

Tymczasem błędę jak pijany
 Pośród téj okropnej szczwalni,
 Gdzie zaraza swe szatany,
 Psy swoje czarne puściła...
 Gdzie dom... spojrzeć, to mogiła,
 Gdzie łóżko, tam trup być musi.
 Par cięży, powietrze dusi,
 Gwiazdy, jakby przeleknione,
 Chodzą smętne i czerwone;
 Wyją psy na pustych bramach
 I rwą zębami łańcuchy.
 A w polu, przy trupich jamach
 Jakieś płomienie jak duchy
 Stoją, czasem szyją zegną
 I za człowiekiem tak biegną
 Kolory z ognia fałszywe,
 Tak lecą jak trupy żywe,
 Owinięte przez płomienie,
 Jak moje za mną sumienie!

Bo to ja, com tu zaszczepił
 Ruinę, gwałt, mord rumiany.
 W żądzach niepohamowany,
 Kiedy mię szatan oślepił,
 Leciałem, gryząc wędzidła,
 Własne rzuciwszy sztandary.
 I przezemnie ten ksiądz stary
 Odbieżany szedł na boje,
 Jak ptak bez jednego skrzydła,
 Żebraków zebrawszy roje
 Zbrojne w siekiery i kosy,
 Siwe swe rzuciwszy włosy
 Za sztandar, i męczenników
 Krzyżem oświecając złotym.
 Ja zbieg! zdrajca jego szyków!
 Gdy siadłem nad trupów rowem,
 Kiedy pomyślałem o tém,
 Gdy ten ksiądz z czarnym okowem,
 Jasny jak światło jarzące,
 Stanął mi w myśli upiorem;
 Gdy do nieba podniósł ręce,
 I pokazał nad klasztorem
 Ogień, dym, czerwone dachy
 I w cieniu ruskie bermyce,
 I na tych bermycach blachy,
 Jak złote, wielkie księżyce,
 Ciągące ku pożarowi,
 Ból i strach mię przejął mrowi;
 I przysięgłem furją zdjęty,
 Że choć sam, chociaż wyklęty,
 Zbawię go, albo tu zginę.
 A tę żydowską dziewczynę
 Będę trzymał w mojej mocy,
 Porwę i gdzieś w czarnym jarze
 Zrobię z nią, co Pan Bóg każe.

Wchodzi JUDYTA.

JUDYTA.

Co zrobisz ze mną, goimie?
 Nu, ksiądz mi odpuścił święty.
 Ja przyjęła Sakramenty

Z jego rąk i mam na imię
Salomea.

KOSAKOWSKI.

Więc ksiądz żywy?

JUDYTA.

Ksiądz, on człowiek sprawiedliwy,
Umrze, gdy go Pan obudzi.
Nu, on nie lęka się ludzi...

KOSAKOWSKI.

Ale go pletniami zbito?

JUDYTA.

A kto tego bicia liczył?
Jego palmami zakryto
Słonecznymi od niebiosów,
A kat się na śmierć zaćwiczył
I szedł krwią kapiący z włosów,
W koszuli, cały rumiany,
Przez siebie zakatowany
Na śmierć... i umarł w szpitalu.
Nu, a potem w tym Moskalu
Była myśl księdza uwozić,
Na Sybirze gdzieś zamrozić.
Więc okuli jemu nogi,
Ubrali go w chłopskiej świtce,
Położyli na kibitce,
Koń zaprzęgli do niej srogi
I szalony i gorący,
Jak smok dyszłem targający.
I siadł na kibitce zwoszczyk
I kapitan w hełmie z blachy
A blady był jak nieboszczyk;
I usiedli dwa szyldwachy.
A noc była ciemna, głucha,
Wielki lament i rozpacz;
Słysząc było, że lud płacze,
Słysząc było, że Bóg słucha;
Bo stanęła po rejwachu
Jakaś wielka cichość strachu,

Gdy kibitka się ruszyła
 Z naszym ojcem śród miasteczka.
 Bo wieść między żydków była,
 Że on, ten ksiądz, jak owieczka
 Dał się okuwać w kajdany,
 Że mu krew bluznęła z rany,
 Że był znowu biczowany,
 W pysk przez Braneckiego bity,
 Jak trup, dla tego zakryty,
 I cały we krwi czerwony;
 Bez sił, dla tego niesiony,
 Bez ducha, bo już nie jęczał,
 A w łańcuchu, bo zabrzęczał,
 Gdy go kładli do kibitki.

Nu, i potem tylko kitki
 Tych Moskali, jak płomienie
 Poleciały na stracenie,
 Poszły w ciemność z wielką burzą.
 Nu, a ludzi było dużo
 Na tym placu, wszyscy czarni,
 Przy jednej tylko latarni,
 Która była pałająca;
 Bez gwiazd żadnych i miesiąca,
 W nocy na strasznej pustoszy,
 Jak na jakimś grobowisku.

Nu, a kiedy Pan Bóg spłoszy
 Konie jakie na urwisku,
 To co? — głowy się strzaskały!
 A on został jeden, cały,
 A na wozie ludzkie trzewo,
 Trup na prawo, trup na lewo,
 Kapitan przy swoim Dońcu,
 Zwoszczyk żyw, lecz jak śmierć biały.
 I wóz jego we krwi cały,
 A ksiądz, jakby cały w słońcu,
 Na wozie, w męczeńskiej szacie,
 Jak na jakimś majestacie
 Jechał spokojny i żywy,
 Bo on człowiek sprawiedliwy
 I święty...

KOSAKOWSKI.

Słuchaj, Judyto!
Zwiedź mię ty z tym karmelitą.
Na stronie.

Ach! łza jój do pereł grochu
Podobna... zemstę już gasi...

JUDYTA.

Prorok wasz zamknięty w lochu.
A czy są rycerze wasi
Blisko? Ja go wam wyzwolę.

KOSAKOWSKI.

Ty?

JUDYTA.

Przy waszym apostołe
Ja córka i stróż.

KOSAKOWSKI.

Ty sama?

JUDYTA.

Nu, ja mu wolności brama.
Ja mu róża od Saronu,
Chociaż bardzo bliska zgonu;
Ja konwalia mu pachnąca
I wolnością i weselem...
Nu, ja stąd odlatująca,
Jak duch jaki do miesiąca,
Z całym dawnym Izraelem;
Aż powrócę — bom duch wielki,
A u Panny Zbawicielki
Na niebie oczekiwana.

KOSAKOWSKI.

W imię Ojca, Ducha, Pana!
Co ty gadasz?

JUDYTA.

Nu, ja sama
Nie wiem... Miasto dziś podpale,
Ogień włożę pod szpitale;
Aż chorzy wyjdą z płomieni

I o księdza będą prosić,
I po mieście zarażeni
Biegać i ogień roznosić,
Kołdry targając ogniste...

KOSAKOWSKI.

Co ty mówisz? Jezu Chryste!
Szpital spalić?

JUDYTA.

Nu, a oni...

KOSAKOWSKI.

Niechaj ciebie Pan Bóg broni
Od tak haniebnego czynu.

JUDYTA.

Gdyby z każdego rubinu,
Co na czepcu moim świeci,
Była iskra, niechaj leci!
Niechaj się za dachy chwytą!

Zrywa z czepca drogie kamienie i rzuca na wiatr.

Nu, ja nie Polka, ja mściwa...
Ja żydówka! Ja Judyta!

KOSAKOWSKI.

Słuchaj, dziewczyno straszliwa!
Piękność twoja nieśmiertelna,
Jakaś straszna i piekielna:
Ząb perłowy kiedy zgrzyta,
To mi serce w piersiach lata.
Słuchaj, ty jesteś bogata
I ochrzczona — córko grzmotów!
Ja się z tobą żenić gotów.

JUDYTA.

Nu, a ojciec?

KOSAKOWSKI.

Żyd, wisielec...

Co mi tam twój ojciec znaczy!
Odprawiłaś już popielec
I bosiny po rabinie...

JUDYTA.

A jak jego duch zobaczy?

KOSAKOWSKI.

W jakiej ty żyjesz krainie,
 Że o trupach zawsze gadasz?

JUDYTA.

Czy ty wojnę wypowiedasz
 Wszystkim duchom Izraela?

KOSAKOWSKI.

Czart oczami twymi strzela,
 Ogień leje w serca cieśnie,
 Głowę wprawia w obłąkanie.
 Dziś widziałem ciebie we śnie,
 Jakby jakie malowanie,
 Że już byłeś na stracenie
 Prowadzona w żar, w płomienie,
 A z płomieni były róże,
 A ty w różach jak w altanie,
 Uczepiona ręką w górze
 Za krzyż.

JUDYTA.

Ty śnił prawdę świętą.

KOSAKOWSKI.

Judyto, gdyby cię wzięto
 I śmiercią, ogniem grożono...
 Ty znasz moją klacz czerwoną,
 Co przeleci miasto całe
 I wyleci drugą stroną.
 Tylko klaśnij w ręce białe,
 Tylko padnij mi na łono,
 Tylko chwyć się jak zbawienia,
 A ja z grobu i z płomienia
 Wyrwę cię po sto razy!

JUDYTA.

A czy wyrwiesz z rąk zarazy?

KOSAKOWSKI.

Strach mię zdjął.

JUDYTA.

Nu, ja ze łzami
 Mówię tobie, mój goimie,
 Że przepaść jest między nami...
 Naprzód twój ród, twoje imię,
 Co odrzuca to zameście,
 A potem... moje nieszczęście
 I mój los. Bądź zdrów na wieki!
 A może przyjdzie daleki
 Jaki czas dla mego ducha,
 Że mnie mój Pan Bóg wysłucha,
 Modlitwę moję gorącą,
 Za twoje szczęście proszącą.

Wychodzi.

KOSAKOWSKI.

We łzach, w obłąkaniu stoję...

Wchodzi BOJWIŁ przebrany za chłopca.

BOJWIŁ.

Panie, widać nasze zbroje,
 Wiejące nam od północy
 Z tchem od ukraińskich kwiatów.
 Nowy huf Konfederatów.

KOSAKOWSKI.

Idźmy... przed nadejściem nocy
 Może na czas przybędziemy
 Poprawić straconej sławy.

Wychodzą.

Namiot — Wchodzi KRECZETNIKOW, BRANECKI i RAPORTOWY oficer.

KRECZETNIKOW.

W pochód wymaszerujemy
 Aż na Wierzchowieckie stawy.
 Już tam ja w szlacheckie dworce
 Posłał i dzieci i żonę.
 Jej Boh! miasto zarażone.
 Mści się Bóg za cudotwórcę.

BRANECKI.

Czy generał gada seryo?

KRECZETNIKOW.

Ot wy z waszą fanaberyą,
 Francuszczyzną, nie widzicie,
 Że tu wojska mego życie
 Pod przekleństwem bunt podnosi...
 A ot, za tym cudownikiem
 Pułk jeden żałobnie prosi,
 Abym go im jałmużnikiem
 Zrobił... i archimandrytą...
 A gdyby jeszcze odkryto,
 Co mi dziś piszą w depeszy;
 Boże, pomiłuj na niebie,
 To ot... trup ze mnie i z ciebie.

BRANECKI.

Cóż za wieści?...

KRECZETNIKOW.

Człowiek grzeszy
 Ciekawością, mój Polaku.
 A mądry, kto sekret chowa.

BRANECKI.

Co? czy umarła carowa?

KRECZETNIKOW, wpadając we wściekłość.
 Szto ty skazał?... Ty na haku
 Będziesz wisiał za te słowa.
 Małczy, Lach! Caryca żywa.

BRANECKI.

Niech się pan generał nie zrywa,
 Bo ja także hetman jestem,
 A jestem tu w moim kraju.

KRECZETNIKOW, w pasyi.

A czemu ty z naszym chrestem?
 Naszego dworca lokaju!
 Szambelanie z epoletką!
 W jakim ty kraju, szlachetko?
 W jakim ty kraju, łachmanie?

Tu ja pan... my gospodarze!
 Ot miasteczko wyróżnąć każę,
 Dam ci sztukę w nos, hetmanie,
 I każę na szubienicy
 Powiesić, porąbać w ćwierci...
 I napiszę do carycy,
 Że ty o carycy śmierci
 Rozповідаł... precz z komnaty.

Branecki wychodzi.

Hej, niech nabiją harmaty,
 Niech nabiją wszystkie działa
 I na tego jenerała
 I na hułany obróca.
 Niech włożą zaraz bagnety!
 Niech mi z miasta precz wyrzucą
 To błoto... Ot francuszczyzna!
 Olejki i toalety!
 Gdy we krwi cała ojczyzna,
 Wino im kapie na brodę.

Wchodzi ADJUTANT Braneckiego.

Cóż tam od panów Polaków?

ADJUTANT.

Pan jenerał uprasza o zgodę,
 O wojennych naszych znaków
 Złączenie... a oto w liście
 Obrażony osobiście
 O satysfakcją uprasza.

KRECZETNIKOW, drąc list.

Szutki... ja nie konfederat,
 Ani młokos do pałasza;
 Jeśli pan jenerał nie rad
 Żem go uderzył po wstędze,
 To niech się w żałobnej księdze
 Rozpisze...

ADJUTANT.

Toż mu odpowiem.

Wychodzi.

KRECZETNIKOW, do Raportowego.

A jak tam z wojskowym zdrowiem?

RAPORTOWY.

Po stu codziennie umiera,
Grenadyer w grenadyera,
Chłop w chłopą... i co dzień gorzej...

KRECZETNIKOW.

Niech kancelarya położy
W dzisiejszym dziennym rozkazie,
Że kto się pódda zarazie
I położy na tapczany,
Za pierwszy raz... tysiąc pałek,
Za drugi raz... rozstrzelany.

RAPORTOWY.

Słuszaju's .. Braknie nam skałek
I prochu...

KRECZETNIKOW.

Ot i to szotka
Puławskiego, co nam bierze
Po drodze wszystkie jaszczyki...
No... jak zadzwoni pobudka,
Rozdać pomiędzy żołnierze
Kamasze, nowe trzewiki,
Pompony, kogucie pióra,
I kaszy... niech krzyczą hurra!

RAPORTOWY.

Słuszaju's...

KRECZETNIKOW.

Precz Raportowy!

Raportowy odchodzi.

Wchodzi ADJUTANT Braneckiego.

ADJUTANT.

Pan mój jako afront nowy
Uważa, obelgę nową,
Pana jenerała słowó
O uderzeniu po wstędze.

KRECZETNIKOW.

Nu... proś go, proś na herbatę.

ADJUTANT.

Nie wiem, czyli go dopędzę,
Bo wyjechał z sekundantem...

KRECZETNIKOW.

Powiedz mu, że na harmatę
Strzela się z paniczem frantem
Karciarzem — jenerał stary.

Adjutant wychodzi.

Oj dobrze, że my te Bary
Przycisnęli! .. Ot depesza,
Że tam jakiś car w Kazaniu
Jenerały nasze wieszta,
I o carycy porwaniu
Zamyśla w imię Piotrowe.
Oj dobrze, że my powstaniu
Polskiemu urwali głowę,
Nie dopuściwszy odsieczy;
Bo gdyby... spasij nas, Boże!...

Żegna się.

Od takiej okropnej rzeczy,
Gdyby im pana we dworze
A księdza puścić z łańcuszka,
To ot... i Moskwa matuszka...
Spasij, Boże! Spasij, Boże!

Żegna się.

Ot gdyby tu wojownika,
To czart wziął państwo Ruryka,
Spasij, Boże! spasij, Boże!

Wchodzi ADJUTANT Kreczetnikowa.

ADJUTANT.

Panie, pod wieczorną zorzę
Widać pułk konfederatów.
Chcieliśmy wystrzelić z wałów;
Lecz brak i kul i granatów.

KRECZETNIKOW.

Rzucić kilka pustych strzałów
Na to obdarte husarstwo;
A potem te pany Lachy
Prosić na parlamentarstwo.

ADJUTANT.

Słuszaju's.

Odchodzi.

KRECZETNIKOW.

Ot nowe strachy!

Ot nam w mieście pewny cmentarz,
Najstraszniejszy z mogilników,
Gdzie nam ziemia oczy wyje;
Jeśli to huf Pułaszczyków,
Jeżeli ten parlamentarz,
Co tu przyjedzie, nie pije...

Wjeżdża konno KAZIMIERZ PUŁAWSKI, za nim pieszo KOSAKOWSKI zawsze przebrany.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, zsiadając z konia.

Ty smolny parobku dżumy,
Potrzymaj mego rumaka,
A strzeż mi dobrze czapraka,
Bo tu kradną.

KRECZETNIKOW, na stronie.

Pełny dumy.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, wchodzi.

Jenerale... twoja chobra
Gromada bez kul strzelała,
Jest to grzeczność jenerała
Zapewne, nie brak w jaszczykach?
Zapewne myślał jenerał,
Że mi się pułk poobdzierał,
Że mam dosyć dziur w trzewikach
I w czapkach wiatrzanych świstów;
Za tę grzeczność siatelską
I jego artylerzystów
Dziękuję...

KRECZETNIKOW.

Czy z przyjacielską

Ręką?...

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Przyszliśmy po księdza.

KRECZETNIKOW.

Nie mogę... Jój Bohu buntowszczyk!

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, zimno.

Pana jenerała zwoszczyk
Z koźmi przez nas dziś schwytyany.

KRECZETNIKOW.

Tak i miejcie, moje pany,
Moje konie, niech popasą.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Wózek z jenerała kasą...

KRECZETNIKOW.

Tak w złoto umoczcie dłonie,
No... ja złota mam niemało.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Pana jenerała żonie
Także się nieszczęście stało:
Zabrana z żołdactwa rojem
Jak nie nabita harmata.

KRECZETNIKOW, z wielką trwogą.

A rebiata?

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Nu... rebiata
Także u nas i z konwojem
I z panią jenerałową.

KRECZETNIKOW, przysiadając i kładąc ręce na kolana.

Nu... tak ja dam na to słowo,
Że ty pan Kazimierz Puławski...

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Być może...

KRECZETNIKOW.

Więc proszę .. z łaski,
Nim pogadamy o rzeczy,
Na wypitkę i prykuski,
Bo choć ja jenerał ruski
Od Rena pewny odsieczki,
Uzbrojony przeciw tobie

I w proch i w dobry rysz tunek,
 To ja ku twojój osobie
 Taki wielki mam szacunek,
 Że chciałbym choć raz z weselem
 Z tobą pić jak z przyjacielem.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

A ksiądz Marek?

KREZETNIKOW.

Nu, niemało
 Ja z tym księdzem miał roboty!
 Co jeszcze z niego zostało,
 To wam oddam... Jakieś grzmoty!
 Co to znaczy?

Słychać zgiełk za sceną.

Wbiega ADJUTANT.

ADJUTANT.

Jenerale,

Ktoś pozapalał szpitale;
 Buntują się starowierce
 Przy blasku ogni czerwonych;
 Mówią, żeś ty zarażonych
 Kazał w szpitalu podpalić.
 Szpital jak ogniste serce
 Bijące w dymu szatanie
 Już pękł i zaczął się walić
 I pokazał na tapczanie
 Wskrósł, przez otworzone deski,
 Trup zielony i niebieski
 W trwodze oddający ducha.
 Potém się ta zawierucha
 Skier, ogni, dymów gorących
 I ludzi uciekających
 W kołdrach, w pokrwawionych chustkach
 Zebrała na czarnych pustkach
 Pogorzałych karmelitów.
 Tam twój sierżant jeden Tytów,
 Chciał chorym dawać nauki,
 Ale żołdactwo pijane

Rozerwało go na sztuki,
 Tak że i ciało rumiane
 (Straszne markietanek dzieło!)
 W oczach mi nagle zniknęło
 Cudownym prawie sposobem;
 Niewidzialnym niby grobem
 Ukradzione dłuższej męce,
 Przez oszukanie natury.
 I tylko czerwone ręce,
 Straszne, wzniesione do góry
 O tym człowieku świadczyły,
 Bo innéj nie miał mogiły,
 Oprócz tych dłoni ohydnych,
 Jasnych — od pożaru widnych,
 Nad głowami buntowników —
 Tych rąk, tych szponów, krwawników.
 Ach, i pierwszy tam raz w życiu
 Słyszałem w ludzkiem zawyciu
 Zwierzące głosy człowieka.
 Z ludzi się zrobiła rzeka,
 Z rzeki morze, krwią rumiane,
 A jeszcze pohamowane,
 (Któżby rzekł?) dziewicy głosem.
 Jedna, panie, żydowica
 Błada, z rozpuszczonym włosom,
 Jedna, jak cudotwornica,
 Wiedźma, co w ogniu się pali,
 Śród tych rąk, lasu koralu
 Ohydnych, ze łzami w oku
 O polskim księdzu proroku
 Krakała jak kruk na dachu;
 A co przydawało strachu
 U zabobonnych Moskali,
 To jedno umierające
 Dziecko. Jak w zamku Walhalli
 U dziewie na piersiach miesiące,
 Tak to dziecko, zawieszone
 Na piersiach jéj, już zielone,
 Już nie dziecko u kobiety
 (Jak to lud powtarzał głupi),

Ale do czarów użyty
 Jakiś wielki miesiąc trupi,
 Ukradzony u gwiazdździarzy.
 Dość, że za nią poszły pułki,
 Za nią starowierce starzy.
 Aż skry, ogniste jaskółki
 Na żydowicę napadły;
 I od włosów jeść począwszy,
 Ciągłe przerażoną jadły,
 Aż upadła. Chciałem wtedy,
 Pomiedzy ludem stanawszy,
 Choć Szwed, mówić do czeredy;
 Ale ledwie się pokazał,
 Krwią mi obłożoną zmasał
 Ów lud, który cudzoziemca
 Szweda kładzie obok Niemca
 I obu równo przeklina.
 Została mi więc jedyna
 Obrona w dobytą szpadzie,
 We wzroku i w rejteradzie
 Spokojnej, we lwa odwrocie.
 A wtenczas żołdactwa krócie
 I różnej broni motłochy
 Napadły na ciemne lochy,
 Gdzie polskiego księdza skryto,
 I przed białym karmelitą
 We krwi i czarnych kajdanach,
 Popadały na kolanach,
 Sine pokazując strupy,
 I krzycząc, że zaraza je goni.

KRECZETNIKOW.

Ot ja teraz poszedł w trupy!
 Ot Puławski! szpada w dłoni
 I śmierć dla Kreczetnikowa!
 Powiedz tam, niech będzie zdrowa-
 Moja żona, moje dziatki.
 Ot nieszczęścia! ot wypadki!
 Już ja trup, pokojnik boży!

Puławski odkrywa namiotu skrzydło i pokazuje się plac pełny żołnierstwa, chorych szpitalnych. Niektórzy leżą prawie nadzy na tapczanach, trupom podobni. W środku motłochu na rusztowaniu z łóżek szpitalnych stoi KSIĄDZ MAREK z krzyżem, w podartym i pokrwawionym habicie.

PULAWSKI, wstrzymując Kreczetnikowa.

Stój! gdzie lecisz?

KRECZETNIKOW.

Puść, niech ginę!

Niech się ziemia podemną otworzy!

KSIĄDZ MAREK.

Dziatki moje blade, sine,
 Leżące u nóg jak żyto;
 Tam wasz generał z dobytą
 Szpadą śmierci szukający;
 A ja tu nędzarz cierpiący,
 Exaltowan w ludzi tłóce
 Pasterz. Bo Pan niebios pragnie,
 Aby tu dwie były moce:
 Jedna, która ciałem nagnie;
 Druga, co duchem podniesie
 I ukorzy w imię Pana.
 Siła wielka! niesłychana,
 Która przy żywota kresie
 U wielkich duchów się jawi.
 A tę ludzkie wydać muszą.
 Bo kto ją w sercu zostawi,
 Ze łąką, z chlebem ludzkim strawi
 I uniesie razem z duszą,
 Niebieskiej pragnąc korony,
 A tu nie pomoże światu,
 Ten zaprawdę potępiony!
 Łachman z bożego szkarłatu!
 Gwiazda upadła z anielstwa,
 Gasnąca w błotnej kałuży!
 Duch na wieki bez poselstwa,
 Bez ciała, które mu służy,
 Bez serca, co w piersiach bije,
 Spadnie, w ziemię się zaryje
 I Boga prosi o litość.

A to jeszcze wielka skrytość
 U ludzi to ducha prawo,
 Nie głoszone na ambonach,
 Patryotyzmem i sławą
 Z ludzkich serc czasem dobyte,
 A zaszczipione już w łonach
 Jak dzieciąteczko spowite
 W duszy, na rubinach śpiące.

Bo oto ludzi tysiące
 W jednej chwili strach poczuli,
 I mnie, żebraka na kuli,
 Do krwi ubiczowanego,
 Jeszcze w niezakrzepłej bliźnie,
 Jeszcze we łzach po ojczyźnie,
 Jeszcze od męki krwawego,
 Jeszcze w śmiertelnej bieliźnie,
 Jeszcze w gorączkowych żarach,
 Jeszcze w smętku i na marach,
 Na rękach swoich wynieśli.
 Abym jako piastun cieśli,
 Siadł na moim majestacie,
 Rozkazał odejść zatracie,
 Zarazie czarnej ustąpić.
 Więc jeżeli będę skąpić
 Dziś mojego w kościach ducha,
 Jak człowiek, co jęków słucha
 I z łez sobie wieniec plecie;
 Jeżeli jeszcze na świecie
 Żywot mi się upodoba,
 I ta mych wrogów żałoba,
 I to ich upokorzenie,
 I to na deskach siedzenie,
 Które dał Ojciec Niebieski,
 Kładąc mi szpitalne deski
 Jak męczennikowi tronem;
 Jeżeli pogardzę zgonem,
 Serca litością nie ruszę,
 I duszy nie dam za dusze,
 Z ciała wyzwolić nie zdołam;
 Lecz wstanę, Pana zawołam,

O zemsty jego kropelkę
 Poproszę — gromu, co bije,
 Jak mściwy człowiek użyję,
 I przyzwę śmierć jak mścicielkę,
 Wszyscy zginiecie straceni.
 Bo oto wy przerażeni
 Nad głowami nie widzicie,
 Że na pożarnym błękicie
 Kościotrup śmierci w czerwieni
 Tańczy z trzaskiem gołeni,
 Kiściami zarazy śnieży,
 Wiję kłębem nietoperzy,
 Żółtą kością ciągle miga;
 I z ust okropnych wyrzyga
 Kartelusz ognio-tęczowy,
 Na którym imię Jehowy,
 Zatraciciela narodów,
 Wywrotnika twierdz i grodów,
 Pisane ogniście stoi.
 Któż tu jest, co się Boga nie boi?
 Oprócz trupów... kto nie zadrży przed Panem?
 Ja sam jeden okryty łachmanem,
 Zakrwawiony, knutem zbity,
 Ja sam, który za naród cierpiałem,
 Ja sam, który mymi jelity
 Paśłem serca i serca kawałem
 Nakarmiłem tych, co serca nie mieli.
 Ja sam jeden stoję w bieli
 I śmiem spojrzeć ku Panu ogniście
 I zawołać Nań o sprawiedliwość.
 Oto naród mój jak zwiedłe liście!
 Oto zdrady i serc niegodziwość!
 Oto pierwsza niewoli godzina,
 Co się przez wiek ciągnąć będzie!
 Oto harfa płaczu ta mieścina!
 Oto gołe kościoła krawędzie,
 Przez które już kozom skakać
 I rósć trawie na dawnych mogiłach!
 Panie Boże, nie pozwól mi płakać!
 Ducha mego utrzymaj przy siłach!

Nie bierz mię w niebieską sferę
 Krzyczącego miserere,
 Łamiącego dłoń na głowie.
 Kto mię słucha, ojczyźnie niech powie,
 Że sztandar zatknąwszy w Barze,
 Ległem sam na tym sztandarze,
 Broniąc go duchem i ciałem,
 A przy śmierci sam jeden zostałem.
 Kto tu śmierci jest mojej przytomny,
 Niech widzi, jak ręka boża,
 Biorąc jeden duch ogromny,
 Podnosi całe stworzenie;
 Nawet trupy ściąga z łoża,
 I przez trumien odemknienie
 Pomiedzy ludzkimi duchy
 O zrzucającym łańcuchy
 Zaświadcza pośród śmiertelnych.
 Kto żyw, niech słucha weselnych
 Harf, co grają różnym tonem;
 Kto duch, niech duchowi memu,
 Jak księżycowi złotemu,
 Będzie blaskiem i ogonem.
 Bo ja ojczyzny być muszę
 Duchem, stróżem i patronem;
 I wyżej porywać dusze,
 A żadnej ziemią nie skalać;
 Ale wszystkie pozapalać
 Na nowe wieki i czyny.
 A teraz zdjąć z téj miejsciny,
 Gdzie władza dżuma i trwoga,
 Zarazę, jak sztandar siny,
 I z chorągwią tą odejść do Boga,
 Do którego mię boleść porywa.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Ojczyźnie Marku.

KRECZETNIKOW.

Podnosi ramiona.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Pochodni blaskiem opływa,
 Bładnie, oczy mu gasną, już kona.
 Za trupami dostąpić nie można,
 W około ciżba nabożna
 Rozrywa jego habity,
 Całuje wychudłe ręce.
 Jaki zgiełk! światła jarzące
 I zarażonych błękity,
 Twarze zielonawej cery,
 Spisy, płaszcze i giwery.
 I łoża, co jeszcze płoną,
 Jakby w obchód święto-Jański.
 Prawdziwy kurhan słowiański,
 Który po śmierci wzniesiono
 Nad pierwszym z naszych rycerzy.

KRECZETNIKOW.

Bić z harmat! niechaj tu leży,
 Niechaj się go lud dotyka
 I położy na sztandary.
 A ja sam poniosę mary,
 I polskiego wojownika
 O pomoc proszę w posłudze.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Jenerale, ręce cudze
 Dotknęły się tego ciała,
 I to ciało już nie nasze;
 Ale jego duch i chwała,
 Przelana w polskie pałasze
 I serca, świadectwo wyda.
 A jak tu się teraz wznosi
 Zmartwychwstańców piramida
 I to ciało łzami rosi,
 O życiu świadcząc płakaniem;
 Tak my... (głosy moje wieszczę!)
 Wszyscy, wszyscy zmartwychwstaniem!
 Wszelki duch i ten, co jeszcze
 Nie pomyślał o hańbie narodu.
 Teraz idę z tego grodu,

A serce mam tak ruszone,
 Że ci oddam dzieci, żonę,
 I po tym buncie wojskowym
 Na dwa dni wytchnąć pozwolę.

Do jednego z Moskali.

Gdzie jest ów parobek w smole,
 Strażnik mojego rumaka?

MOSKAL.

Na koniu gdzieś purpurowym
 Widzieliśmy tego ptaka,
 Jak kruk odlatywał gdzieś z łupem,
 A nie wiemy czy z chorągwią, czy z trupem,
 Bo to, co za nim leciało,
 Było jak ogień i ciało.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Ten lud, widzę, cały chory,
 Wszędy, gdzie oczyma skinie,
 Widzi ogień i upiory.
 A ja wszędy w téj krainie
 Widzę jedną wielką bliznę,
 Jedną moję cierpiącą ojczyznę!

1843.

SEN SREBRNY SALOMEI.

ROMANS DRAMATYCZNY

W PIĘCIU AKTACH.

A K T I.

Komnata w regimentarskim dworze. — Pan regimentarz STEMPOWSKI i Pan LEON, syn regimentarza, przy stoliku z papierami. — SEMENKO, kozak dworski siedzi przy progu na ławce, otulony burką.

REGIMENTARZ.

Mój Leonie, już po Ave Maryi,
Siadaj waćpan do tych ekspedycyj.
Cóż tam piszą z króla kancelaryi?

LEON.

Rozkazują, byś rozesłał wici
Po Podolu jako regimentarz,
I z Grzyłowem się łączył Moskałem
Przeciw chłopstwu.

REGIMENTARZ.

Odpiszę im z żalem,
Żem nie Moskał; pierwój pójdę na cmentarz,
Niżbym moję moc regimentarską
Miał połączyć z kozacką i carską,
Z którą król mię żąda zaprzyjaźnić,
Chcąc, jak widzisz, mocanie, mnie zbłaźnić
Za to, żem był królowi posłuszny.
Cóż tam dalej?

LEON.

Raport Gruszczyńskiego.

REGIMENTARZ.

Czytaj wacan, bo to człowiek jest słuszny
I był dawniej moim szkolnym kolegą.

A dziś w mojej chorągwi mi służy.
 Człowiek silnej ręki, człowiek duży!
 Takich nie ma już dzisiaj na ziemi!
 A są, to ich karty i kieliszek,
 Już nie szabla z ogniami złotymi,
 Nie koń bawi, harcujący przed szykiem.
 Jak mi drogi ten święty Franciszek

Całuje sygnet.

Na pierścieniu dziadowskim z krwawnikiem,
 Tak mi drogie serduszko w tym starcu;
 Biały starzec — biały — jak kot w marcu,
 A tak jeszcze ognisty!... Cóż pisze?

LEON, czytając list.

„Ja i moi towarzysze,
 Stanąwszy u Czarnego kurhana,
 Stopy jaśnie wielmożnego pana
 Całujemy. Wszystko dobrze nam idzie.
 A na wielkiej piramidzie
 Nie spisać słowo po słowie,
 Co jeszcze zamiarów w głowie
 I projektów i zasadzek.
 Naszliśmy na kilka schadzek
 W lesie hajdamackiej czerni,
 I tak się moi pancerni
 Popisali jak zazwyczaj.
 W jednej, sotnik pewien, Nyczaj,
 Zarabany; w drugiej sprawie,
 Gdzie nam rzecz poszła na rękę,
 Przydybaliśmy Tymenkę
 I tak uszedł nam ciekawie,
 Że jeszcześmy w zadziwieniu,
 Na Salamandry w płomieniu,
 Na Pliniuszowe bajeczki
 Myśl i *mentes* obracamy.
 Widziałem go sam przy kordzie,
 W żupanku ze złotej lamy,
 W kontuszu, ze krwią po mordzie
 Kapającą jak berberys;
 Lecz bestya w żar się rzuciła

Tanquam drago. De caeteris
 Nie piszę. Chłopstwo jest czarne,
 Krwawe, wściekłe i niekarne;
 Wódką i miodem zalane,
 Przez popy oszukiwane,
 Karmione w cerkwiach proskurą
 Śród krwi, mordów, których pióro
 Dotknąć się boi w pisaniu.
 Powiem też, że dzisiaj rano,
 Będąc sam na harcowaniu,
 Razem z jutrzeńką różaną,
 Z ogniem płonącej aurory
 Do sławnego Wernyhory
 Dotarłem. — Lecz żal się, Boże! —
 Stary w samotnym futorze,
 Nad którym dęby kołyszą
 Swoje złote Sybillińskie
 Listeczki, nie wart tej famy,
 Którą pieśni ukraińskie
 Rozniosły, i z czém się słyszą
 W kraju — i futor augura
 Do Trofoniuszowej jamy
 Nie umył się — choć i to dziura
 W pobliżu dawnych kurhanów,
 Pełna starych lir i dzbanów,
 Mogłaby wiatrem przesyta
 Wydawać sybilne jęki.
 Widziałem miecz Doroszenki
 I złote końskie kopyta;
 Sądzę, że są tylko z miedzi
 W ogniu dobrze pozłocene.
 Sam zaś starzec... w jamie siedzi,
 Spokojnie i rzeczy śnione,
 Pełne szumu i zamętu,
 Rozповіда bez talentu
 Mieszanym chłopskim językiem.
 Żeby zaś był czarownikiem,
 Nie wierzę... gdy na pytanie
De propriis, Wielmożny Panie,
 Plółł mi, zwyczajnie gaduła,

Że mi żonka moja spruła
 Kaftanik dawno zaczęty...
 Że co do mnie, będę wzięty
 Przez dwie chorągiewki w stepie,
 Jak szczygieł i gil na lepie
 W przerażeniu odrętwiały,
 Że prócz głowy, będę cały
 W grobie. — Na te przepowiednie
 Spoglądam jako na brednie,
 Nic z nich nie rokując złego,
 A do krzyża się krwawego
 W każdój niedoli uciekam.
 Teraz na rozkazy czekam
 Dalsze i jestem ostrożny.
 A gdy pan jaśnie wielmożny
 Rozkażesz, to krew się zbudzi,
 I będę ryzykował ludzi
 I siebie...“

REGIMENTARZ.

Pocziwy szlaga!

LEON, czytając list.

„Kończąc list w zwykłym afekcie,
 Który mi się z wiekiem wzmaga,
 Jaśnie wielmożnego pana
 Sługa ściskam za kolana
 I córce, co na respekcie
 W jego domu kornie służy,
 Z téj krwawój mojej podróży
 Posyłam błogosławieństwo,
 Zupełnie o jój panieństwo
 I dalsze losy spokojny.“

REGIMENTARZ.

Poślę mu huf jeden zbrojny.
 A ty, Lwie, napisz, niech czeka
 I niech unika rozprawy,
 Aż przybędzie z niedaleka
 Chorągiew kozaka Sawy,
 To pójdziemy na pewnika.
 Teraz niech boju unika,

W lasach lega nie na stepie,
 Ani na wietrznym wertepie
 Harcuje... Dodaj dwa słowa:
 Że Salusia jego zdrowa,
 Że my go wszyscy kochamy,
 Z téj Trofoniuszowój jamy
 Złego nie rokując sobie,
 Wszakże omenu ciekawi...
 A jeśliby już był w grobie,
 Proś go, niech głowę wystawi
 I nie straci polskiej duszy,
 A ja go wyciągnę za uszy.
 Cha! cha! bajkarz Wernyhora
 Staremu napłótl powiastek!...
 Pójdę do naszych niewiastek
 Powiedzieć o téj potyczce
 Z duchami... A ty... czy wczora
 Oświadczyłeś się księżniczce?

LEON.

Nie śmiałem, ojcze kochany!

REGIMENTARZ.

Głupis! więc ja cię wyręcę.

LEON.

Ojcze!

REGIMENTARZ.

Anis do kieliszka,
 Ani do... serce zajęcze!
 Na sygnet świętego Franciszka
 Przysięgam! że cię zaręcę
 Dziś jeszcze tym oto krwawnikiem.

Całuje pierścień i wychodzi.

LEON.

Semenko, siądź za stolikiem
 I do Gruszczyńskiego napisz
 Ekspedycyą.

Wychodzi.

SEMENKO.

Dobrze, panie!

Zrzuca burkę i siadając przy stoliku pisze.

Złotyj Lach... Ot czart i papież
 Na moje edukowanie
 Musieli łożyć pieniądze.
 Oj, staremu ja szlachciurze
 Taką wannę przyporządzę,
 Takim pismem się przysłużę,
 Taki bodiak mu przyczepię,
 Że, oj wspomni on w purpurze,
 Toj dziad, cały w krwawych ranach,
 Jak mię kiedyś bił na stepie,
 Szukając skarbów w kurhanach.

Stary dziad! żałosny sknera!
 Bywało, chłopcy odziera
 I plecy nahajem porze
 A złoto w szkatule dusi...
 Każdy dzień, mówi, wyorze
 Perełeczkę dla Salusi
 I turkusik da błękitny,
 Albo pasek axamitny;
 Aż, powiada moja córka,
 Cała w perłach i brylantach,
 Będzie grzebała jak kurka
 W księciach i grafach amantach.
 Ot i wybrała szczyglica,
 Nim szesnastu latek doszła,
 Gacha, przy blasku księżyca,
 Z którym sobie za mąż poszła
 Bez barwinku i bez księdza...
 Tam stary w stepach się pędzą
 Za wiatrem i rzezuniami,
 A tu młokos dziecko plami
 Na respekcie w ojca domu.
 A ja... a ja... a ja ginę
 Z miłości!

Nalewa szklanekę romu i pije.

Hej! szklanekę romu!

Ot za tę jedną dziewczynę,

Gdyby słowo mile rzekła,
Skoczywby jak czart do piekła,
Wyrezałby dwór i pany.

Był ja niegdyś wychowany
Na hetmana, nie na chłopa;
Choć syn Gruszczyńskiego popa,
To bywało na kurhanie,
Kiedy koń nademną stanie
A miesiąc w oczy uderzy,
To ja sobie śnił z rycerzy
Wielkie hufce, błyskawice,
Rusałeczki i księżyce;
Hej, i zamek na Ostrowie
I hetmański miecz w alkwie;
A ja, wtenczas pan mieczowy,
Wyśnił sobie, snem Widuna,
Od miecza jak od pioruna
Wyzłoczone dno alkowy;
I w téj wielkiej ognistości,
W tym oblasku i rubinie,
Śnił ja siebie przy dziewczynie
Pełnej wiary i miłości;
A to była jakaś nowa,
Blaskiem miecza koralowa,
Jakaś wielka hetmanowa,
Jakieś serce bohaterne,
Zapalone, na śmierć wierne,
Na atłasach, na kobiercu
Bijące mi tuż przy sercu.

A dziś, co ja? Kozak dworny,
Rzeski, śmiały i przezorny,
I do korda i do czaszy,
Lecz nie długo sługa łaszy!
Hej! kozaczek was nastraszy,
Pany Lachy! taj w godzinę
Ruszy całą Ukrainę
I z królem ją rozgraniczy.

Wbiega panna Salomea Gruszczyńska.

SALOMEA.

Semenko!

SEMENKO.

Od jój słodyczy
Serce mi pęka... Szczo panna?..

SALOMEA.

Troska jakaś nieustanna
Dręczy mię. Ciągłe sny niewam,
Chociaż przed każdym usnięciem
Głośno Anioł Pański śpiewam.
Ciągłe sny, których pojęciem
Wytłómaczyć i pojąć nie mogę..
Ojciec mię także niebogę
Przestraszył tym Wernyhorą
I sen znowu spędził z powiek.
Powiedz mi, co to za człowiek?
Czy go znasz? skąd mu się biorą
Te wróżby?

SEMENKO.

Z ducha, panienko.

SALOMEA.

Kiedy ja byłam maleńką,
To o nim słyszałam wiele..
Powiedz mi, czy on bywa w kościele?
Czy się modli do Najświętszej Panny?

SEMENKO.

Czart wie...

SALOMEA.

Czart wie? ach! jaki ty blady!
Lękam się go... czy ty chory czy ranny?
Ach!

Semenko nagle gasi świece, Salomea złękciona ucieka.

SEMENKO.

Ptaszynę maleńką ja spłoszył..
Taj nie da z tą Laszką rady
Człowiek, póki się krwią nie spanoszył.

Siada znów na ławie i udaje drzemiącego. Wchodzą REGIMENTARZ i KSIĘŻNICZKA, będąca u niego na opiece.

REGIMENTARZ.

Dosyć tu srebrnych blasków od księżycyca,
 Moja księżniczko, bo na to, co powiem,
 Płoni się każda dostojna dziewica;
 Mój syn przepłaci téj miłości zdrowiem,
 Jeżeli serca dla niego nie ruszysz;
 Chłopca mi, moja piękna panno, suszysz.

KSIĘŻNICZKA.

Syn mię acana nazywa księżycem,
 A księżyc ani suszy, ani grzeje.

REGIMENTARZ.

Więc mi chłopczyna biédny oszaleje,
 Ciągłe pod twojém rozwidnioném licem,
 Na białe, srebrne strzały wystawiony.

KSIĘŻNICZKA.

Lecz mówi, żem ja księżyc jest czerwony.

REGIMENTARZ.

Być może, moja dowcipna dziewczynko!
 Czerwony, bo ty jesteś Ukrainką,
 A ukraińskie miesiące w czerwieni,
 Zresztą... nie mogę w dowcip iść zapaśnie...
 Jak się syn z białym miesiącem ożeni...

KSIĘŻNICZKA, przerywając.

Będzie zaćmienie wielkie... miesiąc zgaśnie.

REGIMENTARZ.

Dobrze!... po ciemku kochać się będziecie.
 Weź ten pierścionek...

KSIĘŻNICZKA.

Zarzucę go w śmiecie.

REGIMENTARZ.

Nie róב, acanna, sobie z tego śmieszek,
 Bo to jest krwawnik mój święty Franciszek,
 Sygnet cudowny, przez dziada mi dany,
 A tak przez usta już wycałowany,

Że świętych rysów na nim ani śladu.
 Usteczek twoich pierścionek, uwity
 Z róż i perełek, będzie tak zużyty.

KSIEŻNICZKA.

Więc go drugiemu oddam.

REGIMENTARZ.

Daj cię gadu!
 Jakaś dowcipna!... Tego nie chcę wcale.
 Powiedz mi, kiedyż wam hymen zapalę?
 I wniosę pierwszy za zdrowie kieliszek?

KSIEŻNICZKA.

Jak się pokaże ten święty Franciszek,
 Zejdzie z pierścionka i ślub da w kościele.

REGIMENTARZ.

Czasu ci nie dam, dziewczyno, tak wiele,
 Jutro mi staniesz przed wielkim ołtarzem,
 Nie darmo jestem tu regimentarzem;
 Zregimentuję was do posłuszeństwa...
 Dziwno, że wszystkie waćpanny błazeństwa
 Tak mi są miłe jakby głos słowika.

KSIEŻNICZKA.

Więc jako wdowiec oświadczyć mi się z ręką,
 A ja ci wrócę twojego krwawnika.

REGIMENTARZ.

Co za szalona i głupia dziewczyna!
 Jak to? więc wolisz mnie niż mego syna?

KSIEŻNICZKA.

Nie wiem, co wolę, namyśleć się muszę.
 Skowronków pełną wiosennych mam duszę,
 Kapryśną jestem i trudną dziewicą.

REGIMENTARZ.

Więc się namyślaj, moja kapryśnico,
 Ale nad suknią, nie zaś nad małżonkiem.

Wychodzi.

KSIĘŻNICZKA.

Otóż zostałam z szlacheckim pierścionkiem
 I sprawdzają się widzenia
 I świat jest z duchami zgodny,
 Bo krwawość tego pierścienia
 Świadczy o tém, że to pierścień rozwodny.
 Bo ta kropla, z Dejaniry
 Koszuli na mnie skapana,
 Dawno mi przez srebrne liry
 Była już zapowiedziana.
 Widzę na palcu człowieka
 Ten pierścień; w ciało się wjada,
 I do kości dłoń wypieka
 I z węglem, z ręką upada.
 Ach! i widzę, ach! i słyszę
 Jeszcze głos lirnego dziada,
 Co jak dumka na sen mię kołysze.
 Ach! i wioszczaną ulicą
 Leci rycerz — tak że chaty,
 Miecza jego błyskawicą
 Oświecone, świecą w sadach
 Jak złoto, różane kwiaty...
 Ach! i śpieszy po lewadach
 Dziad do wesela potrzebny,
 Podarunek niosąc srebrny,
 A za nim co?... družka trupia...
 O! Boże, jaka ja głupia,
 Że o snach marzę ogniście,
 Jak gdybym z duchami żyła;
 Gdym na świecie rzeczywiście
 Takie głupstwo popełniła,
 Że choćby się teraz dręczyć
 I być braną przez miłość lub trwogę,
 To już ani się zaręczyć,
 Ani żoną być nie mogę.

Spostrzegając Semenkę.

Jezu! kozak się rozczuchał,
 Zginionam... jeśli podsłuchał,
 Jeśli mi stanie za świadka,
 Że gdy słońce zejdzie z czoła,

To ja nie zawsze wesoła,
Ale czasem jestem smętna waryatka.
Semenko.

SEMENKO, udając, że się budzi.
Czego potrzeba księżniczce.

KSIEŻNICZKA.

Świętojańskiego robaczka w różyczce,
Gwiazdy i kwiatu, rybki i motyla,
Fenixa, myszki białej, krokodyla,
Sługi i pana, smutku i zabawy...
Czy ty służyłeś pod chorągwią Sawy?

SEMENKO.

Nie, ale znam go.

KSIEŻNICZKA.

Jakże on wygląda?
Czy na barana, czyli na wielbłąda?
Czy na kozaka, czyli na szlachcica?
Czy jest jak chmura? czy jak błyskawica?
Czy z oczu jemu patrzy chłop czy książę?

SEMENKO.

To patrzy, co mnie...

KSIEŻNICZKA.

Ach! to być nie może,
Bo tobie z oczu popowicz wyziera.

SEMENKO, na stronie.

Ach! ty proklata!

KSIEŻNICZKA.

Przebacz mi, ja szczeram...
Z tobą się o ten pierścionek założę,
Że ty syn popa.

SEMENKO.

A jak syn czarta?

KSIEŻNICZKA.

Jezu! ten człowiek gotów mnie zadławić.
Ucieka.

SEMENKO.

Budesz ty sto hroszy warta,
 Jak pozwolę się pobawić
 Moim chłopom po zamczysku...
 Jak z kosami potańcujem
 Po nocy, na cmentarzysku,
 Taj w sobie czarta poczujem...

Wychodzi.

ZMIANA I.

Las dębowy, oświetlony księżycem, między drzewami palą się ognie, i żołnierze polscy gotują strawę... albo czyszczą konie. Wchodzą na scenę STARY GRUSZCZYŃSKI i pewien wojak PAFNUCY.

GRUSZCZYŃSKI, do obozujących.

Na téj się leśnej lewadzcie
 Rozłóżmy, mości panowie,
 Miesiąc do snu ludzi kładzie...
 Trzeba dbać o koni zdrowie
 I od rosy strzec pałaszy;
 Zgotujcie jaglanęj kaszy,
 Zaśpiewajcie hymn powstański!
 A śpiewem na Anioł Pański
 Zakończyć tę wieczernicę...
 I sza! noc przepędzić cicho,
 Bo po lasach nie śpi licho,
 I można bez ostrożności
 Zobaczyć swój łeb na tyce...
 Bo to wojna bez litości,
 Z orłami biją się krucy.

Wchodzi na scenę.

Mości wojaku Pafnucy,
 Siądźmy tu na osobności,
 Muszę pomówić z waćpanem.

Siadają.

PAFNUCY.

Słucham, stary mój kolego.

GRUSZCZYŃSKI.

Więc bez exordu żadnego,
 Jak gdybyś był kapelanem,

(Co być bardzo może... bo się
 Dominus vobiscum niby
 Przebija w acana głosie)
 Powiem ci, że jakieś grzyby
 Smutku na sercu mi rosna.
 Oto, panie, z przeszłą wiosną,
 Gdy biły trąby wojackie,
 Na hasło konfederackie
 Nie poszedłem... Tak to bywa,
 Że starość radzi leniwa
 A potem żal człowiekowi.
 Bar upadł! Bar upadł, mocanie!
 Zaufali Chrystusowi
 A upadli!...

PAFNUCY.

Na kolanie
 Pokutuj waść za te słowa.

GRUSZCZYŃSKI.

Świątynia to purpurowa
 Pokuty — pierś moja stara,
 W której się serce rozpara
 Na wszystkich szwach, krwią lejące :
 Bo serce było gorące,
 Jak zwyczajnie w starym Lachu,
 Ufne... a teraz w przestraczu
 Do chmur wygląda nieśmiało,
 Pod bicz ofiaruje ciało
 A jednak ptaszyna licha,
 W piersi mojej ledwo żywa,
 O odwrócenie kielicha
 Modli się. Bo kto używa
 Żywota, obok potoku,
 Którym sprawy boże płyną,
 Kto chce spokojny z rodziną
 Swoję kość gdzieś gryść na boku,
 Wiejskich kosztować słodyczy,
 Choć się nie policzą ludzie,
 To się Bóg z takim policzy...
 A już wspomniałem podobno

Aści o posepnym cudzie,
Który mi rodzinę drobną
Nastraszył... Rzecz niesłychana!

PAFNUCY.

Chrystus do domku waćpana
Zapukał?...

GRUSZCZYŃSKI.

Trzy razy! trzy razy!

PAFNUCY.

Mocanie, to są rozkazy,
Którym oprzeć się nie można.

GRUSZCZYŃSKI.

Toż widzisz mię waść na koniu,
Choć rodzina o mnie trwożna,
Żona w ciąży — na ustroniu
Dom obok czarnego lasu.
A kiedym siadał na bryczkę
A dzieci aż pod kapliczkę
Biegły za mną, to się z pasu
Irysowego widomie
Odkryła jasność na domie,
Na którą dziatki łakomie
Patrzyły, aż zdjęte strachem
Krzyknęły, że widzą nad dachem
Jakaś nową tajemnicę,
Jakaś gorejącą świecę,
Co je bardzo niespokoi,
Bo nad samym domem stoi,
Jak krwawe serce z płomyków.
Na co ja patrząc, zmaluchłał
I z dziatkami razem struchłał,
Bo nad domem nieboszczyków
I nad chatą ludzi chorą
Często takie światła gorą.

PAFNUCY.

Pan Bóg litośniejszy bywa.

GRUSZCZYŃSKI.

Toć ja ufam, i leniwa
 Dusza się krzepi nadzieją.
 Wszakże gdybym tu ja zgiął,
 A duchy święcy nie zwieją
 Z dworku, gdzie mi wiek przemiął
 Tak słodko przy méj rodzinie,
 Gdziem ja miał ojcowskie graty
 Jeszcze wzięte na Turczynie,
 A pod dąb mój rosochaty
 Wodził gości... i pił kawę
 W dawnych, starych roztruchanach,
 Pacierz mówił na kolanach,
 Córkom gotował wyprawę;
 Jeśli to wszystko pójść musi
 Z wiatrem... pomnij o Salusi,
 Bądź dla niéj jak ojciec szczerzy
 I groźny jak ojciec drugi.
 Bo to skrzydlate chimery
 Gotowe złotymi cugi
 Przybyć po nią z pieśnią słodką,
 I dzieciątko moje ciche,
 Jakby jaką drugą Psychę,
 Zrobić maleńką szczebiotką,
 Którą za skrzydełka złote
 Strzepotane Kupid chwyci.
 A potém, gdy się nasyci,
 To wypędzi na ciemnotę,
 Rzuci gdzie, jak dzban rozbity.
 Pamiętaj! to dziecko krwiste,
 Oczęta ma przezroczyście,
 Zielone, jak selenity;
 A zdają się na zuchwałóść
 Podwodzić szatańskie wzroki...
 A taka płci wielka białość!
 A takie gorsu uroki!
 Że się boję o nią — boję!
 Bardzo boję!

PAFNUCY.

Bądź spokojny.

GRUSZCZYŃSKI.

Powiedz, że ja przy niej stoje
 Zawsze... choćbym pozbył ciała;
 To w anielską palmę zbrojny
 Stanę... i będzie słyszała,
 Jeśli się złego dopuści,
 Mój głos z piekielnej czeluści
 Wołający.

PAFNUCY.

Nie wróż smutnie.

GRUSZCZYŃSKI.

Bo to widzisz, po tych dworach
 Są Włochy dzwoniące w lutnie,
 Ubrane w różnych kolorach,
 Niby dyabli w opalowych
 Zbrojach... a wewnątrz zepsuci;
 Ci dziewczątek świeżych, zdrowych
 Szukają... żądłem je wabią,
 Aż ptaszeczek im w gardło się rzuci.
 A są jeszcze sztuką babią
 Zajęte stare matrony,
 Co porzuciły robrony
 I kornety... a te dziecku,
 Już ubrane po niemiecku,
 Straszne czasem dają rady.
 Gdy je widzę w strusich kitach,
 Chodzące prawdziwe gady,
 Tobym się na tych kobietach
 Pastwił! szelmy niegodziwe!
 Prawdziwie są dyabłą milicyą.

Wchodzi KOZAK regimentarski.

Skąd ty, kozak?

KOZAK.

Z ekspedycyą

Od dworu.

GRUSZCZYŃSKI.

Czemu tve ślipie
 Takie jasne? takie krzywe?
 Czy się spił na jakiej stypie?

KOZAK.

Witrom spity.

Odchodzi. Gruszczyński obraca się ku ogniewi i list czyta.

PAFNUCY.

Co się zdarza
Waćpanu? bledniesz, czytając.

GRUSZCZYŃSKI.

Pieczęć jest regimentarza,
Lecz list?... Czy on urągając
Pisał? czy był śmierci blisko?
Hej, rozpalić tam ognisko!
Niech lepiej te charaktéry
Wyczytam...

PAFNUCY.

Nie zmieniaj cery.

GRUSZCZYŃSKI.

Mocanie! pies pod podwórzem
Nie raz lepiej traktowany!
Patrzaj, nazywa mię tchórzem!
Na czyste Chrystusa rany,
Którym ja się krwią zadłużył,
Klnę się... powiada, zem stchórzył,
Zem zleniwiiał, że... sto beczek
Krwi mojej na ludzi tych głowie!
Piszą, zem z chłopami w znowie,
Że... Będę mały człowieczek
Nie człowiek, jeśli przebaczę!

PAFNUCY.

Daj aść — niech ja list zobaczę.

Bierze list.

To ręka i styl jest sługi.

GRUSZCZYŃSKI.

Na pieczęć patrz! krwawe strugi
Acherontu z ognia i krwi!
Na te słowa marszczę brwi
I trzęsę światem... Ja tchórz!
Otóż to tak, ludziom służ,

Nocuj w lesie pod namiotem,
 To cię obrzucają błotem!
 Otóż to tak z ludźmi tymi
 Nowego serca i wiary!
 Kazali ciągnąć w te jary,
 Ciemny komin, loch na ziemi;
 Gdzie wiem, że pewna zasadzka
 I cała czerń hajdamacka
 Zasadzona.

PAFNUCY.

Więc im szczerze
 Odpisz... ja z listem pojadę.

GRUSZCZYŃSKI.

Ja mazałbym po papierze?
 Ja!... oskarżony o zdradę
 Nie krwią, życia fundamentem
 Bronił się?... lecz atramentem
 I piórem z gęsi ogona?
 Nie, mocanie! krew czerwona!
 Ten mózg pod chłopów obuszkiem!
 Mózg i krew ta na ich głowy.
 A potem duch purpurowy
 Z rozdartą piersią nad łożkiem!
 I niech im Pan Bóg da zdrowie.
 Ja tchórz... Na koń! do szabel, panowie.

Wybiega i widać go ruszającego obóz.

PAFNUCY, sam.

O! wielki Boże! sprawdzać się zaczyna
 Domowi temu wróżona ruina,
 I Chrystusowe do drzwi zapukanie
 Karcące, późne krwi ofiarowanie,
 Spełni się jako straszliwa nauka
 Dla czekających, aż Pan Bóg zapuka.
 Leniwy starzec był, teraz ognisty.
 Więc choć to pewno zmyślane są listy,
 Teraz go w małej mogile położą
 Za to, że wzgardził wielką sprawą bożą.
 Lecz sądy boże są nieprzewidziane!
 Cokolwiek będzie, piersią przy nim stanę.

Wychodzi.

ZMIANA II.

Noc, ogród nad stawem, księżyc świeci. Wchodzi LEON w głębokim dumania.

LEON.

To już ostatnia będzie schadzka nasza,
Ostatni raz czekam na nią.

Człowiek skarb serca rozprasza.

Każda chce mu zostać panią

Wieczną... a tego nie zgadnie,

Że gdy raz łatwo upadnie,

To później chyba pod kłódkę

Człowiek zamknie taką żonę.

Na to dzieciątko stracone,

Jak na małą niezabudkę

Księżniczka patrzy z wysoka

I ze mnie nie spuszcza oka.

A kiedy uczyni wzmiankę,

To mię tak śmiechem uderza,

Jak gdybym kochał sielanekę

I sam wyszedł na pasterza.

Sali prosta jest i wierna.

Ale w najprościejszej leży

Taka obłuda misterna,

Tyle głębokiej odzieży,

Taki kałkuł na dnie duszy,

Taki instynkt oszukaństwa,

Taka chciwość blasku, państwa,

Taka głęboka nauka

Zadawania ci katuszy,

Że wierność ich jest to sztuka,

W którą czart oczy pochował.

One wiedzą, że to ołów,

Coby samych archaniołów,

Wisząc u skrzydeł, zmordował...

One z tém na świat przychodzą,

Wiernością nudzą, lub zwodzą,

Obdzierają nas z odwagi,

Liczą na litość! — od matek

Nauczone, że ten statek

I łyzy, to są ich posagi.

Nim się ze światem obezna,
 Każda wie, że woń w narcyzach
 Jest drogą, że mąż ją zezna
 I zapisze w intercyzach,
 Ewikcyonując wyprawę.
 Naprzód je widzisz ciekawe
 Twego serca, słów niebaczących;
 A do przyrzeczeń dwuznacznych
 Podchwytywania umiętne;
 Potém widzisz nagle smętne,
 Ze łąą, co się w oczach kręci.
 A pewne dziwnój pamięci,
 Książki, gdzie w papier różany
 Sam przez siebie jest wpisany
 Wszystkimi giesty i słowy;
 Wkuty jak w kamień grobowy
 W ich pamięć, już nie gorący,
 Ale przez ten papier ssący
 Z ognia, z kolorów wypity;
 Kwiat zwiędły w sercu kobiety.
 I ty, co z gwiazdy pochodzisz,
 One dowiodą, żeś marny,
 Głupi, żeś jak szatan czarny,
 Że dla nich tylko się rodzisz.

Wchodzi SALOMEA.

SALOMEA.

Jakże dzisiaj twoje zdrowie?

LEON.

Tak jak zawsze — ogień w głowie!

SALOMEA.

Ty wczoraj już byłeś dziki,
 Już na miłość niepamiętny,
 Bardzo dla mnie obojętny.

LEON.

Wczoraj to były ogniki,
 Dziś ogień... dziś gorszy jeszcze.

SALOMEA.

Daj rękę — ja cię popieszczę,
Zamówię i uspokoję.

LEON.

Nie, nie, słodkie dziecko moje,
Ot byś lepiej szła nabożna...
Do stu dyabłów! tak nie można
Życ dłużej! czy my cyganie?

SALOMEA.

Powiedz, cóż się ze mną stanie?
Cóż ja nieszczęsna uczynię?

LEON.

Co?... miłość twoja przeminie.
Dasz sobie na świecie radę,
Pójdiesz za mąż, ja przyjadę,
Jeśli na wojnie nie zginę,
Przyjadę kiedyś w gościnę;
A ty wtenczas, moja miła,
Przyjmiesz mnie, będziesz za siostrę.

SALOMEA.

Słowa twoje bardzo ostre...
Jam się dziś szczerze modliła
Za ciebie.

LEON, na stronie.

Baran do rżnięcia!

SALOMEA.

Ty nie masz ani pojęcia,
Co to jest modlić się za tych,
Co nas gubią?

LEON.

Rozkosz czysta!
Rozkosz aniołów skrzydlatych.
Dla drugich zaś krzyż i ognista
Męka, jeśli są modlitw niewarci...
Gdyby to wiedzieli czarci,
Mówiliby zawsze różańce.

SALOMEA.

Ach! piekielni obłąkańce
Więcejby litości mieli.

LEON.

My nie jesteśmy anieli,
Ani ja... ani ty... mała!

SALOMEA.

Jeśli ja téj gwiazdzie widna,
To pewnie się rozplakała,
Widząc mnie... jaka ja biédna!

LEON.

Doskonała! doskonała!
Gwiazd wzywa! z kwiatami gada!

SALOMEA.

Wiesz ty, dla czego ja blada?...
Ja chora.

LEON.

Cóż ci dolega?

SALOMEA.

Nic...

LEON.

Spuściłaś na dół oczy?
I łąza ci po rzesach zbiega?

SALOMEA.

Ach! niechaj się ta łąza stoczy...
Niechaj obmyje sumienie...
O Panie! choć oburzenie
Czuję dla twojej srogości,
Jeszcze o trochę litości
Proszę, a to ci wynurzę,
O czém dotąd same róże
I gwiazdy tylko wiedziały.
Otóż słuchaj... Na kawały
Serce się biédne rozpęka,
A jeżeli moja męka
Ciebie nie skruszy? to będzie

Cud... alboś ty jest narzędzie,
 Którém Pan Bóg mnie ukarze...
 Dwa temu tygodnie... śnię ja,
 Że matka moja mi każe,
 Abym ja u dobrodzieja
 Gruszczyniec, twojego taty,
 Prosiła dla niéj o konie,
 Bo ją człek jakiś brodaty
 Ściga, straszy, chwyta w dłonie
 I... (rzekła to najwyraźniej,
 Jakby przestrachem wzdrygnięta...)
 Jeśli się Salusia zbłąźni
 A prośby téj nie spamięta,
 To będę z dziećmi zarżnięta...
 To rzekła i we mgłę wsiękla.
 A ja zbudzona, przelekleła
 Myślałam, czy prosić czy nie;
 A naprzód wstyd był dziewczynie
 Mówić o snach i o marze,
 A potém: — (jak ja się ważę
 Stać tu na takiej spowiedzi?)..
 Myślę, jak tu nas odwiedzi
 Matka — a spojrzy mi w oczy,
 To mi rumieniec wyskoczy;
 A ona słowo po słowie
 Wypowiada, drżąca trwogą,
 I zapewne nic nie powie,
 Ale na mnie spojrzy srogo,
 Wzrok jak nóż w sercu obróci;
 Zada mi boleści krocie;
 Zacznie coś gadać o cnocie,
 Z gorsu mi różę wyrzuci,
 Każe włosy pleść inaczéj,
 Robotę na dzień naznaczy
 I będzie patrzała z boku
 Na łzy kręcące się w oku:
 A ja .. o Jezu kochany!
 Nie będę już do altany
 Mogła biegać nocną doba,
 Ani się widywać z tobą

Co wieczora pod tą brzozą,
 Pod tą czarną altanczką;
 I może mię gdzie wywiozą,
 Albo z jakim siejo-hreczką
 Ożenią. To o tych rzeczach
 Gadałam ja sobie w nocy
 I spałam jakby na mieczach;
 A budziłam się bez mocy,
 Jak ukraińscy Widuni,
 Którzy ciągle widzą trupy.

A wstydziałam się też kupy
 Dziełek... i ślepój babuni...
 Tu, gdzie takie toalety
 I woskowane parkiety;
 A ona, co po jaskółkach
 Świegotaniu deszcze wróży,
 Albo się w krzesła na kółkach
 Każe wozić po ogrodzie...
 Tu ja... w atłasie, przy róży
 U boku, ja, panna w modzie,
 Ze złożonym wachlarzykiem,
 Musiałabym (myślę sobie)
 Wozić ją i ach... przy tobie
 Mówić z nią chłopskim językiem,
 Bo ona po polsku nie umie...
 To bywało w sercu tłumię
 Przestrachy moje tajemne,
 Zgryzoty, przeczucia ciemne,
 I te sny nazywam marą:
 Lecz w noc i w godzinę szarą
 Myślę i myślę o domu
 Pełna niepojętej troski,
 Ach... i do Matki się boskiej
 Modłę we łzach i nikomu
 Nie mówię, lecz drzę i płacę.

Otóż ja téj matki, panie,
 Może nigdy nie zobaczę!
 Bo dziś pod samo zaranie
 Śniła mi się gdzieś, w pustkowiu;
 Potém tu, cała z ołowiu

I w ołowianej spodnicy,
 Niby z perłowej macicy,
 Z jednej perły była cała.
 A twarz zwiędła i schorzała
 Także koloru ołówka
 Była już jak trupia główka
 Na krzyżu wyrysowana.
 Tu szła, panie... tu... tą stecką...
 A ja w tej róży schowana,
 Drżąca, jak małeńkie dziecko,
 Które się przestraszy dziada,
 Co główkę z liści wysadzę
 A ujrzę, że ona blada
 Idzie, to chowam się w ciernie,
 Oczyma za nią prowadzę,
 Zziębła i blada niezmiernie,
 Cierniami cała pokłuta,
 Bijąc się jak słowik w nocy,
 Gdy w klateczce spadnie z druta,
 Chce latać i nie ma mocy,
 Tylko się trzepoce w klatce...
 Tak ja, panie, mojej matce
 Dziwiąca się, strzepotana,
 Chowałam się w krzaku skryta,
 Cała zziębła i rumiana,
 Jak czerwona włóczka zwita
 W kłębuszek... I cóż ty na to?

LEON.

Sałynka, będziesz bogatą,
 Srebrny sen bogactwo wróży;
 A że się chowałaś w róży,
 To dobrze; pisano w górze,
 Że w twym życiu będą róże.

SALOMEA.

I ciernie?

LEON.

I ciernie będą.

SALOMEA.

Otóż ty mię złotą wędą,
 Panie, ułowiłeś sobie,
 I porzucić chcesz, jak widzę?
 Ale póki ja nie w grobie,
 To się ty nie możesz żenić.

LEON.

Jak to?

SALOMEA.

Bo ja cię zawstydzę:
 Sama się będę rumieniść,
 Sama się wstydem ukarzę,
 A ciebie publicznie oskarżę.

LEON, na stronie.

Co słyście! wejdźmy z nią w targi.

SALOMEA.

Słuchaj, i będą dwie skargi
 Z jednych ust przeciwko tobie.

LEON, na stronie.

Co ja z tą dziewczyną zrobię?

SALOMEA.

Z jednych ust wyjdą dwa głosy.

LEON, na stronie.

Ach, wrywać teraz włosy!
 I z boleści kasać ręce!...

SALOMEA.

I zaręczyny książęce
 Ja zerwę... zerwę szalona!
 Bom jest na to podmówiona
 I udarowana mocą
 Przez duchy... co tu w altanę
 Weszły i tam się trzepocą
 Jak gołębie krwią zwalane,
 O ten liść otarte suchy,
 Jakieś białe, krwawe duchy!

Odchodzi.

LEON, sam.

Co? czy w obłąkanie wpadła?
 Czy widzi krwawe widziadła?
 Albo li też chce udaniem
 I aktorskiem obłąkaniem
 Sumienie ciężej przywalić?
 Na Boga! to nowa sztuka
 Niewieścia! serce rozżalić,
 Potém jeść je dzióbem kruka
 I rozdzierać, aż zaboli,
 Aż własnej pozbędzie się woli.

Wchodzi SEMENKO.

SEMENKO, na stronie.

Podsłuchałem ich w altanie.

LEON.

Ach! Semenکو.

SEMENKO.

Jasny panie!

LEON.

Chodź tu, Semenکو kochany,
 Bóg mi cię pewno przysyła.

SEMENKO, na stronie.

Skaży: czort.

LEON.

Ot, z téj altany
 Tylko co tu wyskoczyła
 Tego Gruszczyńskiego córka,
 Z którą ty nie raz mazurka
 Tańczył... i téj młodej pani
 Zasługiwał się, figlował.
 Ja wiem, że ty nieraz dla niéj
 Twoje dumki komponował
 I pod oknem w torban dzwonił..
 Ot, i teraz się zapłonił
 Jak dziewczyna.

SEMENKO.

Ta, czy druga!

Ja nie szlachcie ale sługa,
 Kozak pański, król na stepie,
 Szukam, gdzie serce przyczepię,
 A nie można? jeśli Laszka
 Wyżej sobie okiem mruga
 I złotego łowi ptaszka,
 Tfu! to dla mnie ta czy druga!

LEON.

Ja wiem... ale ta dziewczyna
 Nie wyszła z pod adamaszków;
 To równa tobie chudzina,
 A ty chwata do takich ptaszków.
 Gdyby ty chciał, toby miał ją,
 Spróbuj tylko.

SEMENKO.

Czarta by chciał ją!

Na có mi się piąć do państwa!
 Z asawulstwa i poddaństwa
 Kontent jestem... i ze służby
 U panycza.

LEON.

A mi jużby

Ty szlachcianki téj odmówił!
 Cóż, na prawdę, mój Semenko,
 Jam z nią w téj altanie mówił
 I serduszko miał pod ręką.
 Kiedy wspomniałem o tobie,
 Rzekła: nie, ale tak cicho,
 Że mnie aż porwało лихо,
 Bom ją kiedyś ja sam lubił...
 Lecz takiéj biédnej chudobie
 Nie mogłem (bobym się zgubił
 U ludzi) oświadczyć z ręką.
 Ot ja sobie z tą maleńką
 Igrał, póki było można;
 Lecz to dziewczyna pobożna,
 Świącie w domu wychowana,

Gdyby ty miał ognia w kości,
To wyszedłby z nią na pana,
I przyszedłby do miłości.

SEMENKO.

Zróbcieź mnie, panyczu, panem...
Jeśli chcesz.

LEON.

A chcesz, to zrobię:
Osadzę gdzieś nad limanem,
Dam ci futer na początek,
A wam, jak biédnej chudobie,
Bóg pomoże i dzieciątek
Wam naśle, które z zapału
Gniewnego ojca ostudzą.

SEMENKO, padając do nóg z udanym płaczem.

Nech tobi Boh!

LEON.

Stój... pomału!...
Trzeba z tą perełką cudzą
Ostrożnie... chociaż to cuda,
Jeżeli nam się nie uda,
Jak się dobrze weźmiem oba...
Ona ciebie upodoba.
Ja wiem, znam ją, z iskier cała...
Gdyby teraz nie kochała,
To cóż, że trochę zaszlocha?
Jak przywyknie, to pokocha...
Jak z tobą w stepach zagości,
To step... ach! step, raj w miłości
Z taką szlachecką panienką!
Cóż, głupcze?... cóż ty, Semenکو?
Czy nie myślisz o kochaniu?

SEMENKO.

Ach! ja, panie, w obłąkaniu!

LEON.

Nie bądź głupi...

SEMENKO, znów rzucając się do nóg.

Ja twój sługa...

LEON, podnosząc go i biorąc pod rękę.

A co? a co?... ta czy druga?

Wychodzą.

A K T II.

Noc miesięczna w ogrodzie. — Wchodzi KSIEŻNICZKA i służąca ANUSIA.

KSIEŻNICZKA.

Moja Anusiu, siądźmy w téj altanie...

Sama się boję chodzić po ogrodzie.

ANUSIA.

Czy strach panience?

KSIEŻNICZKA.

Powiedz mi, czy w modzie

Teraz u ludzi słowików śpiewanie?

ANUSIA.

Nie, panno, teraz w modzie klawikordy.

KSIEŻNICZKA.

Głupiaś! W zapachu kwiatów są akordy

I różne wielkie na świecie muzyki...

Powiedz mi, czy dziś w modzie są krwawniki?

ANUSIA.

Tfu! to horrendum, małej szlachty kamień.

KSIEŻNICZKA, dając jój pierścień regimentarza.

Więc mi ten pierścień krwawnikowy zamień

Za pierścionczek chłopski, srebrny, gładki..

A choćby z kilku szkiełek były kwiatki,

Weź go i przynieś mi, proszę, do parku.

ANUSIA.

Jak to? prostego pierścionka z jarmarku?

Skądże księżniczce to dziwne zachcenie?

KSIĘŻNICZKA.

Nie wiem; nie powiem, że miałam widzenie,
 Bo widzeń żadnych, ani snów nie miewam,
 Choć często bardzo drzemię i poziewam,
 Łowiąc ustami, jak mówią, skowronka...
 Dla czego ja chcę srebrnego pierścionka?...
 Może mię jakiś kozak ze snu budzi,
 Może ten kamień krwawnikowy nudzi,
 Może na palcu krwi kolorem straszy...
 Ach, zgub ten sygnet, albo zjédz go w kaszy,
 Albo gdzie zamień za pierścień najprostszy.

ANUSIA.

Panienka moję ciekawość zaostrzy.

KSIĘŻNICZKA.

Więc zrób z niej sobie do krosien nożyczki.

Anusia wychodzi z pierścieniem.

Róże i nieśmiertelniczki
 To są moje lube kwiaty;
 Adonisy i granaty
 Lubię i z malw piramidy;
 Lecz gdybym mogła z opalów,
 Z pereł, brylantów, z koralów
 Pleść jako Oceanidy
 Wieniec na zielonój fali,
 Albo z siarki, co się pali,
 Robić powój pasożytny,
 I włos długi, rozczesany
 Owijać w ten kwiat błękitny,
 Pałący się, kwiat siarczany,
 I pokazać się téj szlachcie
 Taką, jaką w myślach jestem;
 Nazwaliby mnie azbestem
 I w moim ślubnym kontrakcie
 Zawarowaliby sobie,
 Że w domu ognia nie zrobię,
 Wioski nie spalę zarzewiem.
 Skąd mi ten duch? sama nie wiem...
 To wiem tylko, że mię nie to
 Bawi, co tych ludzi krwistych

I że myśli mych ognistych
Mój dowcip jest zdawkową monetą.

Wchodzi ANUSIA bez pierścionka.

ANUSIA.

Ach! panno, na nasz dziedziniec
Wjechał jakiś Ukrainiec,
Który oczy, serce grzeje
Swą rzeskością, oka blaskiem.
Widziałam, jak przez aleje
Leciał z piorunowym trzaskiem,
A za nim jacyś polhańce
Nieśli czerwone kagańce,
Podobno jego lirnicy,
Dziady, w ognia błyskawicy
Świecące się jak upiory.
A śród lip, z jego żupana
Różne lały się kolory,
Niby od świętego Jana,
O którym panienka czyta
Widzenie.

KSIEŻNICZKA.

A mój pierścionek?

ANUSIA.

O pierścionek panna pyta?
Zgubiłam.

KSIEŻNICZKA.

Zmów trzy koronek
A odniosą ci go duchy.

ANUSIA.

A temu, co przybył, panu,
Jak dać imię?

KSIEŻNICZKA.

Zawieruchy

Imię, nazwisko kurhanu
A przydomek: ludu sława.
Ten pan, Anusiu, to Sawa.

ANUSIA.

Sawa? ten syn hajdamaki?
To on wyrżnie nas, panienko.

KSIĘŻNICZKA.

Chowaj się, Anusiu, w krzaki,
Bo już ciebie ma pod ręką.
Patrz, z regimentarzem idą
I mówią oba o rżnięciu.

Wchodzi REGIMENTARZ i SAWA.

REGIMENTARZ.

Przedstawię ciębie panięciu
Ładnemu...

Do księżniczki.

Ty zaś, Cyprydo,
Lub Hebe, zaraz nau musisz
Nalać ze srebrzystej stągwi...
Jest to wódz lekkiej chorągwi,
Pan Sawa.

Do Sawy.

Tobie zaś powiem,
Że jój łatwo nie ukusisz,
Bo ją Bóg obdarzył zdrowiem
I dowcipem, więc jest harda,
Jako alabastry twarda.
Nie proś o nic, bo się słowy
Jak wężyk mały wymyka;
I nie wdawaj się w rozmowy,
Bo zapomnisz z nią języka;
I nie mów z nią o miłości,
Bo doświadczysz z nią trudności,
Bolu głowy, snów gorących
I takich feber trzęsących,
Że świat przeklniesz... Dodam i to,
Że jest z mym Lwem zaręczona.

KSIĘŻNICZKA.

To fałsz.

REGIMENTARZ.

Jak to! fałsz? kobiéto!
Zastanów się... ty szalona!

Podstępna znowu jak liszka!
Na sygnet świętego Franciszka
Przysięgam, żeś mi przyrzekła.

KSIEŻNICZKA.

Sygnet rzuciłam do piekła.
Kto mi go wyrwie z płomieni
I odda, ten się ożeni.

Odchodzi z Anusią.

REGIMENTARZ.

Widzisz, fantastka dziewczyna!
Idzie za mojego syna,
Ale się jeszcze z tém chowa.
Cóż ty na to? ani słowa?
Cóż?

SAWA.

Jaśnie wielmożny panie,
Winszuję.

REGIMENTARZ.

Chodź! chodź, przy dzbanie...
Tak nie można... nie można na sucho.

SAWA.

W sercu mi teraz tak głucho
I tak ciemno, żem nie do kieliszka...

REGIMENTARZ.

Na świętego przysięgam Franciszka,
Że ci serce to wnet rozweselę.

SAWA.

Krwi dziś widziałem tak wiele!
Takie straszne nieboszczyki!
Taki mord i takie zbrodnie,
Że przez całe dwa tygodnie
Z obrzydzeniem na jadło popatrzę;
Pomnąc na te sine chłopczyki,
Na jakim one teatrze
Zakrwawionym czyniły horory...

REGIMENTARZ.

Co? widziałeś wyróżnione gdzie dwory?

SAWA.

Gruszczyński.

REGIMENTARZ.

Ach! co mówisz mi wasan?

SAWA.

Gruszczyńskiego chłop na wszystko rozpasan,
Przez jakiegoś obcego człowieka
Podżęgnięty, wyrznął całą rodzinę
I przed mieczem w step ciemny ucieka.

REGIMENTARZ.

Ja tu mam na respekcie dziewczynę.

SAWA.

Więc z rodzeństwa ta jedna została.

REGIMENTARZ.

Jak to? cały dom?...

SAWA.

Rodzina cała
Bez litości w pień wymordowana.

REGIMENTARZ.

Proszę! proszę wielmożnego pana...
Mam panienkę tu jego dorosłą;
Trzeba, aby się to nie doniosło
Do jój uszu.

SAWA.

Nikt o tém nie powie,
Bom chorągwi zakazał surowie
Szerzyć strachu.

REGIMENTARZ.

I widziałeś dom cały?...
Biédny ojciec!..

SAWA.

O słońca zachodzie,
Widząc, że mi koń mój biały
Utyka a Ukraince
Zmęczeni, kazałem w chłodzie
Na górze, skąd widać Gruszczyńce,

Rozłożyć się obozowi;
 Sam zaś ku temu domowi
 Obrócony, na te ściany
 Patrząc podupadłe, stare,
 Choć dom był zorzą różany,
 Choć lipy i pola jare
 W słonecznym błyszcząły złocie,
 Choć... ach! dotąd jeszcze śledzę,
 Czemu ja w takiej tęsknocie
 Patrzałem na kwietną miedzę,
 Idącą przez żyta i wzgórki,
 Na te łany i służebne
 I pańskie, gdzie wróblów chmurki
 Niby harfy szare, srebrne,
 Ważąc się przez błękit blade,
 Ulatywały na sady,
 W korony śliw i czerechów,
 Niby harfy pełne śmiechów,
 Szmerów, świegotan i głosów;
 Patrząc na te morza kłosów,
 Drzewa, miedzę, wyznać muszę,
 Że snów miałem pełną duszę,
 Widzeń miałem pełne oczy.
 Zdało mi się, że ów dworek
 Powietrze błękitne broczy,
 Że wróble jakiś paciorek
 Nad tą kalwaryjską stacyą,
 Jakiś smętny Anioł Pański,
 Jakąś smętną suplikacyą
 Śpiewają do Panny Maryi.

Zostawiwszy więc powstański
 Huf, pasący stepów trawę,
 Sam wziąłem kilku z rajtaryi
 I uczyniłem wyprawę,
 Rekonensans na dwór Lacha.

A jeśli przyznam się kiedy,
 Żem w głąb serca wpuścił stracha...
 Ja, co na czele czeredy
 Rzuciał się na działa, smoki
 I na spisach brał pod boki

Żywe ruskie kanoniery,
 I z ich bladėj strasznej cery
 Chorągwie robił straszliwe,
 Okiem łyskające, żywe,
 Z śmiertelnych ludzi zrobione,
 To wyznam, że strach miał oczy
 Większe i bardziej czerwone,
 Że mój włos, jak wicher smoczy,
 Wchodzącemu w to pustkowie
 Wyżej podniósł się na głowie.
 Niechaj pan jaśnie wielmożny
 Wystawi sobie ów domek
 Taki cichy i pobożny,
 Od Nimf, lasznych ekonomek
 Ubrany w cebuli wianki,
 W malowane na papierze
 Obrazki, miedziane dzbanki,
 Cynowe misy, talerze,
 Na policach tak błyszczące
 Około ścian jak miesiące
 Czarodziejskie, rusałczane;
 Teraz wszystko krwią zbryzgane,
 Co uniknęło grabieży.
 Trupy ludzkie bez odzieży
 I na ziemi i na łózkach,
 Na krwią ociekłych poduszkach;
 Działki porąbane srodze
 I na ceglanėj podłodze
 Porzucone, i z puchówek
 Pierze śnieżące podłogi.
 Sama pani... widok srogi!...
 Dzieteczki swoje bez główek
 Za nóżki zimne, zielone
 Trzymała... ach! jedną raną
 Zabita, bo otworzone
 Miała żywota świątnice
 I straszną płodu zamianą...
 (Jasne stepowe księżyce!
 Biorę was za krwawe świadki!)
 Że łono téj polskiej matki

Od straszego nożów cięcia
 Wyszło na łono szczenięcia
 I stało się psią mogiłą;
 Bo i szczenie martwe było
 Na dnie martwego żywota!
 Ojczyzno moja! o złota
 Ojczyzno moja kochana!
 W matkach twoich zarzynana!
 I gubiona w matek płodzie!
 Jeśli mój żywot na wschodzie
 Czego wart, to Bóg to widzi,
 Że go składam na ofiarę
 I wszelką żywota marę
 Składam, aż to, co mię wstydzi
 We mnie, krew moja kozacza
 Wypłynie sotkiem strumieni
 I na węże się przemieni
 I ślady swe powytłacza
 Mordem, ogniami i jadem;
 A ja wtenczas wpadnę na nią
 I zewrę się jak gad z gadem,
 Aż się stepy rozkurhania,
 Zniknie czar, co łby podchmiela,
 Prawosławna wira zgaśnie;
 A we mnie, jak w niszczyciela
 Na jakim starym kurhanie
 Stojącego piorun trzaśnie.
 Straszne to ofiarowanie
 I ciała mego i ducha...
 Bo i we mnie zawierucha
 I krwi strasznej słyhać granie,
 Bo miesiąców pozłacanie
 Ja znam także w myśli ciemnej,
 Bo ja także duch tajemnej
 Pełny myśli o przeszłości;
 Lecz to votum, nie śród gości,
 Nie przed szlachtą, przy kielichu
 Zrobił ja, ale po cichu:
 Tam w jednej wielkiej komnacie,
 Przed babką rodu, co biała

Za firankami siedziała
 W alkowie, w ponocnej szacie,
 Jakoby furja tajemna,
 Dawno już głucha i ciemna;
 A teraz na ten mord smoczy
 I krwotok z ciemnej alkowy
 Wytrzeszczająca te oczy
 Tak, jak gdyby przed nią głowy
 Dzieteczek z włoski złotymi
 Krwawe biegały po ziemi,
 Strasząc ją razem i bawiąc;
 Jak gdyby im błogosławiąc,
 Oczyma się podziwiała,
 Że one gadzinek ciała
 Są biegające i zręczne;
 Przed nią i przed tym zegarem,
 Który tam jak koło miesięczne
 Zatrzymany strachem, czarem,
 Poznawszy, że czas nie płynie,
 Stał na północnej godzinie,
 Do srebrnego ducha głowy
 Podobny, w głębi alkowy;
 Przed skazówkami, co sine,
 Groźnie podniesione w górę,
 Pokazywały godzinę,
 Na którą Bóg przywiódł naturę,
 Łańcuchem trwogi poimał,
 Krwią przeraził i zatrzymał;
 Przed tym zegarem, co łożko
 Zcierwienione opłomieniał
 I przed tą martwą staruszką,
 Której trup suchy skamieniał
 I czarny jak zmyta chusta
 Otworzone trzymał usta,
 Krzyzące: gwałt i morderstwo!
 Przysiągłem, że kawalerstwo
 Polskie wygna krew kozaczą!
 Że Ukrainki zapłaczą,
 Na mój miecz, na mego konia
 Rzucając klątwy i czary.

Bo ja będę jak miecz kary,
 Kosa ścinająca błonia,
 Orlica na pół rozdarta,
 Mająca dwa serca i dzioby;
 Człowiek z troistój osoby,
 Z Lacha, z kozaka i z czarta,

REGIMENTARZ.

Hamuj się waćpan w zapale,
 Bo się takie słowa ważą
 Srogo w bożym trybunale;
 A te twoje — aniołów przerażą.

SAWA.

Jak to? więc ten mord?...

REGIMENTARZ.

Mocanie!

Mam siłę i prawo miecza.

SAWA.

Tam, gdzie krwi ohydna ciecza,
 Znalazłem torban kozaczy,
 A na tym były torbanie
 Twoje herby.

REGIMENTARZ.

Co to znaczy?

Śmiałybyś na mój dom stary
 Rzucać jakie podejrzenie?

SAWA.

Nie, ale twoje kotary
 I tych lip wiekowych cienie
 Może dają cię jakiemu
 Zdrajcy słudze.

REGIMENTARZ.

Biada jemu!...

Bo jeśli go znajde we dworze,
 To mu na karku położę
 Regimentarską różeczkę.
 Dotknę się go zimną ręką.

SAWA

Jest posłuch, że sam Tymenko
 Kryje się w szlacheckich dworach,
 Jak wilk nakryty owieczką,
 I w różnych staje kolorach
 Przed oczyma swego ludu,
 Siłą rządzący fatalną.
 A bunt, podobny do cudu
 Ręką jakąś niewidzialną
 Sprawionego, niby owe
 Straszne napisy ogniowe
 U Babilonii mocarza,
 Napisane bez pisarza,
 Tém okropniój szlachtę strąszy.

REGIMENTARZ.

Zmażemy ostrzem pałaszy
 Te ogniowe dokumenta,
 Które lud z czartem jurystą
 Piszą ręką ciemną, krwistą...
 A tak zmażem, że lud popamięta
 I przełęknie się naszego pióra.
 Gdzież jest, Sawo, ta krwawa bandura?

SAWA.

Lirnik ci ją mój Bajda pokaże.

REGIMENTARZ.

Pozazdroszczą mi koronni pisarze
 Mego oka w sądeniu téj sprawy.
 Znajdź tu sobie co dziś do zabawy,
 Bo się trudnić waćpanem nie mogę.

Odchodzi.

SAWA, sam.

Jako trąba uderzyłem na trwozę
 I podniosłem serce w tym szlachcicu.

Wychodzi z po za altany KSIEŻNICZKA.

KSIEŻNICZKA.

Ach! dwie gwiazd... ach! dwie gwiazdek po licu
 Mi zleciało, gdyż mówił o rzezi.

SAWA.

A do jakiej je przypiąć ferezii?

KSIEŻNICZKA.

Co, mój chłopku?

SAWA.

Co, mój biały księżycu?

KSIEŻNICZKA.

Kiedyż nasze ogłosim wesele?

SAWA.

Dziś, kochanko...

KSIEŻNICZKA.

Jak sobie podchmielę

Ukraińską wonią, tom gotowa

Przysiąc na to, żem twoją jest żoną.

SAWA.

Sam czart na to jeszcze nie da słowa.

KSIEŻNICZKA.

Ach! jak głupią byłam i szaloną,
Kiedym poszła za ciebie sekretnie.

SAWA.

Kiedys poszła, uczyniłaś szlachetnie;
Że się przyznać nie chcesz... jesteś Ewą.

KSIEŻNICZKA.

A radby ty potrząść drzewo?

Co? bo cierpisz na to srodze,

Że nie wiesz, jakie ja rodzę

Owoce?

SAWA.

Jabłuszka winne.

KSIEŻNICZKA.

Drzewko jestem bardzo czynne,

Co dzień w kwiatkach jak pochodnia;

Kwiatek nowy rodzę co dnia,

Róże, astry i narcysy.

Ale co raz w myślach minie,

To już jak napój zakisy
 W listeczki się nie rozwinie.
 Ach! jaka ja byłam głupia,
 Sekretnie idąc za ciebie!

SAWA, na stronie.

Gniew się srogi we mnie skupia
 Jak piorun.

KSIEŻNICZKA.

Pisano w niebie,
 Że zawsze krzywo osądzę,
 Zabłąkam się w zawierusze,
 Wpadnę w dół, w lesie zabłądzę
 I wybłąkiwać się muszę.

SAWA.

Hej! księżniczko na Ostrogu,
 Czy panno, czy moja żono,
 Pókiś tu na obcym progu,
 Możesz sobie być szaloną,
 Zimną, wzgardliwą zalotną,
 W tęczach od stóp aż do głowy.
 Bo wiesz, żem człek honorowy,
 Wprzód mię na kawałki potną,
 Wprzód mi serce w piersiach zjedzą,
 Nim się szlachcice dowiedzą
 O naszym małżeństwie. Ale,
 Choć nie mogę w trybunale
 (Boś ty akt ślubny podarła)
 Przez adwokackie się gardła
 Upomnieć o moje prawa;
 Chociaż wiem, że pierwój muszę
 Chłopską z siebie wygnać duszę
 I wysypać ci z rękawa
 Me szlacheckie dokumenta,
 Proszę cię, ach! nie bądź święta!
 Nie bądź dla mnie tylko śmiechem,
 Małżonki mojej zarysem,
 Różą, bławatkiem, narcysem
 I pożądlivosti grzechem..
 Lecz pamiętaj na mój statek,

Na cierpliwość pełną dumy;
I na rzecz miłosnej sumy
Wylicz mi dzisiaj zadatek.

KSIEŻNICZKA.

Co? mój panie kredytorze?

SAWA.

Posiadam ogniste morze,
Pełne pereł i koralu,
Które widzę na dnie fali.
Jedną perłę chcę, kochana!

KSIEŻNICZKA.

Nie, nic, tylko sama piana
Dla ciebie, małżonka cieniu.

SAWA.

W djabelskim ja odurzeniu.
Ach! raz, ach! raz tylko z ciebie
Trysnął płomień iskry boskiej...
Kiedy w rycerskiej potrzebie,
Pułaskich broniąc odwrotu,
Ranny, w kołysce żydowskiej,
W chmurze świszczącego śrotu
Śród dwóch rumaków wiszący,
Kazałem się jako krwawy
Sztandar w ogień gorejący
Nieść... i krzyczał hasło Sawy;
Gdym jak bachur z tej wyprawy,
Gdziem nie jeden dostał siniec,
Przyjechał na wasz dziedziniec,
Zawsze w tej kołysce siedząc,
W pokrwawionych na łbie chustach;
Błądy, bo przez dwa dni nie jedząc;
Żółty, głód miałem na ustach;
Straszny, bom był cały w ranach;
Brudny, bom spał na kurhanach;
Głupi, bom o świecie nie wiedział
I kręciło mi się w głowie;
Śmieszny, bom w kołysce siedział;

Hardy, bom nie dbał o zdrowie,
 Ni o piękność kawalera;
 To wtenczas ty byłaś szczerą,
 Potulna, jak małe kotki.
 W zamku u staruszki ciotki
 Sama, bywało, w garnuszku
 Warzysz mi kaszę jaglaną;
 I widziałem cię co rano
 W zorzach różanych przy łożku;
 Ach! i byłbym na kolano
 Upadł jak przed bohomazem.

KSIEŻNICZKA.

Pięknym skończyłeś obrazem!

SAWA.

Oszukałem się na tobie.

KSIEŻNICZKA.

Oszukaliśmy się razem.

SAWA.

Kiedyż téj okropnej próbie
 Koniec położysz?

KSIEŻNICZKA.

Pomyśle

I wynajdę coś w umyśle...
 Odpowiedź waryatki godną.
 Słuchaj... póty będę chłodną,
 Jak wąż ci uciekać śliski;
 Póty na męża utyski,
 Na twe skargi będę głucha
 I będę czysta jak mniszka,
 Aż z ręki ognistej ducha
 Pierścień świętego Franciszka,
 Pierścień z krwawej kornaliny
 Zerwiesz... na koniu tu wjedziesz
 I przez drugie zaręczyny
 Mnie zaręczoną rozwiedziesz...
 Słowiki na ranek kwilą,
 Bądź zdrów.

Odchodzi.

SAWA, sam.

Bądź zdrowa, Sybillo.

Wymyśla różne przyczyny,
 Ucieka się do wykrętów.
 Ale serce téj dziewczyny
 Chłopstwa się mojego boi.
 A utrata dokumentów,
 Które mieli ojce moi,
 Co ród od Calińskich wiodą,
 Jedyną mi jest przeszkodą.
 Ach! Ukrainę przewrócę,
 Kurhany wszystkie rozwalę
 A z dokumentami wrócę.

Odchodzi.

Wchodzi LEON.

LEON, sam.

Ojciec mój w wielkim zapale,
 Zachmurzony nic nie gada,
 Tylko w swoim gabinecie
 Poosobno ludzi bada.
 A mnie wielki strach napada,
 Czy to już nie dziewczki skarga?
 Ach! to ona — list mój w rękę.
 Sam jój widok za serce mię targa.

Kryje się za altanę i przez cały ciąg sceny zostaje na stronie. Wbiega SALOMEA w białej, w wianku z rozmarynu, ubrana jak do ślubu.

SALOMEA.

Ach, jak od słowików jęku
 Kołysze się cały staw...
 Jaka woń tych róż i traw!
 Jak leci w usta! na czoło!
 Ach! ach! jak mi wesoło!
 Ach! ach! jak mi wesoło!...

LEON, na stronie.

Nieszczęśliwa, a szczęściem spojona!

SALOMEA.

Ten listek włożę do łona.
 Tutaj w białym w gorseciku,
 Tu siedź w tajemnym kąciku,

Gdzie jedna róża czerwona,
 Jako lampa zapalona,
 Rzuca na mnie takie blaski
 I tak opłomienia szyję,
 Jak dno filiżanki saskiej,
 Z której mój gołębek pije
 I cały się złotem rumieni.
 Ach! ach! ze mną się Leon dziś żeni!
 Ze mną żeni się Leon sekretnie!

LEON, na stronie.

Niech mi kto łeb teraz zetnie
 I rzuci Meduzy głowę
 Na trzewiczki atłasowe.

SALOMEA.

Jeszcze nie czas. Jak ta sina
 Gwiazda nad topolą stanie,
 To będzie ślubu godzina.
 A pod różane zaranie,
 Sama wracając z cerkiewki,
 Na tém miejscu sobie stanę
 I pomnę na smutek dziewczki,
 Na me serce oszukane,
 Na wstyd, bom wstydu się bała,
 Będę z radości płakała.

LEON, na stronie.

Szelma ze mnie!

SALOMEA.

Ach, Boże mój!
 Dla czego ta noc taka cicha!
 Dla czego tych gwiazd taki rój?
 Dla czego jedna, zda się, wzdycha?
 A druga leci gdzieś zdaleka?
 A trzecia krwawa jak pies szczeka
 I na błękitach mi ujada;
 A czwarta — ach! a czwarta spada,
 I nad Gruszczyńcami zgasła.
 Ledwie żem z trwogi nie wrzasła,
 Widząc tę gwiazdę przy zgonie

Jak główkę ducha z oczami.
 Ach! jak tam smutno w téj stronie!
 Jaka mgła nad Gruszczyńcami!

LEON, na stronie.

Każde jój słowo rozdziera.

SALOMEA.

Czy tam w domu kto umiera?
 Czy kto leży konający?
 A ta gwiazda... anioł złoty
 Po duszę przylatujący!
 Ach! ach! pełnam trwogi i tęsknoty.

LEON, na stronie.

O! słowiczku! o! skończ to śpiewanie!

SALOMEA.

Przez głębokie się wsłuchanie
 W powietrze, wsłuchałam w trwogę.
 Ach, cóż ja? Ja nic nie mogę!
 Co się ma stać, to się stanie.
 Ach, jak smętnie, jak mi parno!
 Jak mi smętnie, jak mi czarno!
 O! stróżu, święty aniele,
 Pamiętaj, że dziś moje wesele.

Wybiega ku wiosce.

LEON, wychodząc z po za altany.

Wesele... Ohydna sprawa!
 Z Semenką ślub malowany
 Przez spitego księdza dany,
 Bez świec, skrycie, potajemnie.
 I moje miłosne prawa
 Ten chłop zrodzony nikczemnie
 Będzie nad nią miał po ślubie.
 On podejmie, co ja gubię:
 Nie dyament szlifowany,
 Ale perłę czystej rosy;
 Nie tęczę, ale jój włosy;
 Nie rubin w ognjach różany,
 Ale usta jój... maliny;

Nie strojną w tony gitarę,
 Ale czysty głos dziewczyny,
 Który mu przysięże wiare
 I dotrzyma, gdy przysięże.
 A ja co mam?... włosy... węże!
 Oczy, jak szatańskie bielma,
 Głos, co mówi mi, żem szelma,
 W sercu ranę i nóż w ranie;
 I twarz, którą krew porzuci,
 Która na szelmy nazwanie
 Jak słonecznik się obróci.

Wchodzi REGIMENTARZ.

REGIMENTARZ, z daleka.

Panie Leon!

LEON.

Ojciec woła.

REGIMENTARZ.

Panie Leon!

LEON.

Tu jestem w altanie.

Jakie grzmiące i ponure wołanie?

Co, mój ojczu?

REGIMENTARZ.

Lud nasz cały do koła
 Zbuntowany... mój pop stanął na czele.
 Wczoraj noże święcono w kościele.
 Czy wiedziałeś, że tam takie święto?
 A Gruszczyńce...

LEON.

Co, mój ojczu?

REGIMENTARZ.

Wyrżnięto.

LEON.

Dom Gruszczyńskich?

REGIMENTARZ.

Naszych starych sąsiadów.
 A wiesz, synu, kto zgrają tych gadów
 Rządzi? wieszli, kto Tymenko się zowie?
 Zgadnij acan; bo ani ci w głowie

Taka myśl... zgadnij, synu kochany?
 Oto kozak twój Semenka, poznany
 Po téj krwawój bandurze.

Wyciuguje z pod kontusza bandurę kozacką.

LEON.

Chrystusie!

REGIMENTARZ.

Wczoraj napadł w ogrodzie Anusię,
 Która niosła mój pierścień z krwawnikiem,
 Wyrwał jęj z rąk, i chciał palec nożykiem
 Uciąć dziewczce, jeżeli zakrzyczy;
 Potém kazał nie mówić nikomu
 I ten pierścień tajemniczy,
 Święty, uniósł z mego domu
 I będzie nim łotr wierutny
 Oszukiwał szlachtę małą.

LEON.

Gdyby zaraz...

REGIMENTARZ.

Łotr obrótny!

LEON, na stronie.

Wyjechawszy na noc całą,
 Jeszcze mógłbym go dogonić:
 Ale musiałbym odsłonić
 Moję haniebną intrygę...

REGIMENTARZ.

I cóż myślisz?

LEON, z pomieszaniem.

Ojeże drogi....

Na stronie.

Ach, z czartami wszedłem w ligę!
 Ani cofnąć teraz nogi,
 Ani wprzód uczynić kroku...

REGIMENTARZ.

Patrzałem na ciebie z boku...
 Wać mi dziwnie zamysłony?...

LEON.

Ojcze, daj mi dwa szwadrony.

REGIMENTARZ.

Jakto? a twoje wesele?

LEON.

Jutro czekajcie w kościele,
Przyjadę na czas z pierścionkiem.

REGIMENTARZ.

Idź Waść.

(LEON odchodzi.)

Za moim skowronkiem

I ja stary ptak polecę.

A teraz bożej opiece

Polecam mojego ptaka,

Syna mego jedynaka!

A K T III.

W domu regimentarza. Wchodzą REGIMENTARZ, SAWA i KSIEŻNICZKA

REGIMENTARZ.

Czas teraz, mospanie Sawo,

Czynnie zająć się wyprawą

I buntowi uciąć głowę.

Czas pokazać w ciemnym jarze

Wielkie miecze koralowe,

Jak dawni regimentarze

Ukraińscy i podolscy.

Czas pokazać, żeśmy polscy

Posiadacze téj krainy,

Choć bez hełmów i kirysów;

To wszakże nie do pierzyny

Tylko i nie do kieliszka;

Ale naszych cór, narcysów,

Na świętego klnę Franciszka!

Nie damy chłopom za żony.

Syn mój, wziąwszy dwa szwadrony,

Przed nami zamiata pole

I pewnie się na rosole
 Rusańczanym nie rozpieści...
 A sądzę, że lada chwila
 Od Gruszczyńskiego nam wieści
 Nadlecą — pewnie się stary
 Na erudycją wysila
 A szablicą przygasza pożary.

Do księżniczki.

Ty zaś, moja piękna parko,
 Wiń nam żywota przedziwo.
 Gdybyś była sprawiedliwą,
 To bym cię regimentarką
 Ogłosił na kraj okolny,
 Gdy sam jako hetman polny
 Po rosie w pole wyjadę...
 Ale panienka ma wadę!
 Ma wadę; pierścionki gubi...
 Kto taką stratną poślubi,
 To kiep...

KSIEŻNICZKA, spozierając z pod oka na Sawę.

Czy słyszy pan Sawa?

REGIMENTARZ.

On się jeszcze rozpoznawa,
 Ale nie zna się na tobie,
 Boś ty mu ni siostra ni żona...
 Cóż? tęskno ci bez Leona?
 Ślubny wam dzień przyozdobie
 I wyjaśnię wam świetlicę
 Łbami kozaków na tyce.

KSIEŻNICZKA.

Tateczku... a czy pan Sawa
 Będzie pochodnią w lichtarzu?

REGIMENTARZ, gładząc ją pod brodę.

Cóż to, mój regimentarzu?
 Jaka ty już w myślach krwawa!
 Ledwo dzisiaj na urządzie
 A już rączki masz łabędzie
 Zajęte głów zdejmowaniem?

KSIEŻNICZKA.

Owszem, chciałabym rozdáwać.

REGIMENTARZ.

Cicho! bądź z uszanowaniem...
 Widzisz, Sawo, te ptaszęta
 Trzeba śmieszkami napawać,
 Na żartach się nie poznawać;
 To one swém świegotaniem
 Przez różne szpaczków talenta
 Smętny czas, grożący nocą,
 Żywo po anielsku złocą;
 I zdaje się, gdy świegocą,
 Że ta ziemia cała gajem
 Zielonym, gwiazdą i rajem;
 Gdzie za teatru kurtyną
 Ludzie lepsi za kraj giną.

Wchodzi PAFNUCY z pałaszem Gruszczyńskiego w ręku.

Cóż to znowu za szlachcie obdarty!

PAFNUCY.

Od Gruszczyńskiego przychodzę.

REGIMENTARZ.

A Gruszczyński?

PAFNUCY.

Pozostał na drodze.

REGIMENTARZ.

Powiedz wszystko i bądź z nami otwarty;
 Tobie z oczu nieszczęście wyziera.
 Umarł starzec? czy umiera?
 Czy przez chłopstwo gdzie w sztuki rozdarty?

PAFNUCY.

Jasny panie, posłuchaj cierpliwie
 A uderzę ci chrapliwie
 (Tak, że zadrży serce mężne)
 W nieszczęścia trąby mosiężne.

Wczoraj, panie, po twym liście
 Otrzymanym starzec biały
 Ruszył się jak lew ogniście,

Gotów targać świat w kawały.
 Co! ja tchórz? krzyczał, ja stary
 Rotmistrz służący za Sasów?
 Mnie każą wychodzić z lasów?

W twarzy i w gestach regimentarza widać zadziwienie.

Ciągnąć przez lochy i jary?
 Gdzie ledwie węże się toczą
 Po kwiatach wstążką błękitną?
 Gdzie rzezunie nas otoczą,
 Z gór wystrzelają, w pień wytną
 I głowy nasze na tykach
 Postawią żonom przed oczy...

Tak krzyczał, a na uboczy
 Przy gwiazdach, wielkich świecznikach
 Srebrnych, które ogonami
 W niebie wisiały nad nami,
 Zwierzyć się przede mną szukał
 Z omenów, jak mu do dworku
 Po trzykroć Chrystus zapukał
 We drzwi, dwakroć we śnie zastał,
 A raz zastał na paciorku;
 Tak, że po stukaniu nastał
 Wielki strach, i czeladź cała
 Matka, nawet dzieci drobne,
 Owo stuknięcie żałobne,
 Groźne, po którym nastąpiła
 Cisza w domu i na dworze,
 Wzięli za stuknięcie boże.
 Jakoż, mówił do mnie stary,
 Była to dla mnie nauka,
 Abym poszedł pod sztandary,
 Bo Pan do drzwi moich puka,
 Pokazuje w kraju łodzi
 Tonące ludzkie w rozpacz;
 I sam w domek zajrzeć raczy,
 Sam po rycerza przychodzi.
 Jakoż, mówił, mam ufanie,
 Że na werbunku nie zgine,
 To, jaśnie wielmożny panie,
 Z jego ust słyszałem wczora,

Potém swoje mi dziewczyne,
 Służkę u twojego dwora,
 Poleciał: i wnet z lewady
 Pod rosę i księżyc błady
 Ruszyliśmy, czyniąc pilny
 Marsz, ażebyśmy o wschodzie
 Przeszli cicho jar mohilny,
 I o irdynieckim brodzie
 Zachwycić mogli gdzie wieści...
 Rano... (ach, panie! w boleści
 Mówić nie mogę!) nad rankiem,
 Pod brzóz już ostatnich wiankiem
 Jeszcze się zatrzymał stary,
 Jeszcze mi tam swoje mary
 Swoje sny i wizye chore,
 Oraz starca Wernyhore
 Z wróżbą o dwóch chorągiewkach
 Przypomniał. A w leśnych drzewkach
 Był dziwny z powieścią związek,
 Jakieś szeptanie gałązek,
 Szmery stłumione pół głośne;
 Jakby śpiewania żałośne
 Przez duchy tych drzew czynione
 Na kwietném lewad wybrzeżu,
 Jakby po starym rycerzu
 Jakieś głosy utęsknione,
 (Które jeszcze w uchu słyszę)
 Radzące staremu na ciszę
 I spoczynek... Wtém z rozłogów
 Podniosło się słońce złote,
 Nakształt mojąszowych rogów
 Ubrane w ogniste słupy;
 I wiodło nas na robotę
 Mieczową, którą już kupy
 Kawek i wron i szulaków,
 Zwite koło naszych znaków
 Czarną koroną piekielną,
 Okrakały za śmiertelną.
 Rota za rotą sprawieni,
 Wszyscy dobrzy przyjaciele

Jechaliśmy — on na czele
 Z chorągwią... i w jar ów głuchy
 Pełny deszczowych strumieni,
 A po ścianach czarny, suchy,
 Bokami słońcu zakryty
 Wjechaliśmy, tak że słońce
 Ozłociło nasze kity

I same sztandarów końce:
 A ciemność, jaka w kościołach
 Panuje, grobowej bliska,
 Na naszych leżała czołach,
 Gdyśmy przez te uroczyska
 Ciągnęli, żując myśli surowe;

I tylko kopyt iskrzyska,
 Gdyśmy podkowa w podkowę
 Za naszym wodzem lecieli,
 Albo blask od karabeli
 Swoje ognie piorunowe
 Na ciemne jary te kładły;
 Jakby tam furey u skały
 Z ognistymi prześcieradły
 Na nasze ciała czekały,
 Tych ludzi mających ginąć
 Gotowe w płomień owinać.

Około dziewiątej rano
 Przyjechaliśmy nad duże
 Serca wód, wielkie kałuże,
 Stawek, gdzie nam po kolano
 Woda, oraz grząskie błoto
 Lgnące pętało rumaki...
 Tam starzec z chorągwią złotą,
 A za nim pomniejsze znaki
 Wbrodziły... a wody śpiące
 W srebrne się wielkie miesiące
 Rozeszły; jakby, o panie!
 Niosąc nasze pożegnanie
 Ojczyźnie gdzieś stojącej na brzegu...

Bo wtém, nie strzegąc szeregu,
 Ładu i żadnej komendy,

Przyszędłszy niewiedzić którędy,
Pokazał się lud gruszczyński.

Ci się wężowymi stecki
Zlewali z gór na Polaków;
Ci się z jałowcowych krzaków
Ukazali, strasznej cery
Podpiłej... sino-zielonej.
Rzekłbyś, że na ziemi onej
Jałowców ciemne ogrojce
Przeradzają się w siekiery,
W noże i w spisy i w zbójce...
Że te straszne jaru ciemnie
Całe się krwią zarumienią,
I wyreżą się wzajemnie
I w dwie mogiły zamienią...
Że ze srebrnego jeziora
Zrobi się teatrum nowe,
Na którym śmierć jak aktorka
Swe tragedye purpurowe
Będzie odgrywać w ciemności;
Krwawe sztandary pozwiesza,
Ludzką kość do wilczej kości,
Ciała ludzkie z psimi ciała
Ohydną ręką pomięsza;
I temu, co trupy wskrzesza
A niebios jest gospodarzem,
Takim okropnym cmentarzem
Ta ohydna monarchini,
Mająca świat w panowaniu,
Przy wiekuistém wskrzeszaniu
Litość albo strach uczyni
I horror... Pierwszy Gruszczyński,
Obejrzawszy gór załogę
I cały lud ukraiński,
Któremu nie mógł podolać,
Kazał długo i na trwogę
Żałośnie w trąby zawołać;
A dotąd nie wiem, na kogo
Wołał — trąb serdeczną trwogą
I tém tak żałośném granie?

Bo mu góry z urąganiem
 Odpowiedziały o męstwie
 Prózném, gdzie moc taka wroga!...
 Więc sędzę, że Pana Boga
 O swoim niebezpieczeństwie
 Trąbami on zawiadamiał;
 Więc sędzę, że pierwój duchy
 Na powietrzu gdzieś rozgramiał
 I bił o anielskie słuchy
 I był w niebie, nim na świat powrócił,
 Porwał sztandar i na wrogi się rzucił.

I z białą głową odkrytą
 Leciał gnany naszym gwarem
 I krzykiem... (a nie słowiczy
 To głos, kiedy szlachta krzyczy,
 Pędząc zbrojna do ataku!)
 Już wódz na czele orszaku
 Dobył się z grząskiego błota,
 Już koń się na brzegu wspinał,
 Już chorągiew wielka, złota
 Burczała, już rąbać zaczynał
 I powietrze już zarzynał
 Jęczące od szabli zamachu.
 Wtém stanął i bladeś strachu
 Twarz mu oblała i rosła,
 Z ust próżne wypadły dźwięki,
 Sztandar złoty wypadł z ręki,
 Miecz na tasiemce zawisnął;
 A krew, co się wprzód podniosła
 Tak, że rumieniec wytrysnął,
 Wróciła trwożna do łona,
 I bladeś straszna, zielona,
 Bladeś, co nigdy na Lachu
 Nie występuje — ohydna!
 Bladeś, która w nocy widna
 Na złodzieju, bladeś strachu
 Zielona i ołowiana,
 Pierwszy raz wtenczas widziana
 Przemennie na polskiej twarzy,
 Przeraziła nas husarzy

I mróz nam przeszedł przez kości.
 Bośmy się zlekli błądźci
 Takiej czarnej, ołowianej,
 Na twarzy wodza widzianej.

Bo ta przy srebrnym warkocz
 Twarz biała jak u komety,
 Bo w twarzy te węgle oczu,
 W oczach te wzroku sztylety
 I krwią i ogniem czerwone,
 Gdzieś na powietrzu utkwione,
 Wylatujące z rozłogu,
 Gdzieś utkwione... jakby w Bogu,
 Dziś widzę...

Teraz was proszę
 Jeszcze o chwilę cierpliwa,
 Bo starca pałasz przynoszę;
 Więc i mekę jego żywą
 Mymi słowy wszczepić muszę
 Jego mścicielowi w duszę.
 Niech tego ojca obraza
 Przejdzie w serce, w dłoń człowieka;
 Niech ten kawałek żelaza,
 Który rdza wieków powleka,
 Znajdzie tu ręce gorące,
 I niech te umierające
 Stare tureckie turkusy,
 Gdy je polskie ręce chwycą,
 Znów swe oczy rozbłękają.
 Niech téj klingi kolor rusy,
 Gdy nią człowiek krzyż uczyni,
 Znów swoją twarz rozrubini,
 Jak piorun polskich pałaszy,
 I świat krzyżem czerwonym przestraszy.

REGIMENTARZ.

Zawiesiłeś nas ciekawych
 Nad przepaścią pełną strachu
 I widm, jak upiory, krwawych.

PAFNUCY.

Mówiłem wam, że w zamachu
 Szabli, locąc na gromady,

Starzec stanął... stał się bładny,
 Głuchy, jakby skamieniony,
 Wysoko gdzieś zapatrzony,
 Jak na kruki, jak na wrony,
 Na słońce i na niebiosy,
 Na anioły i na Boga.
 A na niego szedł las wroga,
 Gromada spis złotowłosa;
 Las niby jakiś bez liści,
 Który słońce rozogniści
 I na wierzchołkach oświeci;
 Las w środku pełny zamieci
 Od mgieł zawiany posepnych;
 Las tajemnic niedostępnych
 Z girlandą ognia na głowie;
 A w téj girlandzie, o! Boże!
 Słuchajcie, mości panowie!
 I dajcie też Wernyhorze
 Świadectwo, że widzi, co gada:
 Pośród spis dwoje główeczek,
 Jedna i druga tak blada,
 A tak utkwione na tyce,
 Że z tych dwojga dzieciątek
 Były dwie płonące świece
 I dwa umarłe księżyce
 Śród straszliwego ogrojca;
 Dwie główki, ścięte po szyje,
 Szły prosto; prosto na ojca,
 Jakby wiosenne lilije
 Na krwawym zabójcy grobie;
 Zda się, ucieszone obie
 Tém wielkiém egzaltowaniem,
 Tym powietrznym mogilnikiem,
 Tą wolnością i lataniem;
 Tém żelazem, co w nieś tonał,
 I z główek wyszedł ognikiem
 I palił się na wietrze i płonał
 Jako świętych serduszek oferta.
 Kto wam to lepiej naczerta,
 Nie wiem? do ojca szły ręki,

Niby żebrać o niebieskie zasiłki;
 A ja sądzę, że mogliłki
 Prosiły go i trumienki...
 Lecz on! gdy te dziatki ścięte
 Ujrzał... i te spis wierzchołki!
 I wprzód pomyślał: aniołki!
 A potem: że wniebowzięte,
 A potem: że już zarznięte,
 Pomyślał... to, mości panowie,
 Włos mu biały wstał na głowie;
 W zupełne wpadł obłąkanie,
 Pokazał na te świeczniki,
 Ręką nam pokazał na nie
 I bełknął...: moje chłopczyki.
 I nic nie mógł mówić więcej,
 Bo w usta mu sto tysięcy
 Pereł upadło... A wtedy
 Jeden z nas krzyknął: mospanie!
 Na potem domowe biedy!
 Na potem po dziatkach płkanie!
 Teraz wrogom stawmy czoło,
 Nim otoczą nas w około
 I wytną na téj moczarze...
 To rzekł ów głos, a zaś starzy husarze
 Pewni byli, że im zemstę poruczy.
 Ale starzec cały w gniewie
 Krzyknął: któż to mię tu uczy?
 Czy to wasz komendant nie wie,
 Skąd mu brać w rozpaczy radę?
 Oto mój tu pałasz kładę,
 Rzekł i rzucił ten miecz goły,
 Tu mi stać, bo ja pojedę
 Po dziątek moich popioły,
 Po te krwawę jarzębiny
 I po domowe nowiny.
 Choćbym miał przed moje chłopcy
 Rzucić się, lizać im stopy,
 To wyproszę je od krzyża
 Te główki, które wiatr piecze;
 Wszakże to resztki człowiecze!

Których świętościom ubliża
 Pogrzeb taki bez szacunku,
 Takie urąganie z ciałek,
 Taki mięsiwa kawałek;
 Ten z boskiego wizerunku
 Łachman zatknięty na dzidę
 I na strach pokazywany,
 Oczom ludzkim na ohydę,
 Berberysem krwi skapany,
 Którego kruk kozakom zazdrości.

To rzekł i pełen żałości
 Pojechał... i wnet go czernie
 Oblazły w koło jak mrówki.
 Z gestu widać, że niezmiernie,
 O swoje maleńkie główki
 Starzec prosząc, spuścił z tonu,
 Z gestu widać i z pokłonu,
 Że pokorę wielką kłamał,
 Że zupełnie się tam złamał
 Ów szlachcic pod ręką bożą.

Podjechałem wtenczas bliżej
 I słyszałem, że go trwożą
 Główek tych niezdjęciem z krzyży
 I pogrzebem ich nieświętym,
 O domie mówią wyrzniętym,
 O krwi, mordach, o płomieniu;
 Nareszcie o żony złęzeniu
 I o powiciu szczenięcia.

Wtenczas rękę jak do cięcia
 Podniósł z miecza obnażony,
 I cały wstydem czerwony...
 Bo i starość ma wstyd swój dziewiczy
 I pudorem się różanym maluje,
 Gdy kto świętość jój roztajemniczy,
 Krzyknął: hycle! pomorduję!
 Wytnę w pień! szelmy! gadziny!
 I nieba fundament siny
 Krwią czarną waszą zamaże! 7
 Gdzie szabla? gdzie moi husarze?...
 Krzyknął obłąkany cały;

Obejrzał się... i stał się biały
 Jak trup... łzawić się zaczął i ślinić
 I ogłupiał i nie wiedział, co czynić.
 Wtenczas jeden sotnik stary
 Rzekł do niego: hej, Lachu i kumie!
 Wydadz rozkaz, szczoob tyje huzary
 Ze szkap zlazły, taj w jeziorca się szumie
 Nie kapały, a na łaskę zdały się...
 Słyszac to, oczy tygrysie,
 Jasne, starzec w chłopy wlepił
 I oczyma ich oślepił,
 Jakby słońcami téj ziemi,
 Słońcami obłakanyimi
 We krwi, w płomieniach i w grozie,
 I rzekł: Więc mię na powrozie
 Jak psa, pany gospodarze,
 Wiedźcie przed moje husarze,
 Gotowe niosąc siekiery.
 A jako znacie, zem szczery,
 Tak i przed śmiercią nie zdradzę,
 A wam szlachtę tu sprowadzę
 I pod siekierami będę
 Ostatnią dawał komendę.
 To rzekł: a jemu pod boki
 Włożywszy mordercze piki,
 Tak, że zdawał się wysoki,
 Jako dawne męczenniki,
 Jak Chrystusowe sztandary,
 Zbliżać się ku nam ów stary:
 Chłoptwo go tak, pewne zdrady,
 Wiodło przed własne szeregi.
 Ale oczy, nasze szpiegi,
 Poznały, że starzec błady
 Z chłoptwem się czarném nie kuma,
 Ale żywota ostatki,
 Swój dwór wyrznięty i dziatki
 Bogu na ofiarę składa
 I sam też o palmach duma,
 Lecz męczeńskich... o czém chłoptwa gromada
 Nie wiedziała, nie znając Jezusa.

Jakoż śród tych dzid obrusa,
 Jak na chuscie Magdaleny,
 Słońce téj okropnej sceny,
 Słońce jasne, jego głowa
 Spokojna a purpurowa
 Od męki cierniów serdecznych,
 Jakoby w kręgach słonecznych
 Dziś mi przed oczyma staje.

Dał znak, by ucichły zgraje
 I zamodlił się sam w sobie...
 Nagle! w tém sercu, w tym grobie
 Całej nieszczęsnej rodziny
 Jakies głosy wielkie, mężne,
 Jakoby trąby mosiężne
 Z Jozafatowej doliny
 Zagrały... i będzie słynać
 Ta komenda w okropnym parowie
 Zatrąbiona: Mościwi panowie,
 Wrzasnął! za ojczyznę ginać!
 Ja trup!... To nam starzec krzyknał,
 Jakby groźna trąba sądna,
 I okrwawił się i z oczu nam zniknał.
 I zaczęła się walka nierządna,
 Bośmy z furją szatańską mścicieli
 We łzach ślepi i na oślepie lecieli.

REGIMENTARZ.

Mniejszym stawia u ludów posagi.
 U nas tylko powiedzą po wiekach:
 Taki ojciec! taki rycerz był ougi!
 A husarze?

PAFNUCY.

Na chłopskich zasiekach
 Dali gardło; kilku tylko zostało,
 I ci wstydzic się muszą żywota.

REGIMENTARZ.

Kto tak gada jak ty, ten nie mało
 Musiał czynić?

PAFNUCY.

Późniejsza robota
 To pokaże, czy ja pański robotnik.

REGIMENTARZ.

Któż ty jesteś...

PAFNUCY.

Stary dziwak, samotnik,
Bez przyjaciół...

REGIMENTARZ.

To nieprawda, mospanie,
Bo ja jestem twój przyjaciel i w stanie
Dać za ciebie i gardło i rękę...

PAFNUCY.

O Gruszczyńskiego panienkę
Proszę, jako opiekun sieroty...

REGIMENTARZ.

Gdzie Sałynka?

KSIEŻNICZKA.

Ach! dębu wywroty
Czasem łamią i róże podleśne!

REGIMENTARZ.

Co mi wróżą te słowa boleśne?

KSIEŻNICZKA.

Kochany mój opiekunie,
Utraciliśmy Salunię.
Zniknęła dzisiaj ze dworu,
Jakby na nią ojciec krwawy
Rzucił kontusza rękawy
I do anielskiego choru
Na srebrne łabędzie stawy,
Gdzie przy harfach grają dusze,
Zaciągnął. Może też ona,
Jako listek w zawierusze
Z ziemi lekko podniesiona
Duchową z rodzeństwem współką,
Jak w jesieni listek klonu,
Co się wydaje jaskółką,
Lub jako listek jesionu,
Co się zdaje gwiazdą złotą,
Widząca się na świecie sierotą,

Jak ton zlewa się do tonu,
 Jako ognik do ogników,
 Za duszami nieboszczyków
 Poleciała.

REGIMENTARZ.

Kontrefekcie

Szpaka, mów mi bez ogródek.
 Ta panienska na respekcie
 Dla wielu mi dziś pobudek
 Droga — niech prawdy się dowiem.

KSIEŻNICZKA, na stronie.

Cóż ja mu nieszczęsna powiem?
 Domysłów mu nie wyjawię.

REGIMENTARZ.

W krwawej nas trzymasz obawie.

KSIEŻNICZKA.

Śniła mi się Deyanira
 Porwaną, a potem śniła
 U dziada ze srebrną lirą,
 Jakoby brzoza pochyła
 Dumająca nad dumkarzem;
 Potem gwiazdą nad cmentarzem.

REGIMENTARZ.

Tu o sny nie chodzi wcale.

KSIEŻNICZKA.

Więcej nie wiem nic, prócz plotek.

REGIMENTARZ.

Mów je.

KSIEŻNICZKA.

Czy ja kołowrotek?

REGIMENTARZ.

Waćpanna mi za zuchwale
 Odpowiadasz. Tutaj chodzi
 O cześć młodziutkiej dziewczyny,
 O cześć szlacheckiej rodziny.

O mój dom, któremu szkodzi
Ten rapt, trafiwszy się u mnie.

KSIEŻNICZKA.

A waćpan mię też za dumnie
Pytasz się.

REGIMENTARZ.

Rzecz tego warta.

KSIEŻNICZKA, z gniewem.

Dziewczyna twoja rozdarta
Przez lwa... Mię to, czegoś pytał...

Odchodzi.

REGIMENTARZ.

Gdyby to prawda!

SAWA, na stronie.

Zazgrzytał.

REGIMENTARZ.

Ha! gdyby to prawda była,
Że mój Lew... To być nie może!

Wchodzi CHŁOP ukraiński.

CHŁOP.

Panycz mię z listem przysyła.

REGIMENTARZ.

Czy zdrów?... Nim ten list otworzę,
Pytam czy zdrów? słyszysz, chłopie?

CHŁOP.

Tak, panie.

REGIMENTARZ.

Co znaczy: tak, panie?

Oczy w tobie groźne topię;
Odpowiadaj na pytanie.

CHŁOP.

Panycz ranny.

REGIMENTARZ.

A gdzie leży?

CHŁOP.

W mohiłach,

REGIMENTARZ.

Czy ty pijany?

CHŁOP.

Panycz żywcem pogrzebany.

Do regimentarza, który rękę podnosi do bicia.

Tak; niechaj mię pan uderzy...

Cóż ja winien?.. chłopstwo męczy panycza.

REGIMENTARZ.

Tego chłopa weźcie z mego oblicza,

Bo mię jego twarz czarna przestrasza...

Hura, pany! do pałasza!

W mojem dziecku ratować skrę duszy.

Wychodzi.

SAWA.

Tego trzeba, aż szlachcie się ruszy

I zupełnie pałasza dobędzie.

Wychodzi.

PAFNUCY, sam.

Ach! Ukrainy nie będzie!

Bo ją ludzie ci na mieczach rozniosą.

Ach! róż polnych z jasną rosą

Zabraknie, bo je ludzie ci kochankom rozdada.

Ach! dumy w grobach ucichną!

Bo się pieśni do polskich już rycerzy uśmiechną.

Ach! koniec Ukrainie!

Bo się sztandar szlachecki na kurhanach rozwinie.

Odchodzi.

ZMIANA I.

Przy chałupie popa. Noc oświecona pożarem. Wchodzi SEMENKO z CHŁOPAMI.

SEMENKO.

Hej, świat, smutku trumnica!

Pod czerwonym pożarem,

Serca nasze pod strachem,

Duchy nasze pod czarem.

Gonta się nam pokazał
 Przy pożarnój pochodni;
 Zabełkotał językiem
 Taj, wprost piszow do Kodni.
 Trzeba, pany sotniki,
 Jeszcze siekier spróbować,
 Jeszcze raz przeciw czarom
 I krwią się rozczarować.
 Jutro ja, gospodarze,
 Przypnę czapline pióro,
 A popi błahocześni
 Niech wystąpią z próskurą,
 Niech nakarmią jak na śmierć
 Krwią Chrysta umęczoną.
 Taj, znów łysną siekiery
 Na pożarach czerwono...
 I budem ludźmi — Ojce...

CHŁOP.

A szczo bude z tą szlachtą?

SEMENKO.

Rizat'! taj że bude strach to
 Na te pany; dworów blisko
 Takie czarne cmentarzysko,
 Kędy żywe trupy stoją
 Dzidami wsparte pod boki.
 Niechaj się zaniepokoją
 I otworzą trakt szeroki,
 Sto-milowy trakt czerwony;
 Gdzie jak spotkasz gród kamienny,
 To uderzy w głośnie dzwony
 I rozpuści włos płomienny
 I żydowskim płaczem wrzaśnie;
 A jak chluśniem krwią, to zgaśnie
 I przycichnie by mogiła.
 Strach, panowie gospodarze,
 Strach to cała nasza siła.
 Szczob my mieli czortów twarze,
 A z płomieni złotych kryła,

Hej!... a głos z szatańskich krzyków,
 Rękawice jak z krwawników,
 Piersi czarne i czuhunne,
 Myśli gromkie i piorunne;
 Tak świat nasz!... Idte, sotniki!
 Zabawcie's... jaką igraszką,
 Bo ja dziś żonaty z Laszką,
 Chciałby tę noc, jak słowiki,
 Przepędzić na miłosnych gruchawkach...
 Czekać muie, dolawszy dzbanka.

Chłopi odchodzą — Semenکو stuka do chaty... i wchodzi na scenę dwie POPADJANKI w zielonych sukniach, w złotych kokosznikach.

SEMENKO.

Hej, siostry! a cóż ta szlachcianka?

POPADJANKA.

Ani usiądzie na ławkach,
 Ani chce pogadać z nami.

SEMENKO.

Jakże ona rubinami
 Mogłaby wam co polecić?
 Ustom takim tylko świecić
 I palić się i wyjadać
 Serce z piersi, oczy z powiek;
 Lecz nie jęczeć ani gadać,
 Bo jękną — to skona człowiek!
 Bo poproszą — w ogień skóczy!
 Może was o co jęj oczy
 Prosiły?

POPADJANKA.

Na nic nie patrzy.

SEMENKO.

Jakże by te oczy — ognie
 Patrzyły, duszy nie zjadłszy?
 Człowiek się, bywało, wzmognie
 Na moc, na jedno spojrzenie...
 Taj te oczy, jak kamienie
 Smaragdowe, gdy w nich błysnie!
 Ona z wami tak umyślnie

W słowach i spojrzaniach skąpa;
 Po spojrzaniach waszych stąpa,
 A po słowach waszych lata;
 Aż ta zczarowana chata
 Méj rusałce, méj dziewczynie,
 W pałac srebrny się przekinie,
 W zamek z pawich piór i złota ..
 Czy się ona nie kłopotą
 O co, siostry?

POPADJANKA.

Ciągle wzdycha.

SEMENKO.

Ach! to uschnie od wzdychania,
 Jak od wonności usycha
 Kwiat, aż zbędzie malowania
 I pomięte liście zrzuci. . .
 To wzdychaniem się wynuci
 Z całej pieśni, z serca głębi,
 I serduszko swe zaziębi,
 I wyszepce słodkie słowa.
 Dajcież mi ją, bo gotowa,
 Trwogą zaniepokojona,
 Westchnąć z serca tak, że skona.

Popadjanki wyprowadzają SALOMEĘ z chaty.

SALOMEA.

Ach! jak straszno! Czy gdzie gore?
 Czy to ty, panie Semenko?
 Ach! bez męża mi nie skore
 Płyną i smętne godziny...
 Często posunięty ręką
 Zegareczek u dziewczyny
 Ukraca długą tęsknotę...
 Ale, choć ja słońce złote
 Posuwałam serca biciem,
 Choć księżyc wszedł nad futory,
 Psy się odezwały wyciem,
 Choć mruczą gdzieś senne znachory,

Nie słyszę mojego pana.
 Ach! jaka ja jestem biedna!
 W chacie chłopskiej sama jedna!
 Wraz po ślubie zapomniana
 I opuszczona po ślubie...
 Ja tak tajemnic nie lubię.
 Zawsze z ludźmi żyłam szczerze!...
 Powiedz, kiedyż mię zabierze
 Mój mąż od tych popadjanek?

SEMENKO.

Nie wiem, panno.

SALOMEA.

To ty może
 Któręj z tych dziewcząt kochanek?

SEMENKO.

Brat.

SALOMEA.

Ach! to ja się założę,
 Że ci one nie do duszy.

SEMENKO.

Hej! a to czemu, panienko?

SALOMEA.

Bo każda z nich tak się puszy,
 Humor mają kwaśny, dumny.
 Gdyby mnie dotknęły ręką,
 Myślałabym, że już leżę
 Na marach... Ja tobie szczerze
 Mówię, gdzie pop, tam i trumna.
 Ale nie myśl, że ja dumna,
 Lub z prostoty waszój szydżę,
 Albo się chłopami brzydżę.
 Ja, bywało, pieśni wasze
 I wieczornic słucham lubo;
 Bywało, świecę zagaszę,
 Wyjdę nocą na poddasze
 I tam, jak za serca zgubą

Tęsknię, słysząc na torbanie
 Śpiew i tańców tupotanie;
 To mi i zapachy leśne
 I te głosy lecą dźwięczne;
 Od smętności — aż miesięczne,
 Z wesołości — aż bolesne;
 A od krzyków, niby wściekłe,
 A od ech, długie, rozwlekłe,
 A czasem czyste jak ślozy,
 Jak szkło, na serce się leją.
 To czasem się mgły odwieją
 I odwiną srebrne brzozy,
 I pokażą mi z kolorów
 Wstążek girlandę upiorów
 Lecącą... Czasem z kurhanu,
 Kiedy się futrem otulę,
 Patrę, jak wy na Trzy Króle
 Święcicie wodę Jordanu.
 Gdzieś, na srebrnym, rzeczonym lodzie,
 Co błyszczy, by złota blacha,
 Pop wasz trojgiem światła macha,
 Ogniem rzuca po narodzie;
 Z trzema płomieniami w dłoni
 To wstanie, to się pokłoni,
 To się pokłoni, to wstanie,
 Aż z wody ognia dostanie
 Zagaszoną wprzódę świecą;
 I ten ogień mu rozchwycą,
 Rozniosą wnet na różany
 Łód, pomiędzy tulipany
 Z chorągwi, gdzie mi w pamięci
 Jeszcze dzisiaj widni Święci,
 Na dnach złotych malowani,
 I te popy...

SEMENKO.

Jak szatani.

SALOMEA.

Nie, Semenکو, każda wiara
 Prowadzi ludzi do Boga.

Tatko mówi: świat to mara!
 A dobrodziej: śmierci trwoga.
 Taj my, bywało, we dworze,
 Kiedy okna śnieg zawali,
 Przy tatkum kolendowali
 W srebrne Narodzenie Boże.
 Jak pośród małej stajenki
 Pastuszkom strzygącym runo
 Zjawiło się pańskie łuno,
 Płomień przezroczysty, cienki,
 Od złota, rubinów żywszy;
 I pastuszki oświeciwszy,
 Takiem je natchnął weselem,
 Że wybiegli, o dzieciątku,
 Co miało być Zbawicielem,
 Rozpytując się po drodze.
 A potem, w jakimże kątku,
 Na jakiej oni podłodze,
 Na jakich prześcieradełkach,
 Różach, rubinach, perełkach,
 Narcyzeczkach i bławatkach,
 Przy jakichże biednych świadkach,
 W żółbeczku małym przed matką
 Znaleźli Pańską Dziecinę!
 Ach! gdy nam zaśpiewał tatko,
 Że znaleźli, to mnie małą dziewczynę
 Łzy zalały, dreszcz radosny przechodził,
 I krzyczałam: Chrystus Pan się narodził!
 I krzyczałam i klaskałam tak w ręce:
 Chrystus Pan się narodził w stajence!
 A dziś, Boże! cóż ze mną się dzieje?

SEMENKO.

Co mi ten kur ranny pieje?
 Ot, nie mogę od łez... Słuchaj panna...

SALOMEA.

Ach! ja, by świeża dziewanna,
 Obrastałam w kwiatki złote,
 A dziś porzuciłam cnotę.

Bóg wie, co to jeszcze będzie;
 Co się ze mną jeszcze stanie!...
 Te wspomnienia, śpiewające łabędzie...

Wchodzi LEON z kością trupa w ręku, ścigany przez kilku chłopów.

Co to jest? w brudnym żupanie
 Mój mąż... w błocie cały, bez szabli?

SEMENKO.

Czy go wypuścili dyabli?

LEON.

Ty podły zbójco! gałganie!
 Chłopie! napadłeś mię w lesie,
 Wyrabiałeś mi szwadrony,
 Wiozłeś rannego w kolesie,
 Gdzie jęczał szlachcic czerwony,
 Gorącą mię krwią oblewał
 I podemną jak trup ziewał.
 Jeńcem jestem, więc nie będę się targał,
 Lecz ci powiem wprost w oczy, żeś szelma!
 Żeś liberyą moję krwią zaszargał!
 Że ten szlachcic, co w oczach ma bielma,
 To twój... krwią cię on swoją zaleje,
 Kiedy staniesz przed Boga jasnością.
 Ot, wy katy! rzezunie! złodzieje!
 Ot ja wolny... i trupa wam kością
 Dam ostatnią i krwawą naukę...
 Łby wam podłe na miazgę potłukę!
 Tę kość w moim ręku Bóg zapali
 Jako piorun i będę was gromił,
 Aż się cmentarz podemną zawali...

SEMENKO.

Ot się Laszok na krew połakomił.
 Hej... pokornie ja proszę waszmości,
 Daj mi z żonką noc przepędzić miodową.

LEON.

Ot ja przy téj trupiéj kości,
 Ty przy szabli — a tam purpurową
 Błyskawicą pożary nam świecą;

Tu się tłuczmy, aż łby nasze polecą
W drobne drzazgi do błyskawic — i znikną.

SEMENKO, do chłopów.

Hej! parobki...

Chłopi chwytają Leona za ręce.

LEON, mocując się z chłopstwem.

Włosy wszystkie mi wstaną,
Wszystkie jak gadziny sykną,
Wszystkie jako węże świsną,
Wszystkie jak pioruny błysną.
A choć członki skrępowane
W rękach u czarnych rzezuni,
To cię włosami dostanę,
Bo się mój włos rozpioruni,
Powietrzem ciebie doleci
I na węgiel czarny spali,
A paląc, twarz ci oświeci,
Abyśmy się raz spotkali,
Nim się napotkamy w niebie,
Raz jak trupy spojrzeli na siebie.
Bóg to widzi, że nie chcę żywota,
Ale śmiercią chcę twój śmierci, gałganie!
Chcę do mogilnego błota
W robaków i krwi bluzganie
Zaciągnąć ciebie za włosy,
Zęby tobie wszczepić w gardło,
Gryść się z tobą jak połosy,
Aby się na nas podarło
Ubranie nasze cielesne,
A członki same bolesne
Po stepie skakały jak żmije.
Ja cię prosto nie zabiję
Za króla złoto i srebro;
Ale cię kiedyś za żebro
Odwinęte, kościo-pióre,
Siekierą tak odwalone,
Że ma zawiasami skórę,
Powieszę jak żywą wronę!
Jak ty, krwawy pastwicielu!
Na jednym obywatelu

Stawszy się piersi felczerem,
 Usta mu zrobiłeś zerem
 I straszną krwawą pustoszą,
 A ze skór odartych skrzydła,
 Które go w niebo unoszą
 I pół ludzkiego straszycła
 Panu Bogu teraz jawią
 I pośród aniołów stawia,
 Strasznym go czyniąc aniołem;
 Otóż ja pod twojém czołem,
 Jeśli się żywi spotkamy,
 Wygryzę takie dwie jamy,
 Aby w nie mózg wolno ściekał,
 Jak ty woskiem powypiekał
 U tych dwóch, co na wznak leżą,
 Kłębując się w krwi jak delfiny,
 I bluzg roztopionej cyny
 Na piersiach mają odzieżą,
 Krzyżem i srebrną kałużą,
 Pod którą ciało się dymi.
 Więc ja cię, gadzie olbrzymi!
 Nim cię duchy przenaturzą
 W psa i obłok z krwawej pary,
 W żebrach ci porobię szpary
 I te znituję ołowiem;
 A jeśli kiedy odpowiem
 Przed Bogiem, to wiem, że nie za to.

SEMENKO.

Ty mój dobrodziej!... ty chatą
 Obdarzył mnie i połonką
 I znitował mnie z tą żonką,
 Która mi tu pachnie rajem.
 Taj przyszedł... co? z korowajem
 Na wesele twego sługi?
 Gdzie krew, to jak wina strugi,
 Gdzie mogiły, jak wyprawa,
 Księstwo całe, ziemia krwawa;
 A pieśń na te zaślubiny
 To wasze straszne łaciny,

To wasz smętny pacierz laszy,
 Co mi głupie chłopstwo straszy,
 Wyjąc w nocy po mogiłach.
 Szczob ty był lwem? przy lwich siłach,
 Toby wczora z twymi panu
 Bił się niepardonowany
 I krwią las ojcowski zrosił,
 A u siekier się nie prosił,
 Tego był, co dziś, humoru.
 Gdyby ty był człek honoru,
 Toby swą kochankę cenił
 I sługi z nią nie ożenił,
 Wypaliwszy wstydu znamię.

SALOMEA.

Leonie, mów mu, że kłamie.

SEMENKO.

Ja twój mąż. .

SALOMEA.

Leonie drogi,
 Czemu ty patrzysz pod nogi?
 Podnieś oczy, w oczach siła.

LEON.

Trzeba, abyś uwierzyła
 W smoki, że na złocie siedzą
 A piskłeta własne jedzą;
 W gadziny słońcem rozgrzane,
 Ciałami własnych rodziców
 Na stepach powypasane;
 W upiory, co od księżyców
 Wziąwszy gust do krwi czerwonej,
 Częściej spowinowaconej
 Pragną, niż obcą się mażą.
 Gdy cię te wszystkie przerażą
 Monstra, chodzące w purpurze,
 Czyniące przeciw naturze,
 By własnej dogodzić strawie,
 Wierz we mnie... i bądź w obawie,
 Czy ja nie gorszy niż one...

SALOMEA.

Zdrapał rany. . ach! utonę
W téj krwi. .

SEMENKO.

Weźmijcie ją, siostry.

A ciebie, panyczku, ostrzy
Topór albo kosa skosi,
Albo miłość jój od śmierci wyprosi.

Popadjanki wnoszą do chaty Salomeę. Semenko za Leonem, prowadzonym na cmentarz przez chłopcy, wychodzi.

A K T IV.

Obóz polski... zdala widać okop czworogranny, oświecony wewnątrz przez chłop-
skie ogniska... z bukietem lip i cerkwią. — Wchodzi REGIMENTARZ z garstką
SZLACHTY zbrojnej.

REGIMENTARZ.

Przed nami, mości panowie,
Serce buntu, gniazdo chłopie.
Oto w piaskowym okopie
Siedzą dymami nakryci.
I gdyby o jeńców zdrowie
Nie dbać, że będą zabici,
Nim się wedrzemy na wały,
Dawnobym polnymi działa
Zagrał śmiertelnego marsza.
Ale już drużyna starsza
Zaczyna z nami układy,
I ciągle lirowe dziady
Włóczą się niby upiory,
Tych kruków negocyatory,
Kawałki ludu chodzące.
Dawniej to, bywało, dziady
Szlachectwu dobrze życzące
Nieraz brano do porady
I przychodzili zgarbieni,
Zasiadali rzędem w sieni,
Lub na dziedzińcu pod drzewem;
I tam sobie lirnym śpiewem

Jak kawki, bywało, gwarzą.
 Aż pan dziecko wyśle z groszem,
 Z pełnym obwarzanków koszem;
 To dziecinie błogosławią,
 Obrazkiem nieraz obdarzą,
 Albo coś o przodkach prawią
 Dziwne i ciemne powieści,
 Co się potem śnią w nocy dziecięciu.
 To, bywało, ze czwórdzieści
 Dziadów, o wiosny poczęciu,
 Schodziło się nam do domu.
 Mój ojciec, niech mu Bóg świeci!
 Polecał nie lada komu
 Karmić te dawnych stuleci
 Chodzące żywe kroniki,
 Ale zawsze nas chłopczyki
 Posyłał. Nie wiem dla czego,
 Dziś ten afekt ojca mego
 Dla dziadów w myślach mi stoi?
 Czy to, że dusza się boi
 O syna i przeczuć słucho
 I ojca też jako ducha
 O świętą pomoc uprasza;
 Czy też, że dziwnie myśl nasza
 Z wiatrem bożym się odmienia,
 Raz pełna w sobie płomienia,
 Pewna szczęśliwego skutku...
 To znowu, trumnica smutku,
 Dusza... niespokojna, trwożna,
 Jako ślimak w skorupie ostrożna.

Wchodzi SAWA w sukmanie diaczka ruskiego z wertepem pełnym jasełek na plecach.

Cóż tam, Sawo? czy dobrze wertepem
 Oszukałeś to chłopstwo pijane!
 Czy im ciągnie jaka pomoc stepem?
 Czy widziałeś cmentarze rumiane
 Jeńców krwią? Czy mój Lew jeszcze dycha?

SAWA, zrzucając sukmanę.

Dajcie mi pierwój z kielicha
 Pociągnąć nieco węgrzyna.

REGIMENTARZ.

Widziałeś mojego syna?

SAWA.

Zdrów.

REGIMENTARZ.

Czy dociągnie do nocy?

SAWA.

Dęby przetrwa... on pełen jest mocy?
Cóż za myśli twe, regimentarzu?

REGIMENTARZ.

Więc byłeś na tym cmentarzu?
Ach, powiedz, na coś patrzył oczyma.

SAWA.

Dawno już, mości panowie,
Od Drewiczam się nauczył
Podstępów, różnych maskarad.
Więc i teraz z tym wertepem
Na plecach, udając diaczka,
Takem dobrze odgrał rolę,
Że jedne tylko sokole
Oczy na mnie się poznały,
Skoro tylko pociemniały
Czarne lipy nad cerkiewką,
Wszedłem na wał raźnie, krewko,
Na wał, gdzie przy kołowrocie
Dawniej żebrak lub cyganka
Siedzieli... a dziś w ciemnocie
Straszna krwi gospodarzanka,
Rzeź czerwona stoi w dymie
Pędzonym od Zaporozów.
Bo te zbrodnie tak olbrzymie,
Ta góra węży i nożów,
Nożów, które w Boga imię
Poświęcone wśród rozruchów,
Mają zaciętą naturę,
I okropną świętość duchów;
Bo ten, który mógł górę
Olśnia, lecz nie wypogodzi

Księżyc... i sam przestrach czuje,
 Bo z jednego trupa schodzi
 I na drugiego wstępuje;
 Bo jedną porzuci głowę
 I zdejmie z niej białe skrzydło,
 I znów drugie koralowe
 Odkrywa we krwi straszycło,
 Gdzie w ranach jak ślepy brodzi.
 Wszystko to na myśl nawodzi
 Tę marę w pół obłąkaną,
 Niegdyś przed rzezią widzianą,
 Na cmentarzach i kurhanach,
 W ludzkich ślinach i psich pianach
 I zgniliznach i w zamachu
 I w zgrzytaniach i tęsknotach.
 Bo przy ukraińskim strachu
 Zawsze w miesięcznych pozłotach
 Stoi smutek .. w sercu boli
 I myśl puszcza w lot sokoli.
 Z takim to smutkiem a zręczne
 Oczy posławszy za szpiegi
 Na ciemne wzgórze miesięczne
 I krwią zroszone mogiły,
 Aby mi tam wypatrzyły
 Na razie ratunku brzegi,
 Wszedłem, strachu będąc blisko,
 Na to ciemne uroczysko
 Z krzyżami .. i tam ujrzałem,
 Że pomiędzy żywem ciałem
 Niektóre resztki z krwawników,
 Ciała smętne nieboszczyków
 Leżały, a w oczach próżnych
 Nietylko że brakło życie,
 Lecz na miesiąca odbicie
 Nie było szkieleł; więc się blaski
 Po krwawnikach gdzieś kałużnych
 Błąkały i szły w roztrzaski,
 W garście złota, w kwiaty cudu;
 Które pewnie wzroki ludu,
 Co na krwi kałużach wiszą

Obląkane strachu snami,
 Nazwą krwi tulipanami
 I Rusałkom je przypiszą,
 Widząc kwitnące wśród cieni...
 Wszedłszy tam, gdzie mgła jesieni
 Mży a liść lipowy cięży
 I na miesięcowych strunach
 Kładzie swoje czarne plamy;
 Gdzie gałęzie, jak kłęb węży
 Lecących z piekielnej bramy,
 Matki, przy synach ksykunach
 Zatrzymały się i leżą
 Na ogniach, jak na piorunach,
 Panując nad horodyszczą,
 A patrzą, gdzie żądłem uderzą
 I na serce trupów świszczą;
 Spostrzegłem drugi ponury
 Tłum, co śmierci się spodziewa.
 A czasami jeniec który
 Odetchnie śmierci ciężarem,
 A czasem który zaśpiewa,
 A czasem jęknie nad żarem;
 Albo ci nagle z pod nogi
 Zawoła kamień czerwony:
 Ratuj, Panie Jezu drogi!
 A drugi: bądź pochwalony!
 I tak to robactwo w próchnie
 Szepee; aż z krwawych rozcięków
 Straszniejsza głowa wybuchnie
 I krzyknie: na wieki wieków!
 I wszystko na chwilę uciszy.
 Tam wśród pjanych towarzyszy
 (Miałem go prawie pod ręką)
 Twój sługa siedział Tymenko,
 Skarżąc się chrapliwie z gardła,
 Jak człowiek, co ma suchoty,
 Że małżonka mu umarła,
 Że go z tą czernią kłopoty
 Już do syta udreżyły,
 Że, ot — wyjdzie na mogiły,

Każę rznąć obywateli,
 Krwawym się przypatrzy pluchom;
 A potém, na wiwat duchom
 I dyabłom, w łeb sobie strzeli
 I kopnąwszy o płomień,
 Jak szatan światem pomiota.

Spojrzałem: a odurzenie
 I niepamięć i zgryzota,
 Żył posiniałych napięcie,
 Owo straszne przedsięwzięcie
 Pisały na jego twarzy...

Wtenczas ja, mając na straży
 I pieczy jeńców żywoty,
 Teatr mój łożówką złoty
 Na srebrnej kurhanów darni
 Odkryłem, mości panowie.
 I na ciemnych mogił głowie
 Zjawiłem w mojej latarni
 To, o czém, jak wiecie sami,
 Śni się nam pod mogiłami.
 I tak to Betleem złote
 Oświecone... gwiazdą było
 Rozlewającą tęsknotę,
 Słońcem myśli zakrwawionych;
 Bo niektórym o domach mówiło,
 O dzieciątceczkach straconych,
 O śpiewanych gdzieś kolendach
 I o tych żywota błędach,
 Co dopiero przed śmiercią są widne.

Wtém, o panie, na ohydne
 Cmentarze i uroczyska,
 Pod ciemne lip węzowiska,
 Od kurhanów na kurhany...
 Wiodąc światła złotych roje,
 Przez miesiąca ołowiany
 Blask... sunąc chorągwi tęcze
 Na wieczności gdzieś pokoje
 Snujący złote obręcze
 Wąż... pogrzeb wioszczany, lichy,
 Pachnący czarnym jałowcem

Wszedł i rzucił nad grobowcem
 Trumienkę bez żadnej pychy,
 Ale ubraną w kielichy
 Narcysowe i w konwalje;
 Jasną... bo w niej anielicą
 Ubrana jak na batalje
 Z piekłem w słoneczności lica
 I w niewinności ubiory
 I w te ostatnie kolory
 Śmiertelnój podobne zorzy,
 W ostatni rumieniec przedboży,
 Leżała.

A skoro mary
 Wstąpiły na cmentarzysko,
 Ruszył się Gruszczyński stary,
 Prawdziwe dla mnie zjawisko
 Krwawego z pod grobu trupa,
 Za którym czarna wron kupa
 Upędza się, goni i wrzeszczy.
 Przybiegł, obaczył te mary
 I... jak dąb, co w sobie zatrzeszczy,
 Powieje liścia sztandary,
 Pokłoni się światu — i runie,
 Tak on na téj białej trunie,
 Gniotąc narcysowe pączki,
 Leżał, głową powalony
 Na obrazek umarłój i rączki.

Z drugieój strony zaś syn twój szalony,
 Z równą, zdaje się, żałością
 Przybliżał się z trupią kością,
 Białą, w ręku podniesioną,
 I z taką twarzą szaloną,
 Że strach nam serca zamroził;
 Bo zdało się, że obłokom,
 Gwiazdom, latającym smokom,
 Chimerom, aniołom groził;
 Że oczyma niebo ranił
 I tą kością szatanom hetmanił.

Nie wiedziałem, co wszystko to znaczy;
 Aż twój syn padł na kolana

I w piekielnika rozpaczy
 Zaczął siebie sam przeklinać.
 Dajcie, krzyknął, nóż starcowi!
 Jeśli kto tu ma zarzynać?
 Jeśli wy zarznąć gotowi
 I oblać się juchą krwawą,
 To on większe ma tu prawo
 Mścić się... bom uwiódł mu dziecko
 I to dzieciąteczko cudze
 Darowałem memu słudze,
 Zrobiłem córką zbójcejką;
 Tak, że ją rozpacz rozdarła
 I oto leży umarła,
 Jasna jak zwiędłe lilije,
 Ludowi temu w podziwiewie.
 Niechaj starzec mnie zabije
 A uczyni sprawiedliwie.
 Puście! proszę was z litości,
 Jeśli nie chcecie dać noża,
 Ja mu pożyczę téj kości;
 I będzie jak ręka boża,
 Którą ja zgonem uświęcę,
 Jak dłoń boża, w ojca ręce
 Jak grom... Tu przerwał Gruszczyński,
 Równie zdając się szalony:
 Co to za szatan czerwony,
 Krzyknął, ów człowiek przedemną?
 Czy jaki duch ukraiński
 Z szatą gwiazdzistą i ciemną,
 Który mi tu płakać broni?
 I stoi z piorunem w dłoni?
 Z włosów swych uczynił gady,
 Grożąc mojej córce bladój,
 Która jest aniołów panią;
 I nie daje mi iść za nią,
 Sił ostatecznych pozbawia
 I krzyżem drogę zastawia
 O! bo tam krzyż z wielką gwiazdą,
 Krzyknął, biorąc nas za świadki...
 Na nim pelikana gniazdó

Karmiącego krwią swe dziatki;
 A z Chrystusa krew wytryska
 Coraz jaśniejsza i bledsza,
 Aniołkowi śród powietrza
 Lejąca się w puchar złoty.
 O! Chrystus i różne zjawiska
 Jawią mi się śród ciemnoty,
 I przejęty jestem trwogą;
 Ja nie mogę zabijać nikogo...

Tu mu głos twojego syna
 Przerwał: jeśli widzisz Pana,
 To Pan mię pewno przeklina;
 Bo dusza zaturbowana
 W oczach moich teraz stoi
 I nie widzi i Boga się boi.

Tak ci gadali do siebie
 Przez trumienkę otworzoną,
 Gdzie z narcysową koroną
 Będąca na swym pogrzebie
 Srebrna dusza pewnie onych
 Mów się przelekła szalonych,
 I od takiej świata lutni,
 I od takich męki krzyży
 Uciekała coraz smutniej,
 Uciekała coraz wyżej...
 I nie mogłem się obronić,
 Aby nad nią łez nie ronić,
 Nie zatrzymać w myśli rysów,
 Nie żałować tych narcysów...
 Co się z tymi ludźmi stało
 Dalej? panie, nie wiem wcale.
 Bo mię jeden z brodą białą
 Dziad w wielkim duchu i szale.
 Uderzył tam po ramieniu
 I nazwawszy po imieniu,
 Odwiódł od umarłej dziewczki
 I od obłąkanych ludzi
 Do jednej pustej cierkiewki,
 Gdzie... co mówił.. to wam uszy utrudzi,
 Bo wy gadek nie znacie stepowych.

REGIMENTARZ.

Ach, rzeczy piekielnie nowych
 Powieść twoja pełna, Sawo...
 Mój syn z tą kością plugawą
 Mój syn, mówisz, waryatem?
 A starzec nie chciał być katem,
 Pomnący na pokrewieństwo
 Przyjaźni, co nas łączyła;
 A może też przez szaleństwo,
 A może wzdarda to była
 W szatę szaleństwa ubrana,
 Ach! i tak zamaskowana
 Zdała się tobie waryacją?
 Ach! przed tym okopem klęczę

Klęka.

Jak przed kalwaryjską stacyą
 I do Pana mego jęczę
 W ufności i w krwawym żalu.
 Mogiło! krwawy koralu!
 Krwią mego dziecka oblana!
 Patronuj za mną do Pana!
 Przemów krwi modlitwą ciemną!
 Niech się zlituje nademną!
 Cóż to jest?... ktoś na okopach?

Pokazuje się na okopie w powietrzu mglistém GRUSZCZYŃSKIEGO DUCH.

DUCH.

Gońcie! bo na czarnych chłopach
 Krew nasza!... powietrze rwiemy!
 Gońcie! bo poszalejemy!
 Bo nam na błękitach krwawo!

REGIMENTARZ.

Czy widzisz go?

DUCH.

Sawo! Sawo!

Znika.

REGIMENTARZ.

Czy go słyszysz?

SAWA.

Wernyhora
Prawdę zapowiedział wczora;
Ten krzyk, to jest nasze hasło...

REGIMENTARZ.

Powietrze czerwone zgasło
I zniknął ten człowiek stary
Skrwawiony.

SAWA.

Czekano téj mary
Na Ukrainie u ludu...

REGIMENTARZ.

Nie ma w tém żadnego cudu.
Gruszczyński o pośpiech woła...
Kaź uderzyć do kościoła
Z hakownic... aż srebrne gonty
Polecą na dachu zrębie
I pierzchną niby gołębie
Chmurą białą... niby świstki,
Na których nasze afronty
Spisane...

SAWA.

Lub jako listki
Ruszone z białych narcysów..

REGIMENTARZ.

Hej, Orel... burkę z tygrysów...
I szablę... Do szturmu, panowie!
Kto żyć będzie, ten jutro rozpowie
O dzisiejszej godzinie kobietom...
Reszta szablom i końskim kopytom.

Wychodzi, za nim Sawa i cała szlachta.

ZMIANA I.

We dworze regimentarza. Wchodzi KSIEŻNICZKA i za nią ANUSIA.

KSIEŻNICZKA.

Ach, Anusiu! Anusiu!

ANUSIA.

Co, panno?

KSIEŻNICZKA.

Gruszczyńskiego duch mi się pokazał.

ANUSIA.

Być nie może.

KSIEŻNICZKA.

Z piersią krwawą i ranną
Cicho stojąc, na powietrzu namazał
Krzyż czerwony i zniknął.

ANUSIA.

Horory!

KSIEŻNICZKA.

Przepowiednia się, ach! Wernyhory
Sprawdza na mnie...

ANUSIA.

Niech się modli panienka.

KSIEŻNICZKA.

Jeszcze krwawa i ognista ręka
Musi oddać mi ślubny pierścionek.
Widziałam już pierwszą mare.

ANUSIA.

Zmów panienka choć kilka koronek;
Uczyń z czego serdeczną ofiarę.

KSIEŻNICZKA.

Ach! z rozumu ja i śmiechu
Ofiarę już uczyniłam.
Jak płótno jestem na blechu
Pokrwawione ducha dłonią;
Z oczu się jego napiłam
Świateł, co nad świętych skronią.
Dowiedziałam się z postaci,
Że człowiek nic w grobie nie traci,
Widząc go w złoconym pasie,
Może z ogni robaczliwych.
Każe się pogrześć w atlasie,

W kolorach nielitościwych
 Dla serc, które teraz jęczą :
 I po śmierci będę tęczą,
 Jeśli mi Pan Bóg pozwoli,
 Od topoli do topoli
 Na cmentarzu pajęczyną
 Z róż, brylantów i motyli...
 Przez którą przejdą niemili,
 A mili tak się owina,
 Że wiecznie ze mną zostaną...
 Ach, Anusiu, jutro rano
 Los mój się rozwiązać musi
 Tak jak dumka spiewana na Rusi.

Wychodzi z Anusią.

ZMIANA II.

Przy cerkwi pod lipami... LEON z kością w ręku, obłąkany na twarzy...
 Wbiega SEMENKO.

SEMENKO.

Złociste Lachów sztandary
 Gnają wiatr... i dym i krew.
 Leci z szablą pan mój stary,
 Złoty jak kudłaty lew ;
 Ołowiany ja mu grad
 Ze szturmaka sypnął w brzuch,
 Taj nie zadrzał i nie padł
 I zdjął mię strach. Szczo ty za duch?

LEON.

Przysięgam na blask księżycy,
 Żem nie człowiek, ale lwica ;
 Żem nie człowiek na cmentarzu,
 Ale śmierci herb w herbarzu :
 Na czerwonym polu stoję
 I złotych się gwiazd nie boję,
 Nie boję się twojej spisy.

SEMENKO.

Ach, daj paść na jój narcysy
 I umrzeć.

LEON.

Nikt nie umiera,
 Ale piekło się otwiera,
 Gdy w bramy stukam tą kością.
 Widzisz tam, pod lip ciemnością
 Postacie widać piekielne,
 O drzewa poopierane.
 Powietrze jak ołowiane,
 A deszczem gonty kościelne,
 Lecące jak śniegi białe,
 Na ogniu i krwi stopniałe,
 Węży sinych bielą kuszcze...
 Precz do piekła! bo do cerkwi nie puszcze.
 Bo tam teraz z wielką ciszą
 Dusze umęczonych wiszą
 Na krzyżach i Boga chwala,
 A słońca jasne się palą
 Koło ich głów jak tarcze złote.

SEMENKO.

Miałby ja teraz robotę,
 Gdyby z waryatami gadał;
 Puskaj w cerkiew.

LEON.

Na pierś skoczę
 I będę oczy wyjadał.

SEMENKO.

Strach ty... lecz ja w tobie umoczę
 Moją spiseń aż po dłoń...

LEON, odbija spiseń kością... i wlatując na Semenke, obala go na ziemię i dusi.

W rękach mam twe gardło i skroń,
 A co?

SEMENKO, przyduszonym głosem.

Dusysz mene, panyczu!

Wbiega REGIMENTARZ na czele polskich żołnierzy.

REGIMENTARZ.

Co za widok? mój synu! mój synu!
 Patrzcie! na jego obliczu

Obłakanie; jedna ręka
Potrzęsa palce z rubinu,
A w drugiej kość ludzka się pęka
W drzazgi, a wzniesione brwie.
Mój synu! mój drogi! mój Lwie!
Ach, co za okropny los!...

LEON, wstając i przychodząc do zmysłów.
Co to jest? ojcowski głos!

REGIMENTARZ.

Poznał mnie... weźcie go stąd!
Tu jeszcze kule świegocą.

Wyprowadzają Leona.

A jutro rano na sąd
Dostawić tego zbrodniarza.

Pokazuje na Semenkę.

Żyły mu w gardle charchocą,
Oczy wyszły z wirydarza
Czaszki, jak dwa blade króle
Pełne przestachu, w purpurze,
Kiedy Pan ludów na chmurze
Napisze słowo stracenia.
Wziąć go... i w mojej szkatule
Znaleść co do otrzeźwienia,
A zdrowego mi dostawić;
Bo ja się z nim będę bawić
Jak kot z myszką.

Wchodzi SAWA.

Cóż za wieści?

SAWA.

Pałasz mój do rękajeści
Czerwony krwią mego ludu.
Podobnie się nam do cudu
Ta krwawa walka powiodła,
Ani jeden z nas nie zginął...

REGIMENTARZ.

Ten dzień wiecznie będzie sływał,
Bo mię Pańska nie zawiodła.

Łaska, syn mi się odrodził,
 Zmartwychwstał na moje słowo.
 Co rok to będę obchodził
 Jak wielką fetę domową
 I aniwersarz rodzinny.

SAWA.

Do końca muszę być czynny
 I kopnąć się dziś z wieczora,
 Bo nam zniknął Wernyhora
 Z ciałem umarłej dziewczyny.
 A teraz jasno to widzę,
 Że on rozhukane gminy
 Utrzymywał z sobą w lidze,
 Z duchami wiązał w sojusze;
 Aż go święte jakieś dusze
 Wczoraj tak we śnie zmęczyły,
 Że dziad uciekł na mogiły.

REGIMENTARZ.

Ruszaj w pogoń, bo te trądy
 Trzeba zupełnie wyleczyć;
 A choćby ziemię skaleczyć
 W leczeniu, wrzód wyrznać trzeba.
 Jutro rozpoczynam sądy,
 Gdzie dom Gruszczyńskiego z nieba
 Będzie mi adwokatował...
 Bom go już zastawszy trupem,
 W martwe czoło ucałował
 I przyrzekłem, że kruków go łupem
 Nie zostawię i beze mszy żałobnych,
 Ale go do dziatek drobnych
 Przybliżę... i niech uśpiony
 Położy się obok żony
 I u nóg staruszki matki...
 A waść jemu przynieś kwiatki,
 Ciche kwiatki narcysowe
 Pod srebrną staruszka głowę...
 To i wszystko w ciemnym grobie
 Znajdzie ten człowiek przy sobie...

SAWA.

W tém ci najwierniej usłuże,
 Kładąc w tok kurenne spisy,
 Ale ty mi za narcysy
 Będziesz musiał oddać róże.
 Do jutra, regimentarzu!

Odchodzi.

REGIMENTARZ.

Pokój duchom na tym smętnym cmentarzu.

Wychodzi z rycerstwem.

A K T V.

Sala we dworze regimentarskim, przybrana posepnie jak na sądownictwo, oświetlona jarzącym światłem. Wchodzi KSIĘŻNICZKA z orszakiem panien respektowych, bogato ustrojona.

KSIĘŻNICZKA.

Jaki jęk na dziedzińcach!
 Jak płaczą młodyce!
 Klną stepowe księżyce
 I słońce i rwą włosy.
 Ile krwi w Ukraincach,
 Tyle teraz tu rosy
 Wyleje się na kwiaty,
 Astry, gwoździki, róże.
 Gdym wyszła na podwórze,
 Zobaczyłam i katy
 Okropne i czerwone,
 Nie wiem skąd przywiezione.
 Ach! a ze mną co będzie?
 Czy jak srebrne łabędzie
 Spłynę na krwi czerwieni?
 Czyli mi się odmieni
 Ten skrwawiony poranek
 W wieczór słodkiej tęsknoty,
 Cichy, księżycem złoty,
 Tak miły dla kochanek!
 A dla pijaków panów

Tak wesoły po wojnie!
 Święcący tak spokojnie
 Dla starych gdzieś kurhanów!
 A dla dziś osądzonych,
 Mogił świeżo czerwonych
 Taki pełny spoczynku!
 Włos mam w listkach barwinku
 A chociaż z wrózek szydzę,
 Taką się dzisiaj widzę,
 Jaką się ach! widziała
 W przysłych myśli szafirze,
 Kiedym dziesięć lat miała,
 A dumkarz grał mi dumki na lirze.

Wchodzi REGIMENTARZ, LEON, SEKRETARZ sądu i orszak SZLACHTY.

REGIMENTARZ.

Czemuś, moja panno, dziś nie w czerni?
 W dzień tak straszny, tu, gdzie kryminały
 Będę sądził... Towarzysze pancerni
 Zasiadajcie... Żupan wdziałem dziś biały,
 Gdy go zrzucę, to będzie czerwony...
 Kazać w cerkwi uderzyć we dzwony
 I wprowadzić tu herszty rzezunie.

Zasiada na krześle .. Polscy wojacy wprowadzają okutego w łańcuchy SEMENKE
 i kilku z naczelników rzezi.

PIERWSZY Z CHŁOPÓW, kłaniając się.

Daruj, pane!... Taj czart niechaj splunie
 Czarną krew, co my z panów wylały.
 Taj bądź ty nam jak car biały;
 Bądź litosny.

REGIMENTARZ.

Bóg to widzi! nie mogę.
 Uderzyliście w trąby na trwozę,
 Zapaliliście wioski i dwory,
 Świat was widział jak krwawe upiory
 Tańczące w pożarach, ohydni!
 Niech wam Pan Bóg po śmierci rozwidni
 Piorunami i drogę pokaże...
 Ja nie mogę .. ja was śmiercią ukarzę,

Jako wężom jad czarny odbiorę
 A na waszę udaną pokorę
 Nie uważam. . Ściąć im łby, i w kawały
 Poćwiertować...

CHŁOPY.

Taj szczoł bisy prokłały
 Twij dom czarny.

REGIMENTARZ.

Exekwować ich zaraz.

Do Semenki.

A ty?

SEMENKO.

Ze mną nie będzie ambaras,
 Cienką szyję mam...

REGIMENTARZ.

Słuchaj, Semenke,

Jak ty jeszcze tu niedawno
 Mój chleb jadł!...

SEMENKO.

Taj mi niestrawno.

REGIMENTARZ.

A dzisiaj pod kata ręką?
 Pod ręką sprawiedliwości?...

SEMENKO.

Taj proszę ja jegomości
 O śmierć, a nie o naukę.

REGIMENTARZ.

Znałem cię za śmiałą sztukę;
 Lecz za takię dyable szczenie
 Nie mógłbym nigdy osądzić.
 Jak ty mógł tak rozporządzić
 Buntem? i takie płomienie
 Zapalić?..

SEMENKO.

Jak?... Sercem, panie...

REGIMENTARZ.

Syna ty mego, gałganie,
Jak smok uwiodłeś na zgubę...

SEMENKO.

Oj, dzieciątko twoje lube!
Jemuż to i rosa szkodzi!...
Nie czart... no, on czarty wodzi.
Szczob ja jego miał był oczy,
Jego serdeczną przynętę,
Byłby ja wiódł życie święte,
Uciekł z nią do Pawołoczy.
Byłby ja gdzieś o hetmanach
Śnił na trawie, na kurhanach,
Choćby przyszło pod Kozyrą
Zostać w Siczy tabuńczykiem,
Albo lud obchodzić z lirą;
Byle nie być niewolnikiem,
Nie żyć sercem przez połowę,
A położyć dumną głowę
Na kochanki wierne łono.
Że ja nie z tą się koroną
Co twój syn urodził, panie,
Toż ja za to na majdanie
Stał jak czart w pożarach czarny;
A dziś ty mi, pan bezkarny,
W domu twoim zetniesz głowę.
No, zobaczysz, ciało zdrowe,
Żyły jak krwią jasną trysną;
No, zobaczysz, jak się ścisną
Moje zęby a nie zgrzytną;
No, zobaczysz twarz błękitną
A nie strachem śmierci bladą;
No, rozporzesz przed gromadą
I rozedrzesz na dwie szmaty:
Taj poznasz, że ja chłop z chaty,
A nie tchórz na dokumentach.

REGIMENTARZ.

Mysł teraz o Sakramentach.

SEMENKO.

Pan Bóg bez tego oczyści.

REGIMENTARZ.

Cherubinowie ognisci
 Najczystsze duchy uwodzą;
 Lecz kto stoi aż do końca
 Pod aniołów takich wodzą,
 Ten zaprawdę nie wart słońca.
 Semenko, ty Boga bliski,
 Zamódl-że się teraz w duchu...
 Zakneblować jemu pyski,
 Nogi zostawić w łańcuchu,
 Zawiesić mu kir na czoło,
 Ręce wznieść, słomą okręcić
 I całego oblać smołą;
 Potém przez księdza poświęcić,
 I czarną figurę smolną
 Podparłszy, gdy zechce się walić,
 Na samym wierzchu — zapalić
 I przez wieś prowadzić wolno,
 Jako świecznik zapalony:
 A ciągle niech biją w dzwony,
 Póki zgore żywa świeca,
 Okropna ludu gromnica
 Świecąca buntu trupowi.

Wyprowadzają Semenkę.

KSIEŻNICZKA, do regimentarza.

Ach! strach mię przeleciał mrowi!
 Panie!

REGIMENTARZ.

Cicho mi bądź, dziewczko,
 Bo ci żupana podszewką
 Krwawą zamaluję usta.

KSIEŻNICZKA.

Ach, blada jestem jak chusta!
 Jaka to czarna godzina!

REGIMENTARZ.

Sąd się od drugich zaczyna
 A zakończy się na sobie...
 Wiédzcie zaś, że to, co robię
 W imieniu swoim i syna,
 Z aniołów idzie nakazu:
 Którym nietylko wyrazu
 Wnętrznego trzeba od ludzi,
 Lecz i kształtu, co żal budzi,
 Skruchą serce zadawalnia,
 A przed sądem już aniołów uwalnia.

Daje rozkaz, wnoszą ciało Gruszczyńskiego i opierają trupa na krześle, z którego zszedł Regimentarz; ten zaś, wzięwszy syna za rękę, kleka przed umarłym i mówi:

Szkolny mój niegdys kolego,
 Przyjacielu dziś nieżywy,
 Tyś był zawsze sprawiedliwy;
 Sądź mnie i syna mojego.
 Zaprawdę! obaśmy winni!
 Ja, twojej, człowieku, zguby
 A on hańby: my istynni
 Zabójce twojej rodziny.
 Choć w tobie już żadne śruby
 Martwej ręki nie poruszą,
 Weź ten miecz ognisty duszą,
 Jeśli to uczynić zdolna,
 I na karki spuść nam zwolna
 I każ odnieść na swój cmentarz.
 Boś ty wielki Regimentarz,
 Sędzia Pana Boga święty;
 A my twoje delinkwenty
 Leżym w prochu... zetnij! zetnij!...
 Lecz co mówię? przebacz, stary.
 Ja wiem, żeś ty, pełny wiary,
 Od nas czyściiej żył, szlachetniej...
 Czy ja cię nie znam, człowieku?
 Starego druha i kuma?
 Czy ja nie wiem, co trup дума?
 Trup, jednego ze mną wieku,
 Trup, jednego ze mną serca,

Jak ja niegdyś śmiały, butny,
 Jak ja teraz blady, smutny,
 Na tym krześle zamyślony.

Wstaje i mówi do przytomnych.

Panowie! ja nie morderca...
 Oto boleścią szalony
 Rzucam się w okropnej męce
 Przyjacielowi na ręce...
 Czy nie widzicie, że ściska,
 Że ściska mnie, nie odpycha?
 Ta twarz jego smętna, cicha,
 Patrzcie, niby słońcem błyska.
 Wzywam was wszystkich na świadki,
 Że to jak twarz smętna — matki,
 Nie twarz, która sądem grozi...

JEDEN ZE SZLACHTY.

Ten trup powietrze zamrozi...

Daje znak i wynoszą umarłego.

A ty, nasz Regimentarzu,
 Ze smętnych myśli otrzeźwij
 I z żywymi staw się rzeźwiój.

REGIMENTARZ.

Coraż więcej na cmentarzu
 Mogił, a śmierć ciągle kosi,
 I tam wszystko się przenosi
 A tu coraz puściój co dnia;
 I dla nowego przychodzi
 Coraz obszerniej przy stole...
 Sumienie zaś w sercu kole.
 I to najgorsza z boleści!
 Najstraszniejsza! jak widzicie,
 Gdy człowiek łez w oczach nie zmieści,
 Smutku nie dożuje skrycie;
 Ale żal otwarcie głosi,
 Na zimne kamienie pada
 I o przebaczenie prosi,
 A śmierć mu nie odpowiada,
 Cichą będąc tajemnicą.

Więc tak pogodziwszy siebie
 Z tą jasną duchów różycą,
 Która pośmiertny na niebie
 Kościół osłonecznia nieco,
 By się oczy ducha pasły
 Blaskiem sere, które tu zgasły,
 A w anielskiej róży świecą...
 Wiem i to, że mi koniecznie
 Z światem się godzić należy
 I biec razem, jak czas bieży,
 Bo stanąć jest niebezpiecznie...
 Jakoż pogrzebowe świeczki
 Gęstym zagasiwszy płaczem,
 Afektów będę tłómaczem
 Mego syna dla księżniczki.

KSIEŻNICZKA, na stronie.

Otóż znów z pod rysiěj burki
 Szlacheckie pokazał ucho.

REGIMENTARZ.

Mogęz cię imieniem córki
 Powitać? mogęz z otuchą
 Wnosić, że mi jedynaka
 Uszczęśliwisz?

KSIEŻNICZKA.

Ja niezmienna.

REGIMENTARZ.

I cóż?

KSIEŻNICZKA.

Ja zawsze jednaka.

REGIMENTARZ.

Zgadzasz się?

KSIEŻNICZKA.

Jestem kamienna,
 Nieskruszona.

REGIMENTARZ.

Pókiż tego?

KSIĘŻNICZKA.

Aż pierścienia czerwonego
Dostanę...

REGIMENTARZ.

Daléjże, synu!
Pierścień z jasnego rubinu
Wypał na bielutkiej dłoni
Pocałunkiem, aż się skłoni
Być twoją...

LEON.

Mój ojcie drogi,
Pozwól, żeć uścisknę nogi
I powiem także téj pani
Pokornie, że nie jest dla niéj
Dzisiaj nic więcéj prócz brata
I sługi...; bo także muszę
Odejść od krwawego świata
I za tamtéj pani duszę,
Przysypany od popiołów,
Odpokutować w klasztorze.
Bo moje serce nie może,
Przekłęté raz przez aniołów,
Ofiarować się nikomu.

REGIMENTARZ.

Jakiś czar na moim domu...
Lękam się, że runie w gruzy.

KSIĘŻNICZKA.

To jest coś nakształt rekuzy,
Nakształt grochowego wieńca.

REGIMENTARZ, do syna na boku.

Patrz na nią, w zorzach rumieńca.
Stoi, na pół zagniewana,
Jak księżyc srebrno-różana;
W koronie ze złotych szpilek,
Na których siadają kwiatki,
Jak przy motylku motylek,
A spodem buk i bławatki
Ciemności rzucają silne,

Alabastrom lic przychylnie,
 Szmaragdom oczu zazdrosne,
 Rubinom ust nie szkodzące.
 Patrz, te piersi, dwa miesiące
 W staniku ze złotój lamy:
 Dwa słońca, dwa kręgi głośne,
 Które, gdy jój ust słuchamy,
 One do ust niosą głosy,
 Jak harfy sercem dotknięte.
 Patrz na jój leciuchne włosy
 Z pod zieleni... Na te wcięte
 A pełne tajemnych zacisz
 Gorsy, te łabędzie chody...
 Patrz i pomyśl, co ty tracisz?
 Na Boga! gdybym był młody,
 Pomyślałbym o tém dwa razy.

KSIEŻNICZKA.

Ach! senne moje obrazy
 Biorą kształt.

Wchodzi Wernyhora w płaszczu dziada z lirą.

REGIMENTARZ.

Czemu tu gwary
 Ucichły jak wroni skir?
 Co to za siwy dziad stary?
 Wygląda jak dawny król lir.
 Parobku, z jakiej ty chaty?

WERNYHORA.

Z mohił, panie.

REGIMENTARZ.

Bardzo wierzę,
 Boś podobny do upiora.

WERNYHORA.

Ja stepowy Wernyhora.

REGIMENTARZ.

Szukają ciebie rycerze.

WERNYHORA.

Rycerze błędzą po drodze,
Ja sam na słowo przychodzę.

REGIMENTARZ.

Więc jesteś mi w domu święty.
Siadaj, staruszk, na ławie.

WERNYHORA.

Za żadne ja dyamenty
Z wami długo nie pobawię,
Nie usiądę tu na ławie
Jako człowiek z wami bratni,
Bo ja lirny król ostatni;
Pójdę... duchy jak zórawie
Odprowadzać do hetmanów.
Słyszeli wy, jak z kurhanów
Dobył ja stepowój liry?
Jakie płacze, jakie skwiry
Wron i orłów słyhać było,
Gdy ta lira, pod mogiłą
Ręką Lacha zakopana,
Odezwała's z pod kurhana
W blask miesiąca czerwonego:
Jak córka do ojca swego,
Jak zaklęta upiornica,
Jako Lachów niewolnica,
Jak duch srebrny do księżyca.
A gdy ja rozkopał doły
I przytulił ją na rękę,
Słyszał jój duch cały w brzęku,
Jak pierś u brzęczącej pszczoły;
A gdy otrząsł z niój popioły
I w klawisz ręką zatętnił,
To się ja sam aż zasmętnił,
Usłyszawszy pierwsze granie
I rozplakał na kurhanie,
Jakby w księżycowym raju.
Wże ja teraz ne zahraju,
Pany!... idę w sen, na ciszę!...

Oj liro! twoje klawisze,
 Gdzieś ze srebra dawniej lane,
 Nogą pieśni wydeptane,
 Jakby stare sęki drzewne,
 I kamienie przedcerkiewne
 I zapadłe w dół mogiły
 Świadczą, że pieśni chodziły
 Po klawiszach, pieśni chyże
 I siadały na sen w lirze,
 W krąg siadały pieśni tłumy;
 Posążnice — stare dumy,
 Piorunnice — stare krzyki,
 Szumki lotu — konie kare,
 Szumki płaczu — dum słowiki,
 Błyskawice — myśli stare,
 Rusańczanki — dzwony szklanne,
 Smetne dumy podkurhanne,
 Kędyś aż od Zaporoża..
 Taj dla wszystkich dom uprzejmy...
 Siada w lirze, jak na sejuny;
 A pośrodku duma boża,
 Krwią Chrystusa purpurowa,
 Siedzi jakby dum królowa
 I radzi świat podbić cały...
 Darujcie, pany, ja biały
 Dziad... ja trochę szalony,
 Może co złego powiedział?

REGIMENTARZ.

Zagrałeś nam w dziwne tony,
 Jakbyś na kurhanie siedział.
 Czego chcesz? tłumacz się jaśniej.

WERNYHORA.

Pane, ot po krwawej waśni,
 Gdyś ty ludu krwią czerwony,
 Przyszedł ja ci w moje dzwony
 Zagrać głucho, tuż nad uchem
 I pożegnać ciebie duchem
 Mego ludu.

REGIMENTARZ.

Gdzież idziecie?

WERNYHORA.

Ot ja, panie, miał na świecie
 Jeden futór gdzieś pod borem:
 Dom bez złota, adamaszków,
 I trzy brzozy pełne ptaszków,
 I trzy źródła pod futorem,
 Jak ze srebra tarcze lane,
 Jak kąpiele rusałczane.
 Taj póki lud był szczęśliwy,
 Póki duch żył, ja był żywy;
 Teraz, panie, Boh ze mnoju!..

REGIMENTARZ.

Czegoż ty chcesz?

WERNYHORA.

Ot w pokoju

Rozstać się z wami, panicze.
 Jeszcze spojrzeć wam w oblicze,
 Aby zapamiętać długo
 Duchom, szczo was proklinaje..

REGIMENTARZ.

Mój staruszk, czas nastaje,
 Że nie będąc naszym sługą,
 Możesz cicho zostać z nami..

WERNYHORA.

Szczu? ja, bat'ku? trup z trupami?

REGIMENTARZ, do szlachty.

Dumny szelma!

WERNYHORA.

Ja szalony!

Może ja głupstwo powiedział..
 Przez dziedziniec wasz czerwony
 Jam szedł i drogi nie wiedział,

Choć dwór widział odemknięty;
 Aż mi jeden człowiek święty
 Poswytył łbem aż do sieni..

KSIEŻNICZKA, zbliżając się.

Ojczy! ach, my przerażeni
 Twymi słowy, wszyscy smutni;
 Zagraj nam lepiej na lutni
 Jaką piosenkę z księżycy.

WERNYHORA.

Szczo heto za Anhełyca?
 Ach! ja do niej, idąc w lesie,
 Szedł jak gdyby w interesie.
 Panno, nie chodź mi od boku,
 Bo mi widy jakieś w oku
 Błyszcza, serce drga jak struna.
 Ja odzyskał sen Widuna,
 Patrząc w lice tego dziecka.
 Kto ty? czy ty Wiśniowiecka?
 Czy pamiętasz tego dziada,
 Co, bywało, tobie gada
 Śród pasieki dumy stare?
 Co, bywało, ciebie senną
 Na łóżeczko, pod kotarę
 Nosi i tam, jak kamienną,
 Uspioną dumami kładzie?
 Czy pamiętasz, co ja w sadzie
 Wróżył tobie na dzień ślubny?
 Że to ludu mego zgubny
 Będzie dzień... jak pożar krwawy...
 A w pożarach żywa świeca,
 A koło niej lud ciekawy,
 A ona aż w twarz księżycy
 Tryskająca krwią czerwoną,
 Aż na twoje tryśnie łono.

KSIEŻNICZKA.

Ach! pamiętam, i cóż dalej?

WERNYHORA.

Taj gromnica gdy się spali
 Pod szablicą pana Sawy,
 Przyjdzie i Franciszkan krwawy,
 Pasem się krwi przewiązawszy,
 Niosąc pierścień jeszcze krwawszy.

KSIEŻNICZKA.

Ach! pamiętam Franciszkana!
 Widzę nawet jego rysy.

WERNYHORA.

A potem družka ubrana
 W srebrne, podśnieżne narcysy,
 Przyjdzie družka, trupie ciało...

KSIEŻNICZKA.

Ach! pamiętam družkę białą.

WERNYHORA.

A co pierwój?

KSIEŻNICZKA.

Ach! nie pomnę.

WERNYHORA.

Przed mężem, księdzem i druchną?

KSIEŻNICZKA.

Ach! jakieś blaski ogromne,
 Dary, świecące jak próchno,
 Ślubne moje podarunki!

WERNYHORA.

Podobna ty do Widunki!
 Wszystko sen i prawda szczera!
 Pierwój... moja srebrna lira
 Rozbita i odemknięta

Tłucze lirę o podłogę i wyrzucone z niej papiery oddaje księżniczce.

Wyrzuci te dokumenta,
 Które ja krył, póki sądził,
 Że Sawa będzie hetmanem.
 A teraz ja rozporządził

Wszystkiém, nad czém ja był panem:
 Lirą, pieśnią, wychowanką
 I hetmanem i hetmanką;
 Taj wychodzę z szlachty proga,
 Jak wszedł — a nie bez łez, pany,
 Bo ja z wami chleb łamany,
 Od jednego dany Boga,
 Długo jadł — aż zęby stracił.
 Bogdaj Pan Bóg wam zapłacił
 Za jadło i za gościnę...

REGIMENTARZ.

Gdzież idziesz?

WERNYHORA.

Na Ukrainę.

KSIEŻNICZKA.

Czy to prawda, że po ciebie
 Koń jakiś biały przyleci?
 Koń, co po mogiłach grzebie,
 Okiem rubinowém świeci;
 Jakiś dziwny koń piekielny,
 Mówią, że koń nieśmiertelny?

WERNYHORA.

Ja nie wiem, tak pieśni głośzą.

KSIEŻNICZKA.

Gdzież takie konie unoszą,
 Powiedz?... bo ja będę wiodła
 Długo za tobą oczami...
 Bo mi w oczy sypnął skrami,
 Smutkiem napełnił nieznany
 Ten koń z lirą grającą u siodła
 I z dumkarzem zapomnianym
 Ulatujący na wieczność.
 Czy tam jaka pół-słoneczność
 W tych mgłach? czy tam ciągle strachy?

WERNYHORA.

Każdy kwiat ma swe zapachy,
 Każdy Duch swój wid pół jasny,

Każde serce swój strach własny,
 Każdy orzeł lot przedlotny;
 A ja wiem, że ja samotny,
 Jak ty głóskiem to wywiodła,
 Przez piekielnego rumaka
 Porwan... wściekły... bez czapraka,
 Z lirą grającą u siodła,
 Umarłe trzaskając kości,
 Polecę w niespokojności,
 W strachu, w żalu, ale w mocy.
 Aż kiedyś, gdy na godzinie
 Stanie miesiąc o północy;
 To koń znowu z siodła skinie
 Mego ducha na kurhany.
 Taj znów zagra dziad z powagą;
 Taj znów jęknie... a kto zna go,
 A kto słyszał po za światem
 Pryde — w łańcuch żórawiany,
 Pryde — lirą tchnąć jak kwiatem,
 Pryde -- z serca pić jak z czary,
 Pryde — z piersi czerpnąć wiary,
 Pryde — iskry wziąć z ogniska.
 Ten dziad, co tu lirę ciska
 Jak fałszywą sorokówkę,
 Taj z trupami na wędrówkę
 Wietrznym koniem teraz pędzi,
 Naprowadzi wam łabędzi
 I rycerzy i hetmanów.
 Taj słuchajcie, gdy z was panów
 Budut' trupy, budut' hłazy,
 Taj gdy się wasz trup trzy razy,
 Pod mogiłą rwąc do sławy,
 Znow przewróci na bok krwawy;
 I pomyśli, nędzarz boży,
 Że i piorun nie otworzy
 I nie zdejmie wieka z truny,
 Taj świat przeklnie i pioruny;
 To jak stanę ja, dziad rzewny,
 Jak mu ręce łąz uroszę,
 Po żebracku jak poproszę;

Jak ja lirę upokorzę
 I na sercu mu położę,
 I do czoła mu przycisnę,
 I przeszłością w oczy błysnę,
 Starych dum nasypię w uszy;
 Klnę się na duch! że się ruszy,
 Taj swą twarzą księżycową
 Spojrzy na was jak upiory...
 Otóż macie moje słowo,
 Macie dumę Wernyhory.
 A stepowe gdzieś miesiące
 Wiedzą, o czém ja nie wiedział;
 Czemu ja przez usta klnące
 Wam przekleństwa nie powiedział.

KSIEŻNICZKA.

Stój... Więc Polska?

WERNYHORA.

Ja stepowy
 Dziad, panienko... ja nic nie wiem.

KSIEŻNICZKA.

Mówią, że kopiec grobowy,
 Gdzie ty zaśniesz pod modrzewiem
 Zniknie?

WERNYHORA.

Moja panno miła,
 Mówią, że zniknie mogiła,
 Ja nic nie wiem. Czas pokaże.

KSIEŻNICZKA.

Weźże ty odemnie w darze
 Tę zausznickę z turkusa;
 Jak twój srebrny koń da kłusa
 Tu z powrotem, na kurhany,
 Czy po wiekach, czy po latach,
 To mi, staruszkule kochany,
 Dasz ten turkus i przypomnisz pasiekę,
 Gdzie ja, bywało, na kwiatach

Pod piastunki się opiekę
 Uciekałam... gdyś ty gadał o marach.

WERNYHORA.

Ot, panienko... młodość w czarach!
 A co dziś? ja człek grobowy!
 Pany! wasz dom purpurowy
 Niech śpi... i ja spaty budu.

Odchodzi.

KSIĘŻNICZKA.

Pierwszy raz duch tego ludu
 Słyszałam, jak o łyzy żebrze.
 Dotąd na miesięcznym srebrze
 Malował nic kolorowe.
 Dajcie mi księżyc na głowę!
 Dajcie mi tęczę pod nogi!
 Za tym dumkarzem polecę!
 Ach, co widzę? Sawa! z drogi?
 W jakiej on czerwonej rzece
 Kąpał się?... figura krwawa!

Wchodzi SAWA w białym żupanie zbrzydzanym krwią, z pałaszem w ręku.

SAWA:

Nie udała się wyprawa.
 Przebiegłem stepy, kurhany,
 Całe mgieł posepnych morze;
 A nigdzie o Wernyhorze
 W Ukrainie ani słychu.
 Co gorsza, że się tu lichu
 Dyabelskiemu dałem skusić,
 I chcąc jeden ogień zdusić,
 Cały oblałem się krwią;
 Dla tego z posepną brwią
 Stoję tu, mości panowie.
 Jadąc przez wioski ulice,
 Spotkałem żywą gromnicę,
 Z płomieniskami na głowie,
 Ze smołą ogniem kapiącą
 Na mnie... w oczy wprost idącą.
 Tak, że pomimo harapa

Złękła, zdębiła się szkapa;
 A ja rozjuszony złością,
 A może też i litością
 Wpół pomieszana z przestraczem,
 (Bo nie myślę czynu krasić)
 Na koniu, szabli zamachem
 Chciałem to światło jarzące,
 Tę straszną marę zagasić
 I w zamachu uciąłem jej ręce.
 A to wszystko w smolnym dymie
 Stało się, niby w ukryciu,
 Przy żałosnych dzwonów biciu.
 Tak, że gdym wyleciał z chmury,
 To za mną... widmo olbrzymie,
 Ręce podniosłszy do góry,
 Biegło, zda się, karku blisko
 Lecące pogorzeliisko;
 Mszczące się samym hororem
 Goniło za mną widziadło.
 I aż tutaj, pode dworem,
 Na piasek złoty upadło,
 Wylawszy dwa koralowe
 Strumienie... co zda się piszą
 Przeświète Y Jezusowe.

REGIMENTARZ.

Dość... bo uszy moje słyszą
 Krzyczącą krew. Niech kto bieży,
 Do łba mu łufę przymierzy
 I skończy ciała męczarnie.

Wchodzi PAFNUCY przewiązany pasem krwawym mnicha Franciszka.

Cóż to? czy krwawą latarnię
 Duchy postawiły w sieni?
 I wpuszczają mi tłum cieni
 Skrwawionych do mego domu?

PAFNUCY.

W chwilę chłopskiego rozgromu,
 Szablą Gruszczyńskiego zbrojny,

Szukałem zemsty... jak mściciel;
 Aż mi szabli téj właściciel,
 Po śmierci, widzę, spokojny,
 Zemsty nad ludem zabronił.
 Jakoż, zaraz mię nieznany
 Strach ujął, siłem uronił,
 Miecz się gwał jak ołowiany;
 Chłoptwo mię porwało srogie;
 I poznawszy po tonsurze
 Za księdza, ciało ubogie
 Ustroiło w krwawe róże,
 W świętego Franciszka pasy.
 Bo dziś wiek, że polskie lasy
 Dotąd kwiatkami panieńskie,
 Od pszczołek by lutnie brzmiące,
 Widzą nagoście męczeńskie,
 W czaszkach siekier półmiesiące,
 Ręce w płomiennych okowach,
 Wszystkie męczeństwa oznaki,
 Oprócz złotych słońce na głowach;
 Bo te płomieniste ptaki
 Później na czołach usiedą,
 Gdy się nam duchy podniosą.
 Takem się ja przed komendą
 Sawy, krwi okryty rosą,
 Meldował, cierpiąc katownie.
 I miałem to już zasługą,
 Że z ran uleczon cudownie
 A pomny, że bożym jest sługa,
 Widząc tu dwie wielkie głownie
 Zgaszoną Sawy szablicą,
 Nad tą konającą świecą,
 Którój duch w płomienie śpieszył,
 Tyle dokazałem słowy,
 Że się ten duch purpurowy
 Ugiął a jam go rozgrzeszył.
 Tak mi dopomogły duchy,
 Że wydobyłem akt skruchy,
 Jęk z pod smolnego płomienia
 I rozkaz, dany oczyma,

Które, szukając pierścienia,
Na rękę, co jeszcze się zżyma,
Krwia leje i w prochu się rusza,
Zwróciły moją uwagę.

REGIMENTARZ, biorąc pierścień krwawnikowy z rąk Pafnucego,
obraca się do księżniczki.

Pierścień... to wielką ma wagę!
Bo to mię, panno, przymusza
Ponowić ci prośby moje.

KSIEŻNICZKA.

A ja zaś przy dumkach stoję.
Sawa z ust ognistych węża
Jak błędny rycerz szalony
Wyrwał ten pierścień dla żony;
A ja z ręki mego męża
Biorąc, będę go nosiła.

REGIMENTARZ.

Sawa? Czyś głowę straciła?
Sawa słuszny kawaler, lecz nowy;
Nie wiem nawet, czy szlacheć herbowy?

KSIEŻNICZKA.

Dla mnie: rycerz ukraiński,
A dla was już: pan Caliński.
Na co dokumenta składam
I te kościelne dowody.
A sama do nóg ci padam,
Prosząc przyzwolenia i zgody
Na ślub, który ci oszczędza,
Panie, kościelnych wydatków,
Bo dawno już był dany przez księdza.

REGIMENTARZ.

Ty ślubna?

KSIEŻNICZKA.

Lecz nakształt kwiatków
Jeszcze, panie, nie dotknęta...

SAWA.

Na co złoży dokumenta.

REGIMENTARZ, do Sawy.

Pamiętaj, że z twoją szkodą
 Bierzesz gadzinę nadobną.
 Caliński był tu podobno
 Kiedyś naszym wojewodą?

SAWA.

Tak, panie, dla tych szpargałów
 Ojca mojego zabito
 I te dokumenta skryto.

REGIMENTARZ.

Życzę wam długich zapałów!
 Życzę szczęścia!... pij nektary
 Z téj złoconój filiżanki,
 A z trwogą... Cóż to za mary?

Wchodzą dwie popadjanki, niosąc za końce prześcieradło białe.

POPADJANKA.

My ze stepu popadjanki
 Przyszły z srebrnym darem w ręku,
 Szczob tebe o brata Semenku
 Prosiły...

REGIMENTARZ.

Na tom ja skała.
 Semenka, wasz brat, nie żyje.

POPADJANKI, odkrywając z prześcieradła śpiącą Salomeę.

Witże, daj ciało za ciało.

REGIMENTARZ.

Co widzę?... białe lilije!
 Moja szlachcianeczka trusia?
 W srebrném prześcieradle Salusia!
 Patrzaj, Lwie... dzieciątko miłe!
 Ach! mogiła za mogiłę!
 Oddać im zwłoki kozacze.

LEON.

Ojcie! puść... niech ją zobacze.

REGIMENTARZ.

Trzymajcie go! Panie Boże!
On na to patrzeć nie może.

POPADJANKI.

Bud' szczęśliw... że ty nam ciała
Nie odmówił... my szczęśliwe...
No, choć twa ręka wspaniała,
To my wspaniałej wyrosły,
Bo wam dały ciało żywe
A od was trupa wyniosły.

Wychodzą.

REGIMENTARZ.

Co mówicie? Synu! synu!
Patrzaj, kolorek rubinu
Wystąpił z ust błdziuteńki..
Jeden paluszek u ręki
Ruszył się... słońce w nią wpływa...
Patrzajcie! ach! żywa, żywa!
Żywa w moich rękach... o! widzicie!

Podnosi ją w rękach.

Moje ukochane dziecię!
W rękach moich żyć zaczyna
Bijąca sercem ptaszyna.

SALOMEA.

Co się ze mną biędną stało?
Czy ja w gorączce, czy chora?
Wczora usnęłam z wieczora
I śniłam coś biało... biało...
Przez te dziewczyny spojona,
W krainie jakiegś bez brzegu,
Gdzie jedna tylko na śniegu
Plama... okropna... czerwona...
Ach! strach mówić, com ja śniła!

REGIMENTARZ.

W naszym ty rękach była,
Ciagleśmy widzieli śpiącą,
Duszkę twoją latającą

Ciągleśmy, panno, widzieli;
 Teraz jaśniej nam, weselój,
 Że jesteś z nami, dziewczyno!
 A nim dwie pory przeminą,
 Na świętego klnę Franciszka,
 Z weselnego pociągniem kieliszka.

LEON, kłękając przed Salomeą.

Narcysie mój...

REGIMENTARZ.

Już różowy!

Już nie narcyz, ale róża.

SALOMEA.

Dla mego Anioła stróża
 Ten wianuszek zdejmę z głowy,
 Bo mię skrzydłami osłonił,
 Stał ciągle nad mojem łóżem
 I narcysem łoża bronił,
 Kiedym ja tam spała — z nożem
 Skrytym pod moją poduszką.

REGIMENTARZ.

Nie myśl o tém, moja duszko...
 Wszystko dobrze się skończyło.
 A kto tam już pod mogiłą,
 Dowiesz się... Jesteś sierotą...
 Aleś moją gwiazdą złotą,
 Jesteś moją córką drugą,
 A syn mój będzie twym sługą,
 Choćby na lat sto tysięcy;
 Lecz jeśli zechcesz, czém więcej
 Tobie mój chłopczyną będzie.
 Ot, daj mu rękę, bo prosi,

Salomea rzuca się kłęczącemu Leonowi na ramiona.

O, tak! jako dwa łabędzie,
 Jeden na swym grzbiecie nosi
 Drugiego głowę w upały;
 Tak mi dziątek tych dwie pary

Szczesne za ręce pobrały,
A ja w środku jak dziad stary.

LEON, kłękając z Salomeą.

Błogosław mi, ojcze, z żoną.

REGIMENTARZ.

Chodźcie tu na moje łono.
A za te przestrchy senne,
Dziatki, odprawcie nowennę
Za dusze w czyściu będące;
A potem niechaj wam płyną
Słodko miodowe miesiące
I raj utracony winą
Odkwitnie; a ja odnowię
Przez obchody bardzo świetne
Te dwa małżeństwa sekretne,
Które wczoraj bym surowie
Karcił, a dzisiaj pochwalam.

SAWA, do Księżniczki.

Więc nie jeszcze?

KSIĘŻNICZKA.

Nie pozwalam,
Aż tę nowennę odprawię.

SAWA.

Gołabku z tęczowym pasem!
To ja pójdę ku Warszawie
I porwę króla tymczasem?

REGIMENTARZ.

A wy się już tam kłóćcie?
Sawa czegoś jak dziad żebrze!

KSIĘŻNICZKA.¹

Chce mu się miesiąca w cebrze,
Chce się gwiazdy na błękiecie.

REGIMENTARZ, do Sawy.

Nie znasz jój — a nie proś ładnie,
To sama ci na nos spadnie.
Sawo, chodźmy do kielicha,
Spłukać z ust proch i krwawiznę.
A weźmy i tego mnicha,
Który się bił za ojczyznę;
Obaczym, czy dobrze pije...
Pierwsze zdrowie: Salomea niech żyje!
A polećmy kraj i siebie
Tój Salomei na niebie,
Którój święto nam przypada
W przedostatnim listopada.

1843.

PISMA RÓŻNE

PROZA.

PRELIMINARYA
PEREGRYNACYI DO ZIEMI ŚWIĘTÉJ

J. O. KSIĘCIA RADZIWIŁŁA SIEROTKI.

(FRAGMENT.)

..... a nikt nie wyszedł na spotkanie moje, gdy wjechał kałamaszką na dziedziniec, oprócz ślepego żórawia, który się przechodził jako szyldwach przed gankiem — także trafna suka gończa księciu ulubiona zaskowytała i rozciągnęła się przedemną. Po takiéj akcepcyi w zamku zrozumiałem, że sam książe musi znajdować się, jak zwykle, u księży Bernardynów w klasztorze na rekolekcyach; — udałem się więc prosto do oficyny, gdzie mieszkał marszałek domu J. O. księcia, i byłem od niego przyjęty jak najlepiéj. Wysłał zaraz do J. O. księcia pana, który był, jak się już domyśliłem, w klasztorze, z oznajmieniem, że przybył — a potém zaprowadził mię do komnat niewieścich, gdzie zastałem żonę i córki w. marszałka i stół nakryty do wieczery. Dowiedziawszy się, że przyjechał, zaczęli się schodzić na powitanie z całego zamku dworscy panowie, i ścisnąć mnie i całować. Byli pomiędzy nimi pan Haraburda, pisarz ziemski nowogrodzki, wielki przyjaciel księcia i klient Radziwiłłowskiego domu, — pan Kos, mierniczy dóbr J. O. księcia, — pan Harmider, przełożony nad puszkarnią księcia i artyleryą prywatną domową, którój było puszek dwanaście, człowiek wysokiego wzrostu i mówiący głośno, co było jakby w zgodzie z jego

nazwiskiem; małej nauki, ale poczciwego serca, i mocno przywiązany do domu karmazynowego księcia, który mienił być dla swoich puszek niedobyłą fortecą. Przybył także pan Drzymała, szlachcic rodem, który na dworze księcia bawił bez urzędu, ale był lubiony, albowiem dostarczał zabawy z siebie, mimo wielką obraźliwość charakteru, i dosyć poważną dla wielkiej otyłości postawę, mający więcej nauki, niż pan Harmider, ale (nie wiem, jak się to dzieje) daleko mniej zdrowego rozsądku, a jak powszechnie mówią, pozbawiony *quintum sensum*; a może też dla wielkiej zarozumiałości, jaką miał o sobie, ludzkim żartom będący na celu. Przez dziwne albowiem zaślepienie nie tylko swój rozum miał za bardzo ornatum wiadomościami, ale i figurę swoją, gdyby powiedział, co myśli, przyrównałby Apollinowej — a to z każdego ruchu tak było znać po nim, że się za pięknego ma człowieka, iż wiadomo to było ledwie nie kucheikom dworskim i cyganom, którzy uczyli tańczyć niedźwiedzie, a mówili często, że go do akademii swojej mieć chcą i uczyć darmo, dla krotochwili i sławy własnej. Już więc zaraz przy wieczery zaczął się wdzięczyć, jak miesiąc czerwony — do panny Anny, córki w. marszałka, nie tak niby zakochany, jak ją w sobie zakochaną być sądząc, co nie było do podobieństwa — albowiem panna ta, z bogatym posagiem, i z mlecznym obliczem mogła wybierać między młodzieżą sutą i nawet karmazynową, a nie miałyby oczu, gdyby na takiego kupidyna postrzały była przystępną. Był pan rachmistrz J. O. księcia Skorubski, niegdyś profesor u księży Jezuitów, gdzie uczył arytmetyki — człowiek suchy i śledziennik, jakich mało — dobry jednak w gruncie i przyjaciel wytrzymały, a w uczciwości niezachwiany, jak sam tego doświadczyłem po sobie. Melancholią jego przypisywałem chorobie i temu, że był nieżonaty — a że mu ciężkie było samotne życie, widać to było i z jednego przysłowia, jakiego używał przy piciu (wodę tylko pijał). Zawsze albowiem zwyczaj miał przeżegnać ręką szklankę — a przeżegnawszy ją, mówił ponuro i z westchnieniem: „Bóg mój! wszystko moje! oprócz —“. Był to człowiek wysokiego wzrostu, głos miał jakby jęczący i grobowy, a zwyczaj przechadzać się po komnatach, jak

cień, wielkim i głucho tętniącym krokiem. Opisuję tu osoby wspomniane, albowiem towarzyszyli wszyscy, składając świątę i dwór J. O. księcia w podróży do Ziemi świętej, i miałem z nimi nieraz do czynienia. Pan marszałek sam był jakby konterfekt księcia pana, albo naśladował go w ubiorze i w piecu, z tyłą tylko różnicą, ile między panem a podwładnym przyjacielem być powinno.

Już więc zaraz przy wieczerzy dowiedziałem się, że podróż odbyta ma być z wszelką wspaniałością i powagą, jaka przystoi domowi J. O. księcia; że w przejeździe odebrać mamy błogosławieństwo Ojca świętego w Rzymie, a potem ambarkować się w którym z portów włoskich, na weneckiej lub neapolitańskiej nawie; dalszy kierunek podróży zależeć miał od wiatrów i woli samego księcia pana, a ja także myślałem, że i od mojej porady nieco zależeć będzie.

Po wieczerzy przybył zaraz posłaniec od J. O. księcia, który dowiedziawszy się, że przyjechałem, kazał mi tegoż wieczora stawić się w klasztorze księży Bernardynów. Zastałem J. O. księcia w wielkiej tureckiej oponie, w celi księdza gwardyana, przy kominie; albowiem chłód aprylowy i grube mury klasztorne, aurą zimową przesiękłe, czyniły ogień potrzebą. Ujrzawszy mnie, zawołał: „Witaj panie Michale!”

Uniżyłem się do kolan J. O. księcia, a on, podniósłszy mnie z ziemi, ucałował w oba policzki i pytał o żonę i dzieci moje uprzejmie, a rozpytawszy się o wszystko rzekł: „Panie kochanku“ (było to przysłowie, które po ojcu swoim J. O. książę odziedziczył i zapewne je w domu swoim zostawi do późnych wieków w puściźnie z mnogimi dobrami, jakie posiadał) „panie kochanku, cóż myślisz o mojej peregrynacji?“ — „Jeszcze nie zaczęta, J. O. książę,“ odpowiedziałem, „a ja się lękam, aby to wszystko nie było snem i wizją, albowiem Jazon, kiedy się po złote runo wybierał, to nie miał tyle baranów, co J. O. książę, więc miał po co jeździć, a świętej pamięci Godfryd z Bullionu . . .“ — „W moim domu robią bulion z niedźwiedzi,“ przerwał książę, „a kto się go napije, to jak lew. Patrz, pan Armider, co tuczony bulionem z niedźwiedzi, czy nie straszny? Ja myślę, panie kochanku,

pobić Turków i wziąć Jerozolimę, abym tam wypędził Żydów z Polski, — mój Josiel arendarz jedzie ze mną i weźmie dolinę Józefata w arendę, i będzie płacił koszerne. — Że mój pradziad z królem Stefanem węgierskim nie poszedł na krucyatę, to też masz — wnuk jego biedny sierotka musi iść na goły łeb z Turkami — inaczej dyabli wezmą ród jego, a Moskał jego majątek. — To nie są sny. Najświętsza Panna mi się pokazała trzy razy — a zawsze mi powtarza to samo, aż mnie uszy bolały, panie kochanku — jak nie posłucham, to będzie źle — a jednak jeszcze poradzę się Najświętszej Panny Poczajowskiej, bo mówią, że w koroniaszach serce na języku, to mnie ich Najświętsza Panna nie oszuka.“ — „Ale J. O. książe,“ rzekłem, „musisz mieć inne jakie ważniejsze powody, które go skłaniają ku tej peregrynacji.“ — „Ja? panie kochanku żadnych nie mam powodów . . . tylko, że mię świerzbi gdzieś, to chcę użyć przejażdżki — chcę zobaczyć, czy wiele durniów na świecie. Bo że Jerozolima w ręku Turków, to, jak mówi ksiądz Ryłło Jezuita, nawet dobrze, a wiesz dla czego?“ — „A dla czego, J. O. książe?“ — „Bo, panie kochanku, gdyby chrześcijanie katolicy grzeszyli w ziemi, gdzie Chrystus Pan poniósł mękę na krzyżu, toby się Bóg gniewał — a że Turcy grzeszą, to się nie gniewa . . . exemplum, panie kochanku . . . jak pies podejmie nogę czwartą w pańskim pokoju, to się pan wojewoda nie obrazi — lecz gdyby człowiek jaki, choćby kolligat, popełnił taką niegrzeczność, tobym ja mu sam kazał wylizać podłogę. Czy rozumiesz parabolę, panie kochanku? Turcy to psy!“ — „Ksiądz Ryłło ma rację, J. O. książe, ma słuszną rację.“ — „Ksiądz Ryłło nie wie, co gada, a ja wolę księdza gwardyana, co tu ze mną pił przez godzinę, choć ma reumatyzm. Ksiądz Ryłło, kiedyś mu pokazywał Najświętszą Pannę na księżycu, to jój nie spostrzegł! ślepy mój żóraw widział Najświętszą Pannę na księżycu i nie zadał mi kłamstwa przed ludźmi. Ksiądz Ryłło ma przysłowie: wolno wierzyć, wolno nie, a to gorsze dla moich uszu, niż kiedy Skorubski mówi: Bóg mój, wszystko moje, oprócz — , a i to także kłamstwo, bo Nieśwież nie jego, ale Radziwiłłów.“ — „To też właśnie książe panie — Skorubski mówi: oprócz Nie-

świeża.“ — Może to być, panie kochanku, — więc pan Skorubski ma rację, a nie ksiądz Ryłło. A tymczasem gotuj się w drogę i zrób testament — a furmanów moich ucz geografii, aby mię nie zawieźli do Moskwy, zamiast do Rzymu, bo ja zwykle, jak w powozie, to śpię i nie nie widzę. — Gadałbym z tobą dłużej, ale mi ksiądz Ryłło zadał pokutę — a już późno. Jeżeli chcesz odprawić rekolekcyą w klasztorze, to powiedz księżom, niech ci dadzą celę i dyscyplinę — a jeżeli nie chcesz, to ruszaj stąd prędko, bo cię dyabli porwą, jak się przestaniez trzymać mego pasa.“

Na te słowa, uściskawszy nogi J. O. księcia, wyniosłem się z klasztoru i wróciłem do zamku, gdzie mi pan marszałek wyznaczył pokój i dał klucze od biblioteki; tak więc zamiast rekolekcyi sposobiłem się do podróży, wszelako nie pewny jeszcze, czyli chęć peregrynacyi w J. O. księciu potrwa, i przywiedzioną będzie do skutku.

..... przez cały wielki tydzień, poszcząc i susząc, pokrzepiałem się jedynie, łykając pył książek, które w księgarni J. O. księcia, że były długo nieczytane, prochem i kurzawą leżały okryte. W Sobotę wielką, gdy pan Harmider z działami i puszkarzami wyruszył na rezurekcyą, udałem się także do Nieświeża, abym przytomny był letycyi i allelujom. Rezurekcyą odbyła się, jak należy, — książę pan z przyjacielem swoim, J. P. Abrahamem Duñinem, podczaszym litewskim, klęczeli w pierwszej ławce karmazynami wybitój i w procesyi nieśli baldakin nad celebrantem, a dziedziniec obszerny przed kościołem wysłany makatami i liściem ajeru, wydawał się, jak łąka kwiecista. Skoro więc we drzwiach kościoła ukazał się celebrant ze złotą monstrancyą i mający nad głową karmazynowy baldakin, którego kije złociste niesione były przez J. O. księcia samego, a drugi przez wojewodę Ilinicza, pana na Mirze (który z księciem panem zrobił był układ na przeżycie, jako bezdzietny), dano ognia z dwunastu dział, a dzwonnicy na wieżach wystrzelili z moździerzy, a całe pospólstwo strzelało z kluczków, z dubeltówek, z krucic, i był huk taki, że zwałił się pułap w domie pewne-

go mieszczanina, który potem rozpoczął o to proces z klasztorem, a te pretensye J. O. ksiązę aż po powrocie z Ziemi świętej zaspokoił. Było mu bowiem na sumieniu, iż armatami swoimi mieszczkański dom zburzył tempore pacis, — a z drugiej strony upodobanie mając w harmatach, cieszył się z wielkiego, jaki zrobili, efektu; tak zaś był dumny z posiadania największych dział w prywatnej majątności, iż obraził wiecznie J. W. wojewodę trockiego Żabę, a to w taki sposób: będąc raz w Trokach w zamku J. W. wojewody na obiedzie, tenże wojewoda, chcąc od księcia komplement odebrać, że miał sześć armat u swego dworu, kazał puszkarzom zatoczyć je pod same okna sali, gdzie ksiązę Sierotka jadł obiad, i dać razem ognia ze wszystkich, gdy J. O. gość kielich będzie niósł do gęby, co też się i stało; lecz ksiązę pan, pomiarkowawszy, o co rzecz idzie, nie pokazał żadnego po sobie zadziwienia, ani respektu. Zniecierpliwiony tém pan Żaba, nie mogąc już dłużej wytrzymać, zawołał: „A to z dział strzelają, Mości ksiązę!“ — „Z dział?“ odezwał się niedbale ksiązę pan, „myślałem, że z kruciczek.“

Po skończonej rezurekcyi, gdy już było około północy, a my wszyscy zebraliśmy się około księcia pana, skończywszy pacierze, obrócił się do nas i mówiąc: *Christos woskres*, całował się ze wszystkimi, po czém zawołał: „Mości panowie, Bernardyni tańcowali na chórze z radości i pogubili trepki, — pokażmy im, że i w radości trzeba zachować pewną prezencyą i powagę — proszę za mną do bramy, na litanie.“

Mówiąc to, piechotą udał się przez całe miasto do jednéj z bram, gdzie był obraz Matki Boskiej. Brama była wąska i ciemna jak spelunka, a jedna tylko lampa wisiała przed obrazem; tam na gołych kamieniach klęknął J. O. ksiązę z aksamitną czapką pod pachą, a my wszyscy klęknęliśmy rzędem; wtenczas małe pacholę sierota, którego ksiązę chował przy sobie i bardzo lubił dla tego, że mu on młodzieniec grał na lutni i pięknie śpiewał, wystąpiło w białém ubraniu i klęknawszy przed J. O. księciem, twarzą do Matki Boskiej, zaintonowało głosem prawie słowiczym, w którym coś niby płakania było i radości:

*Regina caeli letare alleluja,
Quia quem meruisti portare alleluja,
Resurrexit sicut dixit alleluja.*

Książę pan porwał dziecko i ucałował, a zarzuciwszy wylotów i pogłaskawszy wąsa, zaintonował bernardyńskim głosem litanią. Lecząc w połowie śpiewu, kiedyśmy w najlepsze beczeli turris eburnea, zrobił się od wejścia bramy łoskot wielki, i pomimo że była pełna nas klęczących, wjechał wóz, ciągnięty przez dwa niedźwiedzie, które szły na łapach a kijami się podpierały jak ludzie, na wozie zaś była wielka kufa srebrnymi obręczami obita, i na niej woźnica z czerwonymi rogami i z ogonem. Zrozumiałem to zaraz, że to być musi z księcia wiedzą i wolą uczyniona krotochwila. Już więc wszyscy powstaliśmy, aby nas wóz nie utracił, a książę pan sam jeden klęczał, mając prawie niedźwiedzie na karku, co widząc jeden z dworzau przyskoczył do księcia i wziął go pod ramiona, ciągnąc na stronę, a książę go w pysk: „Czemu mi Acan przerywasz?“ — Potém przetarłszy oczy, jak ze snu: „A to co?“ zawołał, pokazawszy na wóz i niedźwiedzie. — Na to dyabeł siedzący na beczce odpowiedział: „Puszczaj, Mości książę, to Najświętsza Panna przysłała beczkę wody ze stopki poczajowskiej Ojcom Bernardynom za to, że pięknie śpiewali na rezurekcyi — bo jeżeli nie popłuczają gardła wodą, to pomrą i nie skosztują jutro kiełbasy.“ — „Łżesz!“ krzyknął pan Sierotka, „to dyabli przysyłają księżom beczkę dyweldreku — chcą klasztor struć! ale ja nie pozwolę na to, jakem Sierotka; — gdyby to był prezent od Najświętszej Panny, toby tu w dyszlu były konie Chrystusowe, a nie moje niedźwiedzie.“ — „A kiedy tu w Litwie nie ma Chrystusowych koni!“ — „Sa!“ krzyknął książę, „jeśli Najświętsza Panna poszuka osłów, to znajdzie, bo są w Litwie! — nieprawdaż panie kochanku?“ dodał, obracając się do Dunina, „wszak każdy biskup nowo sakrowany winien pierwszej niedzieli wjechać do kościoła na osła; — a ksiądz biskup wileński, że nie znalazł takiego zwierza, to się markocił, a ja mu poradziłem, aby wsiadł na swego synowca; i tak zrobił. Jakem biedny sierotka, Najświętsza Panna nigdy nie jeździła na niedźwiedziu.“ — „Mości książę,“ odezwał się Dunin, „mu-

siała kiedyś jeździć na niedźwiedziu — a skądżeby się wziął herb z Szantyrów.“ — „Milcz Waćpan — a to widzisz, że to beczka moja z herbami — więc to kradziona rzecz — et confiscatur.“ — Tu wmięszał się ksiądz gwardyan, który po odbytej procesyi, rozebrawszy się z ornatów, w trop przybył za księciem panem, a zadyszany jeszcze, trafiwszy na dysputę względem beczki, odezwał się: „Mości książę! już ta beczka nam destynowana, więc czy dyabła, czy nie dyabła — niechaj rusza do klasztoru, a my ją wyexorcyzmujemy.“ — „I wypijemy...“ dodał książę! — Gwardyan kiwnął głową na znak, że potwierdza, a książę: „To niech dyabeł tu rzuci beczkę, — a sam jedzie po klasztor, bo jakem sierotka, że łatwiej przejść wielbłądowi przez uszko igielne, niż téj beczce przez bramę Najświętszej Panny Niepokalanego Poczęcia.“

Jeszcze nieco trwała dysputa między ojcem gwardyanem, który adwokatował niby za prawami klasztoru, a księciem, który beczkę zatrzymać chciał; nareszcie skończyło się na tém, że ją odszpuntowano, a dyabli nowi nadeszli z tacą pełną kielichów, które między nas rozdane były — a po napełnieniu onych ukłękliśmy wszyscy i kończyliśmy litanią, z kielichami w rękę — i twarze mając obrócone do nieba, jakby w extazie świętej.

Skończyła się litania i zaczęła się pijatyka, a książę pan porozsyłał ludzi na wszystkie trakty i gościńce, aby przejeżdżających łowili i gwałtem do bramy przyprowadzali. Zbierało się coraz więcej takowych więźni, a już ich brama objąć nie mogła, aż wreszcie różowa Aurora wejrzała w bramę, gdzie wszyscy byliśmy jak ona rumiani i weseli, — a z wronami, które się już budziły, ruszyliśmy do zamku, mając już na wozie nie beczkę, ale księcia pana tryumfatora.

W zamku dopiero czekał nas aspekt niespodziany. Skoro bowiem otworzono drzwi od pierwszej sali, zaleciało nas powietrze i aura przesiekła zapachem Święconego, które urządził kucharz pierwszy J. O. księcia, Włoch Loga ku krotochwili i zabawie; w pierwszej bowiem sali stały trzy pasztety olbrzymiego kształtu, które ujrzawszy książę zawołał: „Mości panowie, do ataku!“ — co wymówiwszy zdjął z pierwszego pasztetu czapkę — i wyleciało z niego

wielkie mnóstwo żywych kuropatw, jemiełuch, gołębi, jarząbków, ortolanów, które potłukłszy okna, powylały na dziedziniec — gdzie jeszcze był długi ogon szlachty, cisnącej się za księciem panem, a ci, że wielu było uzbrojonych w fuzye, zaczęli owo ptactwo strzelać w lot, tak, że czasami wlatywał szrot do sali i spadał gradem od pułapu odbity na nasze łysiny, — lecz że okna były wysokie, żadnemu to z nas nie szkodziło. — Tu książę przyzwał kucharza do sali i zaczął go mocno strofować za to, że nie dopiekl zwierzyny; — kucharz się tłómaczył po włosku, a że mi ten język nie był obcym, zrozumiałem, co mówił, i byłem wielce ciekawy, co się w drugich pasztetach okaże. Albowiem pytany kucharz, co się znajdowało w wielkiej piramidzie stojącej na prawo, odrzekł księciu panu, iż upiekl w niej całego Laokonta z węzami, — a gdy to wytłómaczyłem szlachcie, a znajdowało się wielu, którzy znali historią Eneasza przez Wirgiliusza rymem uwiecznioną, wszyscy wyglądali owego Laokonta w zadziwieniu. Wtém J. O. książę, wziąwszy ze ściany buławę żelazną nabitą gwoździami, dał tak po piramidzie, że aż się rozleciała — i ujrzelśmy siedzącego na ruinach pasztetu karła, w cielistym ubiorze, który był cały skrupowany kiełbasami, jakby ów Laokont właśnie pasujący się z gady Minerwy. — „A i ten żyje!“ krzyknął z gniewem książę. — Na to kucharz Loga niby zawstydzony, odezwał się: „Decoctus erat, sed resurrexit.“ — „Może to być,“ rzekł pan Sierotka, a w trzecim pasztecie co? — Na to kucharz odpowiedział po włosku, iż była tam Andromeda przykuta do skały łańcuchami, a smokowi oddana na pożarcie — jakoż i po rozbiciu trzeciego pasztetu znaleźliśmy karlicę księcia, tak nazwaną Dyancę, która święconymi salcesony przywiązana była za ręce do pasztetu, a przed nią leżał ogromny szczupak, mający zamiast własnej głowę dzika, z paszczką otworzoną, która bez wątpienia karlicy owój mogła być grobem. J. O. książę udawał gniew — a my wszyscy dziwiliśmy się tym pięknym inwencyom Włocha, które, niby oszukując nas, w zawieszeniu trzymały ranny apetyt. Tu wystąpił ks. Ryłło, Jezuita, już nie udając gniewu, ale prawdziwie rozsierdzony, i rzekł: „Niegodzi się, książę panie, z tworów

boskich czynić takie igraszki! — oto ja, nie wiedząc, co było w tych pasztetach, poświęciłem je, więc i te stworzenia poświęcone zostały, jako rzeczy na jadło przeznaczone, a teraz mam skrupuły i grzech na sumieniu.“ — „Ja to sam wymyślił,“ rzekł książę, „więc będę pokatował w Jeruzalem, a te karylki wczoraj spowiadały się i jadły komunikanta, więc woda święta nie spadła na dyabła; a żałuję teraz, że zamiast tych trzech pasztetów nie kazałem zrobić jednego i nie wsadzić weń Drzymałę — bo nie bywa na nabożeństwie, toby choć raz napił się święconej wody — możeby schudł; — ale to rzecz nie stracona — bo go znajdziemy siedzącego w holenderskim sérze w drugim pokoju. Wlazł sam na prośbę panny Anny marszałkówny, w której się kocha.“ — Pan Drzymała, który stał przy mnie, zczerwieniał od gniewu, ale nie powiedział nie śmiał, aby ucztę nie stracił, więc tylko mruzczał pod nosem.

Nie mając co robić w pierwszej owyjsali, gdzie już tylko smok i owe salcesony, którymi były skrępowane karylki, mogły być ku pożywieniu, weszliśmy za księciem panem do sali drugiejszy, gdzie już czekały na nas niewiasty i małżonki owych panów, którzy byli do księcia na święcone sproszeni. — Książę oddał głęboki pokłon i zaczął wszystkie w ręce całować, co trwało długo, ile że połączone było z komplementami; po czém, kazawszy sobie podać jaje, obchodził wszystkich książę pan i każdemu podając jaje, składał życzenia pełne affektu — a nareszcie i piastunce swojej, która w kącie stojąc, płakała z rozczulenia, podał talerz i pocałował w chude ręce starszkę, która go wzięła za głowę i uściśnęła jak dziecko swoje.

„Babko,“ rzekł J. O. książę, „na przyszłe święcone twój piastun będzie gdzieś na morzach, jak na huśtawce, a ty mi tu rób co roku święcone i czekaj — i z kucią mnie czekaj co rok, aż zjedną gwiazdy — bo mogę ja powrócić głodny, zjadłszy w tłusty czwartek Drzymałę — a odbywszy cały post Skorubskim, co ma skórę jak sztokfisz. Lecz powrócę, jeżeli mnie samego nie zje pan Harmider z wielkim Turkiem, albo jeżeli mnie pan Dunin na śmierć nie zagryzie złą konduita, albo jeżeli mi pan Je-

zus nie każe zostać królem w Jerozolimie na złość księdzu Ryłło, co mnie ma za dyabła gorszego od Zygwulskiego starosty.“ — Staruszka zajęczała i wyszła z pokoju — a książe pan, sam nieco rozczulony, rzekł do nas: „M. panowie, może to ostatnie święcone, które będę pożywał z wami — a że iuni moi krewni bambizami, a mój brat Grzegorz ad cardinalatum strychuje, to może już nigdy więcej Radziwiłłowskiego święconego nie zobaczycie; ale niech to was, miłościwi panowie, nie pozbawia apetytu... proszę się rozgościć.“

Obróciliśmy wtenczas oczy na święcone, a było na co patrzeć, albowiem i tu pod prezydencyą księcia kucharz wszystko tak urządził, że nie tylko apetytowi, ale i myśli było przyjemnem. W sali téj albowiem śród mnóstwa drzew, z miodu lipcowego była sadzawka, z wyspą zielonym owsem pokrytą, na której się pasł święty baranek z chorągwią, mający oczy z dwóch karbunkułów ze skarbcu J. O. księcia wyjętych, które błyszczały niezmiernie. Na tego baranka godziło czterech dzików okropnej wielkości, upieczonych całkowicie, a dwanaście jeleni ze złoconymi rogami w różnych pozyturach wyskakiwało z lasu, który był z drzew pomarańczowych, różnymi konfektami obrodzony. Gdy tu same mięsiwa, to w przyległej komnacie były ciasta i napoje niemniej misternie ułożone. Nie lasy tam, ale baby podobne skałom, nosiły na głowach z migdałowych murów grody i fortece; coś nawet podobnego Jerozolimie było, albowiem śród cukrowych domów ukryte ananasy koronami szaremi naśladowały palmowe drzewa, a w bramach zaś figurki cukrowe w szmelcowanych pancerzach i z krzyżami czerwonymi na piersiach, jako Jerozolimscy rycerze za czasów Godfreda, stali na straży. — A jam pożałował, że nie miałem przy sobie małego Michasia, abym mu te wszystkie jasełka pokazał i wytłómaczył, boby w pamięci dziecka przynajmniej zostały, nim ruinie ulegną.

Nie będę tu opisywał mnogości różnej konwi, rostruchanów, czar złotych i srebrnych i krzyształowych, i win różnych i miodów, i małmazyów, które się tam obficie znajdowały — a żem się i tak nadto długo nad opisaniem rzeczy tych zastanowił, to może dlatego, iż nieraz później

w pustyniach głód cierpiąc, wspomniało się na owo święcone z niejakim żalem i z chciwością nieprzystojną filozofowi.

Książę pan, który konceptom swoim nigdy nie ucinął ogona, przystąpiwszy z nożem do ogromnego séra holenderskiego, rozciął go na poły i zapytał: „A gdzie pan Drzymała?... Panno Anno,“ dodał, obracając się do panny marszałkówniej, „myślałem, że twój więzień tu — chciałem uwolnić.“ — „Pan Drzymała jest w sэрze,“ zawołał pan Dunin, „ale ja mu włożyłem kamień do kieszeni, co sprawia, że jest niewidzialny — więc teraz może już z otworzonego séra wyszedł i stoi między nami, a my go nie widzimy.“ — Książę pan mrugnął na nas, a myśmy zrozumieli, o co rzecz idzie, ile że pan Dunin pierwój już szepnął niektórym na ucho, co mają czynić. Więc ci nawet, co najbliżej stali pana Drzymały, udawali, że go nie widzą, pytając jedni drugich: „Gdzie jest wielmożny Drzymała? gdzie pan regent Drzymała? gdzie poważny pan szlachcic Drzymała, nasz wielki przyjaciel?“ — „Ja tu jestem!“ odezwał się jak z beczki sam Drzymała — „a panom wolne żarty.“ — „Panie!“ odezwał się pan Sierotka — „słyszemy twój głos — ale waćpana ani śladu — wyjm kamień z kieszeni, panie, bo strzelę na wiatr z fuzyi w stronę, gdzie słyhać ciebie po zapachu séra holenderskiego. Zamknąć podwoje, bo gotów nam figla spletać i wynieść się niepostrzeżony. Panie Drzymała, prosimy na miłość Boga, nie zrób z siebie fantazma. W imię Ojca i Syna i Ducha — panie Drzymała, pokaż się!“ — „Panie Drzymała, pokaż się!“ krzyknęła szlachta, patrząc na pana Drzymałę, który stał wtenczas wszystkim na widoku, gdyby rak ugotowany na farfurce, albowiem i twarz i żupan miał z karmazynu.

„Mości podczasy,“ rzekł J. O. książę do Dunina, „więc przepraszam waści, żem ci wczoraj uchybił, mówiąc: łżesz, kiedyś mi wać o tym kamieniu bajdurzył, — a teraz widzę, że to prawda. Lecz mam do ciebie, panie kochanku, anse, żeś twego kamienia na panu Drzymale spróbował, bo ja na niego lubił patrzeć — on piękny człowiek — i panna Anna będzie się smucić, że go nie widzi. Już to się ja nie lękam, aby nas pan Drzymała okradł, bo to człowiek uczeiwy. Ale panna Anna dla niewidzialności jego

teraźniejszej może szwankować, — a w statucie litewskim nie ma jeszcze artykułu „*si quis incarnatione invisibilis factus, pater fit.*“ — Tu w. pan Dunin widząc, że książę pan żart zadaleko posuwa, ile że sam w. marszałek, ojciec panny Anny, marszczył się na wspomnienie samo dyshonoru, jaki córka jego ponieśćby mogła, odezwał się: „Mości książę, mnie się zdaje, że pana Drzymały weale tu nie ma, bom ja go sam zostawił w bramie Najświętszej Panny we śnie głębokim pogrążonego — a tu sobie tylko zrobiłem żart i krotochwile, mówiąc, że jest między nami.“ — „A kiedy tak — rzekł książę pan — to mi lżej na sumieniu; — niech się wyśpi pan Drzymała — a nie mówcie mu o tém, co się stało, boby się gniewał — to człowiek obraźliwy.“

Na znak księcia pana szlachta się znów wzięła do półmisków i kielichów, czyniąc tak, jak gdyby pana Drzymały w istocie nie było. Nieraz więc dostawał w łeb kielichem albo farfurką, albo też łokciem w bok, a zawsze się usuwał, lecz nie nie mówiąc; był bowiem obżarty i przez wzgląd na żołądek wiele przebaczał. Znalazł nareszcie wolne miejsce przy stole, i usadowiwszy się, złożył na farfurce mnóstwo wielkie zwierzyny, kielich węgrynem napełnił, a niedbając więcej na żarty, w zupełnej spokojności dary boskie pożywał.

Po niejakiem czasie książę pan pokazując digito na farfurkę pana Drzymały, zawołał niby z przestrachem: „Księżę Ryłło, weź waćpan stułę i kropidło i poświęć stół — bo tu dyabli siedzą i łykają święcone. Ja nie widziałem nigdy, aby jaki człowiek tak jadł, jak ta farfurka: — więc to musi być dyabeł, którego Chrystus Pan wpędził w świnie nad Genezaretańskim morzem. — Wszelki duch Boga chwali! — panie kochanku, ta farfura wychodzi sama od stołu.“

I w istocie pan Drzymała zniecierpliwiony wynosił się za drzwi, niosąc talerz z pieczywem przed sobą; — ale książę pan, który nieraz i po pijanemu korki u trzewika niewiastom strzelał, chwyciwszy za sztuciec nabity kulą, przymierzył się i przy drzwiach już będącemu panu Drzymale talerz z ręki kulą wytrzasnął. — Nieszczęśliwy pan regent zmięszadł się niepospolicie i osłupiał — lecz nie mo-

gąc już znieść dłużej owych afrontów, ze łzami w oczach, obróciwszy się do towarzystwa, rzekł: „Mości panowie, w przytomności waszej uskarżam się na w. pana podezaszego Dunina, że z człowieka cichego i urodzonego szlachcica taki żart czyni: — domagam się więc satysfakcyi.“ — Na to pan Dunin: „Cieniu człowieka, głosie niewidzialny, jeżeli, jak się spodziewam, masz brzuch ludzki i łeb okrągły i ciało człowieka, bić się z tobą będę, choć miałbym przyjść na ów los nieszczęśliwego Ajaxa, co mając na oczach chmurę, przez zagniewane bogi rozciągnięta, zamiast rycerzy bydło i owce porąbał; choćby ten pojedynek równie smutną jak Sofoklesa urodził tragedya. Dobądź więc szerpenty i objaw głosem, gdzie jesteś — a jeżeli mam pójść do Erebu, upraszam tu J. O. księcia, aby na intencyą moją tysiąc czterdzieści cztery msze zakupił, ile że od zaczarowanego człowieka polec mam nie po katolicku.“

Przychodziło już do bitwy, gdy ksiądz Ryłło, wystąpiwszy naprzód, rzekł poważnie: „Książę panie, wybierasz się na wędrówkę do grobu świętego — a dopuszczasz tu, aby dla żartu krew się lała; — ani to na twoją uczoność przystoi, mości Duninie, żartować tak z tego grzesznika, który się nie spowiadał i nie komunikował w dni boskiego umęczenia, a teraz brzuchowi swemu dogadza i gniewowi cugle popuścił tak, że się na azard żywota naraża...“ — „Milez, klecho! — krzyknął książę — to nie wielki post, abys tu nam kazał, jak z ambony, — a że pójdą na szerpenty, to nie żaden grzech; — gorzej zrobił pan Samuel Zborowski, co Włocha Candiana, namazanego miodem, oponował niedźwiedziowi rozjuszonemu, a sam na pojedynek nie wyszedł. — Za to by nie był wpuszczony do nieba, tylko że głowę świętą wrzucił pierwój, a sam wszedł niby szukając swego czerepa, z czego się Najświętsza Panna zabawiła i pozwoliła mu zostać — a może też i dla tego, że to był męczennik szlacheckiej sprawy, i zagryziony był przez wilcze zęby królewskie, za którą to rzeczą ja sam będę u Chrystusowego grobu patronował, aby znów Zborowskiemu głowę in excelsis nosić pozwolił na karku a nie pod pachą, jak niemiecki kapelus. Panie Dunin, włóż aspan szablę do pochwy i ty, panie Drzy-

mało, nie gniewaj się; — a pojedynku nie trzeba. bo i tak mało szlachty — a jak mniej będzie, to więcej pójdzie pod miecz katowski na głowie pana Samuela zaprawiony — a póki nas wiele i zgodnych, to i sam pan Zamojski ogląda się, czy ma głowę. A wiecie wy, że konsylium jego było, abym ja jechał do Ziemi świętej przez Turcyą — i sam król Stefan ofiarował mi glejt turecki od Sułtana; — ba, ale ja nie głupi, panie kochanku, a nie chcę tego honoru, aby za mną pan Jan Kochanowski stawał, jak za Podlodowskim, co był w Turczach zarzezany. Chybaby mi pan Drzymała swego kamienia pożyczył, tobym się odważył jeść obiad z samym Sułtanem; lecz pan Drzymała nigdy nikomu tynfa nie pożyczył, więc o kamieniu ani gadać. Trzymaj, panie Drzymała, coś znalazł, bo skarb znalazłeś — a ja ci zazdroszczę. Ale że ty piękny i przystojny, więc tobie ten kamień więcej szkodzi, niż pomaga: — więc może go się pozbędziesz i zamieniasz się ze mną na ten sygnet.“ (Tu ksiązę zdjął z palca wielki sygnet, brylantami osadzony, z szafirem pośrodku i dał go wyciągającemu ręce Drzymale.) „Kupuję ci kamień twój; — nie biore go teraz, bo nie chcę zniknąć z przed oczu J. W. panów, którzy przytomnością swoją mój dom zaszczycają, ale żem twój kamień kupił, to go złożysz w skarbcu moim.“ — „Jeżeli J. O. ksiązę — rzekł udobruchany Drzymała — będziesz tak kupował te niewidzialne kamienie, to i skarbiec J. O. księcia stanie się niewidzialnym.“ —

Na tém skończyła się krotochwila z panem Drzymałą, który jednakże panu Duninowi séra nie przebaczył — jak tego w dalszej podróży dał tysiączne dowody.

Opisawszy te krotochwile, nie będę się dłużej rozciągał nad uroczystościami zamkowymi, ale przystąpię do rzeczy mających bliższy związek z podróżą naszą i t. d.

TRZY POEMATY JULIUSZA SŁOWACKIEGO,
BAJKI I POEZYE ANTONIEGO GORECKIEGO
I POEMAT O PIEKLE DANTYSZKA.

Poezya w dzisiejszych złych czasach okazuje dziwną wytrwałość: coraz liczba czytelników się umniejsza, a w stosunku odwrotnym idzie ilość utworów poetycznych. Jak się ten spór zakończy? obojętność czytelników będzie złamana nareszcie? życzymy tego bardzo.

Wprawdzie trzeba wyznać, że my publicznosc, my lud czytający, mamy ważne powody oziębłości ku żyjącej poezyi. I mamy słusznosc w naszej niechęci; a to nie dla tego, żeśmy ludem, ostatnim sędzią pomiędzy poetą a nami; nie — lepszy niesiemy dowód na faktach i przyrodzeniu człowieka oparty. Pokolenie, które upływa i do którego należym, szuka poezyi wszędzie; i krwawo pracuje, stawia się w tysiącznych położeniach, nagina smak swój tysiąc-krotnie, byle uczuć, pojąć w pełni wszystko, co świeci w historycznym przestworzu, na drodze mlecznej Poezyi, gdzie pierwszymi gwiazdami początek Księgi Rodzaju i hymnu dziękczynny z Księgi Wyjścia, a ostatnie Giaur, Korsarz, Manfred, wyblęły już nad porankiem dni naszych. Czemużby ludzie, co z trudem po obcych i dalekich niwach szukają kwiatu i woni dla swego uwielbienia, nie mieli pić próżniaczo rozlanej u nóg ich rozkoszy? po co pracowicie i uczenie wkładać ucho do cudzoziemskich, cudzowiekowych tonów, kiedy można z niechęcia i serdecznie pieścić je nutą narodową?

Widać zatem, że większa przestrzeń dzieli nas od dzisiejszej jak od dawniej poezji. Widać, że nam łatwiej wmięszać się w szyki Hebreów, przechodzących morze czerwone, zasiąść u stołu Agamemnona, przy węzłowie Dydony słuchać opisu zburzenia Troi, pojąć myśl i dźwięk pół stoickiej, pół epikurejskiej pieśni Horacyusza, zwiedzać z Dantem idealny świat katolicyzmu i rzeczywisty świat średnich wieków jednym pochodem, czuć zazdrość i honor sercem szlachcica z Kalderona komedyi; łatwiej to wszystko, niżeli cokolwiek rozeznąć, zrozumieć, uczuć w światach dzisiejszej poezji.

Jak się to dzieje, że co zaszłe lub przymierzchłe widniejszém jest przecie dla oka, niżli co nowe, z pośród nas wystrzelone? Oto że tamto są wszystko rzeczy; z ułamków ich nawet możnaby odgadnąć całość, jak Cuvier z kawałków kości odgadywał układ przedpotopowych stworzeń, a z zupełnych utworów odbudujesz świat ówczesny; taka tam logika od owocu do ziemi i czasu, co go wydały. Jeśli zimni słuchamy poezji dzisiejszej, to że w ogóle jest ona fałszem, albo co gorsza osobistém prezentowaniem się poety w udanych postaciach i ze śmiesznymi uroszczeniami. — Może zresztą ta maskarada charakterów maluje dobrze nas i naszą epokę i choć niewabna, będzie pod tym względem historycznie ciekawą dla przyszłych pokoleń; my przecież, jeśli już podlegamy powszechnej ułomności, to przynajmniej chcę dać dowód dobrego smaku, wołąc, niżli samych siebie, patrzeć z Homerem, Dantem, Kalderonem na ludzi ubiegłych czasów.

Niech nikt nie sądzi, że to złe, co mówimy o dzisiejszej poezji, jest koniecznym wstępem do zdania, jakie mamy otworzyć o poezjach P. P. Słowackiego, Goreckiego i Dantyszka.

Jest to jednak parę artykułów naszej wiary krytycznej, usposabiających do pobłażania.

Trudno być różnym od swego czasu. Wreszcie bajki i poezye Antoniego Goreckiego wychodzą z pod surowej nagany, rzuconej na nowoczesną poezyą, naturą swoją i skromnością swych żądań. Płody nie od dziś polubionego przez naród pisarza noszą zawsze swe miłe cechy: czystość mowy, prostota opowiadania, złośliwa dobroduszość myśli

znamionuje nie jedną jego bajkę. — Kto pomni dawne, których się cała Polska na pamięć uczyła, temur poradzi, niech czyta nowe; są tu piękniejsze jeszcze od dawniej znanych. Podobne utwory nie mają nic do czynienia z kłótniami szkół i trudnościami czasów! żyją dłużej niż szkoły i tyle co czas, gdy im da życie talent tak pewny jak P. Goreckiego, bo pojedyncze spostrzeżenie, trafne, delikatne, jak może być zrobione w każdej epoce, tak i podobać się w każdym usposobieniu.

Ale naprzykład, bez poprzednich ogólnych uwag o dziwnym rozbracie poezji ze społecznością niepodobna by nam było wytłumaczyć, z jakiej przyczyny pieśni Juliusza Słowackiego są dotąd prawie bez echa w narodzie. Nie znam poety, coby miał równy talent wykonania. I musi być wielka niezgoda w ogólnym pojowaniu poezji między Polską a p. Słowackim, kiedy mimo uroczej świetności formy, nie przyjął się lepiej na jej gruncie. Przecież Polska mało dotąd miała pisarzy, mało stylów w poezji; i jak dziecko łakoma jest zewnętrznego połysku.

Trzy nowe poematy Pana Słowackiego świadczą już o uznaniej piękności stylu, a na usposobienie narodowe ku utworom poety nie tyle wpłyną, ile mybyśmy życzyli. — Pierwszy poemat: „Ojciec zadżumionych w El-Arish“ (El-Arisz) jest ustępem żywym i zajmującym wprawdzie, ale tylko ustępem; a co do pomysłu jestto przerysowanie owego znowu ustępu, który P. Słowacki na pamięć umie:

*La bocca sollevó dal fiero pasto
Et peccator, etc. etc.*

Jednakże „Ojciec zadżumionych“ jest najlepszym ze trzech poematów. Drugi, pod napisem: „W Szwajcaryi“, należy do téj osobowej poezji, która, gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniusza, albo też źródłem jakichś nowych lirycznych natchnień, zajmuje zwykle więcej samego pisarza niż czytelników.

Ostatni poemat „Wacław“ w mniemaniu autora nawet potrzebował usprawiedliwienia: ładnie pisany, jak wszystko, co pisze pan Słowacki, nie tłómaczy jednak poety ani z zaufania, że się pokusił robić dalszy ciąg Maryi Malczewskiego, ani szczególniej z braku artystowskiego uczucia,

że chciał zdzierać tę czarowną zasłonę, którą Malczewski zarzucił w końcu na główne osoby swego poematu.

Poemat „o Piekło” nie nosi nazwiska autora; ostrożność bardzo na miejscu. Nie wiemy, kto się dopuścił tego cudactwa: czy jaki człowiek talentu napisał to na żart dla wypróbowania publiczności, czy też ktoś w dobrej wierze popadł w błąd taki. W pierwszym razie ostrzegamy, że nie łatwo nas złapać; jeśli zaś nasz autor jest dobrą duszą, radzimy mu, aby tytułów, jakie mieć może do pocziwości, nie wymieniał na tytuł śmiesznego poety.

Z. K.

KILKA SŁÓW ODPOWIEDZI

NA ARTYKUŁ PANA Z. K.

O POEZYACH JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Wolę prosto w piśmie „Młoda Polska“ na artykuł pana Z. K. o poematach moich odpowiedzieć, niż odpowiedź tę zostawiać do zapełnienia kart wstępnych jakiego przyszłego dzieła, jeżeli mi na nowe prace Bóg — dosyć życia, a publiczność zniechęcająca — dosyć cierpliwości i zapału zostawi. Ostatni krytyk trzech poematów dotknął najgłębszej struny sumienia mego zapytaniem: dla czego pomimo wytworności kształtów poezye moje tak mało mają odgłosu w Polsce. Jest to dla poety *to be or not to be*, nad którym ja jak Hamlet rozmyślam..., a którego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi mojemu zostawi. Tymczasem kwestyi téj pan Z. K. długim wstępem swoim do krytyki trzech poematów, i krótką krytyką trzech poematów nie rozwiązał..., wiemy bowiem tylko ze wstępu, że pan Z. K., a z nim Polska, lubi czytać Biblią... Danta i Manfreda..., a nie lubi moich poematów. Już to zbliżenie moich poezyj do wielkich mistrzów jest dosyć pochlebne dla mnie, chociaż w celu zniechęcenia mnie zrobione, ażebym się za nie mógł szczerze gniewać. Powiem tu tylko, jak miłość własna autorska broni mię, ilekroć mię ta oziębłość polska do rozpaczy przywodzi..., powiem panu Z. K., jakie przyczyzny pozbawiły mię dotąd i na długo zapewne, a może na zawsze odgłosu w Polsce pozbawia.

Pierwsze tomy poezyj moich są bez duszy. Imaginacja moja młoda, jak motyl wabiona była połyskiem, słońcem, kształtami, kiedyś je pisał. Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym, dziecięciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył. Pokazałem się więc poraz pierwszy jako artysta ludziom, którzy bynajmniej o artystowstwie nie myśleli..., ważną i okropną tragedją rzeczywistą zajęci. Pierwszymi dwoma tomami zgubiłem się na cały czas życia mego, i teraz muszę bez echa śpiewać, choć śpiewam inaczej, albowiem Polska nie ma ani krytyków silnych, którzyby ją o zmianie lutni ostrzegli, ani czytelników dosyć szybko sądzących, którzyby się sami z pierwszego sądu otrząsnąć mogli, i z czystą uwagą iść za nową pieśnią poety. Do téj pierwszej i głównej przyczyny niech pan Z. K. doda trochę wyrachowanej obojętności ze strony tych poetów naszych, którzy dość mają lekko zrobionęj sławy, a wszelako stoją jak Koklesy na moście literatury i czekają, aż Car go zrabie, aby skoczyć w wodę, obroniwszy od nowych tryumfatorów polską poezją tych poetów, którzy podobnie do ministryów politycznych, zawiązawszy się niegdyś razem w opozycją przeciwko Osińskiemu i Koźmianowi, osiągnęli berło i dziś są równie przeciwko nowym autorom partyą, Osińskich i Koźmianów. Niech pan Z. K. doda wpływ takich artykułów na polską publiczność, jakim jest jego ostatni artykuł, gdzie „Ojca zadżumionych“ chce zrobić naśladowaniem Ugolina, tak właśnie, jak gdyby kto powiedział, że grupa Nioby, tracącęj dzieci, jest naśladowaniem posągu Laokoonu z dwoma synami, zjedzonego przez węże. Niech jeszcze doda, że Polska terazniejsza podobna jest do Prometeusza, któremu sęp wyjada nie serce, ale mózg i rozum — wtenczas może i sam zrozumie, dla czego poezye Słowackiego są bez rozgłosu w Polsce; dla czego dusza Anhellego naprózno wychodzi z ciała i po słupie światła księżycowego wraca do ojczyzny, myśląc, że ją tam poznają i przyjmą ze łzami; dla czego nareszcie biały Anhelli i ciemny Ojciec zadżumionych i Nimfa Szwajcarska i Wacław z Eolionem będą jeszcze długo, długo figurami niezrozumianymi dla duszy narodu, aż może nagła błyskawica oświeci oblicza tych tworów i pokaże je przezroczytymi aż do głębi serca oczom narodowym.

Cożkolwiek bądź, sumienie mi powiada, że przez ośm lat pracowałem bez żadnej zachęty dla tego narodu, w którym epidemiczną jest chorobą uwielbienie, epidemiczną chorobą oziębłość, i pracowałem jedynie dla tego, aby literaturę naszą, ile jest w mojej mocy, silniejszą i trudniejszą do złamania wichrom północnym uczynić. Kordyan świadczy, że jestem rycerzem tej nadpowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy. — Przez ośm lat każdą chwilę życia mojego wyrywałem roztargnieniom, osobistemu staraniu o szczęście, abym ją temu jedynie poświęcił celowi..., a jeżeli go nie osiągnął, to dla tego, że mi Bóg dał więcej woli, niż zdolności — że chciał, aby poświęcenie się moje bezskuteczne, przydane było do liczby tych większych ofiar, które Polacy na grób ojczyzny składają; aż wyniszczywszy wszystkie siły duszy i całą moc indywidualnej woli napróżno, muszą iść na spoczynek w ziemi, strudzeni i smutni, że miecz ich nie był piorunem, a słowo nie było hasłem zmartwychwstania.

JULIUSZ S.



DO KSIĘCIA A. C.

Lay aside the wretched formalities of a King, and speak to your subjects with the spirit of a man, and in the language of a gentleman. Tell them you have been fatally deceived. The acknowledgment will be no disgrace, but rather an honour to your understanding,

JUNIUS.

Mości Książę!

Cytując te słowa Juniusa do króla angielskiego niedyś zaadresowane... nie sędzę, abym Waszój Książęcój Mości w poszanowaniu ubliżył; wyraz zaś *subjects* przemieniając na *countrymen*... uczynię zadosyć własnemu sumieniu, które mi jeszcze z całym narodem uznać się poddanym Waszój Książęcój Mości nie pozwala. Tak przemieniony epigraf będzie mi tarczą, za którą ukryty poważę się kilka słów do W. Ks. M. powiedzieć.

Szlachetna postać Księcia, wiek Jego, długie cierpienie wygnania i smutek na obliczu spokojném wryty... schylają mnie przed Waszój Ks. Mości powagą. — Niepodobna też wierzyć, iżby szlachetny i zasmucony Naród był długo na te uroki nieczuły i ku podparciu Waszój Ks. Mości nie pośpieszył. Nie zostawi Cię długo, Mości Książę, lud polski — wojewody swego na drążkowém krześle wygnania — nam zaś wyrzuci, żeśmy Ci z ramion naszych nie uczynili poręczy i tak długo zostawili na nogach strudzonych.

A jednak my niewinni. — Czynność W. Ks. Mości ubrała się w formy tak duchowi narodowemu nienawistne,

że mimowolnie wszystkie wielkie duchy musiały Księcia opuścić i — w celach swoich albo w pracowniach swoich zamknawszy się — przemyślają o sprawie narodowej... podobni małym strumykom, które ze szmerem i z szelestem małych przewróconych kamyczków drogę sobie nową torują — nie oglądając się, czy bóg Neptun idzie za nimi... pewni, że prawo rządzące wodami wszystkie rzek koryta wkrótce w tę samą z nimi drogę nakieruje. Dlatego to — pomimo W. Ks. Mości usiłowania — tyle małych strumyków, praw bożych słuchających, innymi niż W. Ks. Mość drogami pobiegło; a każdy z nich znalazł drogę i wyprzedził — że tak powiem — ciężki sześciokonny ekwipaż W. Ks. Mości.

Jeden z tych wprzód biegnących strumyków zatrzymuje się na chwilę — nie przez chęć odpoczynku, bo go schyłek i spadziłość góry, z której leci, coraz dalej prowadzą — zatrzymuje się owszem przez złamanie prawa materyi, wiodącego ducha naprzód, próbując, ażali mu się nie uda *usiłowanie* W. Ks. Mości zamienić w prawdziwą wskrzesitelną *Silę Narodową* i — oczyściwszy je z przeciwnych duchowi polskiemu pierwiastków — miłość ku nięj w Ojczyźnie wywołać.

Zastanów się, Mości Książę, nad charakterem narodu polskiego i pomyśl: jaką sprawę poleconą ma sobie ten naród od Boga... a potem przystosuj usiłowania swoje do téj wielkości *formy form...* i uważ dobrze, czyliś już zajął w uczuciach narodowych miejsce pochodni i przewodnika.

Rasy są to urny nowe dla starych duchów. — Gdy się ciało jakiego narodu zestarzeje i wielkości duchowej nie odpowiada, duchy zaczynają wielką migracją, szukają domów lepszych, jaśniejszych, lepszymi organami obdarzonych. Gdyby twój duch, Mości Książę, widzący dziś zaledwo podług zwyczajnego prawa natury, dowiedział się, że gdzieś exystuje ciało obdarzone oczyma, które — podług Brewstera soczewek zrobione — teleskopiczny wzrok mu zaręczają, to Książę prosiłbyś modlitwą Boga o takie ciało teleskopowym wzrokiem obdarzone, abyś snadnie mógł przeciwko narodowi czynione kroki wyprzedzać, dojrzewać zdrad i tymże zdraodom opierać się.

Wystaw sobie Mości Książę: że słowiańska rasa jest jedną z ras późniejszych, na przyszłość przez Boga przygotowanych. Choć w zmysłach jój nie pokazuje się jeszcze ta doskonałość, to wszakże w rozumowaniu, w pojęciu — co mówię — w samej nawet szybkości materyalnej języka ta wyższość spostrzegać się daje. Polak we wszystkim tém, co Francuz uczyni, najpierwszemu frankońskiej rasy człowiekowi nie ustąpi; Francuz zaś — choćby w tysiącnych rozumowych logogryfach był nadeń silniejszym — to w rzeczach, które natura sama daje, ustąpić musi; — więcj powiem! — liter nawet niektórych słowiańskich nie wymówi; zda się, że murem chińskim przedzielony od naszej wszystko-mogącej natury. A cóż dopiero w umysłowości i potędze ducha! — Francuzów zatém czynność: szwędanie się ciągle za niskimi dociekaniem i praw postępu — może być dla nas doskonałą igraszką, ale nie wzorem przyszłości — nie formą — nie nadzieją dla ducha takiego, jakim jest duch W. Ks. Mości: polski duch wytrawiony, stuletni, zda się, dąb! — a jeszcze dla nas młody, bośmy go nie poznali, a o twardości jego rdzennj nie wiemy.

Ta pierwsza więc rasa świata, rasa pierwsza w Słowiańszczyźnie, ta Polska, chciałaby się wyrazić dziś przez liczbę i wymiar; szuka przeto osoby, chce się uczynić widzialną, poddać się pod *miarę i czas*; Ona — która jest nieśmiertelną bez *miary i czasu*, wielką jak bóstwo jakie o przyszłości zamysłone — chce teraz abdykować: z nie-skończoności przemienić się w skończoność i widzialność!.. A Wasza Ks. Mość, niby ptasznik na usadce, czekasz na Nią z konstytucyjną francuską siateczką, abys Ją z głową nakrył jako szczygiełka i do życia konstytucyjnie klatkowego przymusił.

Któż winien? — Czy my, którzyśmy Księcia ptasznika odbiegli? — czy Książę, któryś się nam z klatką francuską i ze zwierciadłem, jakiego używają na ptaszki, pokazał, sądząc, że nas samych ułowisz na dawną naszą półfrancuską karykaturę i mimowoli naszej szczęśliwymi w ptaszkarni swojej uczynisz. Lecz my, Mości Książę, ani patyków do skakania, ani prosa złoconego nie chcemy. A *ludzie* wiecej *nasi* nie potrzebują dowo-

dzie talentów i mocy — ciągnąc wodę ze studzien artezyjskich w łupinach orzechowych albo (jako mopsy uczone) zgadując i pisząc myśli francuskie słowiańskimi abecadłami; ale chcą zająć prawdziwie miejsce potrzebne na świecie i czynić to, czego inne rasy pomimo najlepszej woli uczynić nie mogą.

Widzę, iż te słowa moje przyjmujesz Książę z dobrym i pobłażającym uśmiechem — pozwalasz mi niby błędnej drogi i wysokiego latania — tworzysz mnie urzędnikiem dworu swego z prawem utopii — a nawet . . . obracając się do dworzan twoich, powiadasz: iż radbyś mię gubernatorem wyspy *Barataryi* uczynił. A gdzie ja tam — przez doradce twoje znudzon, przez doktory twoje ogłoszony — musiałbym wyrzec się wszelkich Atlantydy, a zażądać wieku złotego Saturna albo konstytucyjnego wreszcie w Polsce królestwa.

Powiniennem zatem dowód położyć: że utopistą nie jestem, ale chcę: aby Waszój Ks. Mości miłość ku duchowi narodowemu panowała, a moje małe gubernatorstwo na wyspie *Barataryi* zniszczyła — nie szkodząc wszakże duchowi mojemu, który przeciwniej sobie materyalnej sile poddać się nie chce i nie może. Jeżeli zaś Książę nie uszanujesz wolności ducha mojego, to dodasz jeszcze jeden grzech do grzechów, które Polska w ostatnich czasach popełniała przez urąganie ciągle duchowi, połączone z zamięłowaniem wytrawionych niby doświadczeniem małych ludzi, powiatowych orakułów, którzy wydawali się ludźmi czynu, a w istocie byli tylko stróżami własnej godności; którzy — żadnej narodowej myśli pojąć nie zdolni — jeśli pozwalali się na chwilę przez kogo ułować, to tylko na haczyk interesu, osłodzony miodem miłości własnej.

Takich ludzi masz Wasza Książęca Mość w emigracyi; uczyniłeś nawet cud nad nimi, to jest: wpoieś w nich przekonanie, aby się podsędkowskiej sławy powiatowej i nieomylności prowincjonalnej wyrzekli a zgodzili się na to, że konstytucyjny rząd wszystkie je przerastać będzie i do jednego celu nagnie retoryczne i wojskowe talenta. Zwycięstwo to nad indywidualnością otrzymane — do którego także Waszój Ks. Mości nędza i smutek wygnańców wiele pomogły — zapisane będzie w *księgach*

brązowych czasu — nie pod rubryką jednak zwycięstw ostatecznych. Czynność ta wszelako Księcia — jako względne do czasu dobro — powali się przed polską ideą, a usiłowania Księcia na wspak duchowi narodowemu idące, choćby posągiem brązowym gdzieś na placu Warszawy uwieńczone, — nie śmiem wymówić słowa prawdy — będą przez naród (choćbyś go W. Ks. Mość na czas zgalwanizował) zrzucone, jako szaty krojem i lekkością ciała i klimatowi polskiemu nieprzyzwoite. Książę bowiem cofasz Polskę!.. A żaden naród jeszcze — od stworzenia świata — nie był wdzięczny za wsteczną impulsją, ale owszem zacierał wszelkie ślady podwójnie wybitych kroków swoich i wstydział się, jeżeli przeszłość swoją znów przed sobą w przyszłości zobaczył!.. Narody bowiem — podług słów Pawła św. — mają ducha, a duch niewymownymi wzdychaniami modli się za nie: one więc, jako ciała, nie wiedząc, czego pragną, poruczają żądanie swoje ducha modlitwom; pozbawione więc nawet myśli i woli, chcą jednak zawsze *cel własny i myśl własną* modlitwą niby wzdychającego ducha *wyrwać niebiosom*. Kto przeto na powierzchni bezmyślność i bezwolę czyli niewolę narodu rachuje, sądząc, iż nową myśl i nowe pożądanie w sercu narodu obudzi: spotka się ze snem, z mimowolną a serdeczną narodu żądzą — i tak, jak Wasza Ks. Mość dziwić się będzie, że ani snu rozprószyć, ani niewyrażonej w słowach żądzy pokonać i zniszczyć nie był w stanie.

Tu zapewne W. Ks. Mość zechcesz spojrzeć w oczy listu tego pisarzowi, a mając go przed oczyma, zapytać zarazem: jaka jest idea Polski? — Pisarz zaś zapytaniem takim zmieszany — do muru niby przyparty — pomyśli: że się w wieku Sasa odrodził, w którym zwykle się działo, że — jeżeli na sejmie lub sejmiku człowiek który o wyższym pojęciu ducha narodowego przemawiał — to z kąta gdzieś najciemniejszej sejmowej ławki wydobywał się głos wołający: „jeżeli co masz, to w trzech słowach jasno nam wytlómacz, a nie czmuc oczu.“ — Raz drugi i trzeci przed takim matematykiem, Euklidesem politycznym, usiadłem był ze spuszczonej oczyma; a obejrzawszy się na trudność syntetyczną idei, rzeczy się samej wyrzekłem. Teraz jednak — i czas mając po temu

i zapytanie od większej, niż moja jest, mocy i szerszej ogłędności zadane, a głęboką dobrocią poparte — odważyć się bronić przed W. Ks. Mością *Ducha* ojczyzny mojej:

Słowianie są czynnikami wolności duchowej. Oddawna już systemat w. kniaziów moskiewskich zaczął tę wolność charakterową Słowian spędzać z ziemi oblicza. W pierwszych więc czasach słowianizmu Polska pokazuje się — jako wielkie słoneczne *Wolności morze*, a dwie *odeń* gwiazdy (niby tego samego koloru, a piękniejszej może jasności, bo ku ciemnym stronom idące), Nowogód i Psków, świecą na północy. Jako zaś w świecie materyalnym nic nie ginie, ale wszystko przemienia się: tak też podobnie i w świecie ducha. Nowogrodzkie przeto i Pskowskie pierwiastki jeszcze aż dotąd są w Słowianizmie do odkrycia, jeszcze gdzieś pod grobami i popiołem palą się niezgaszone. Dziś przeto jeszcze są Duchy, z których Księżę wyciągnąłbyś łyżę rześiste wspomnieniem dnia tego, w którym dzwon wielki sejmowy w Pskowie zdejmowano. A ktoby usty ludzkimi ostatni jęk tego dzwonu naśladować potrafił, usłyszałby echo płaczu z różnych kątów Rosyi przylatujące. Dziś jeszcze — pewien jestem, że człowiek gdzieś nad Wołgą ziemię orzący... pług zatrzymawszy, zapłakałby i spojrzął w dzwoniące skowronkami niebios, gdyby mu kto powiedział owe słowa kronikarza po zgubionej wolności stan duszy jego malujące: *Patrzaliśmy na ziemię: — ona się nie rozstąpiła. Patrzaliśmy na niebios: — nie można było ulecieć bez skrzydeł!*..

Mości Księżę, jestto krzyk polski: bo Nowogrodzianie i Pskowianie to potem wykradli się z ciał niewolniczych i Polakami zostali. A tam w puste kościoły weszły duchy Czengiskańskiej urody, sprzeciwiając się prawu wielkiemu *migracyi duchów*, która jest z południa ku północy. Cząstki więc te wolności duchowej zebrały się siłą niby wzajemnej atrakcyi ściągnięte w jedno — w jeden naród polski — i zbite mocą zejścia wybuchnęły prawdziwie szaloną siłą *złotój Wolności*.

Wolność ta wszakże była duchową w pierwotnym pojęciu, a stąd pozbawiona téj obrzydliwości, która na dzi-

siejsze *cielesne komunizmy i purpurowe demokracje* upada. Szło tam o rząd, w którymby duch wyższy nie służył niższemu — nie zaś o *postawienie cielesne* wszystkich *pod jedną miarą* podług średniej ludzkiej urody zrobioną, do której niedorosłych żadna ludzka siła nie dociągnie . . . a wyższych — chyba ucięciem głów — zrównać i przystósować potrafi. O *równości* więc *cielesnej* mowy nawet nie było. Nikt nie myślał wyciągać z za pieca pijanego chłopca i stawiać go w jednej parze z pięknym i szlachetnym rycerzem. Starano się jedynie o wolność jak największą w formach rządu, tak aby rosnący w piękność Duch nie miał żadnej przeszkody. Jakoż wkrótce dusze się niektóre — choć w nieurzędniczych ciałach — do swojej wielkości poczuły i z krajem się całym zrównały. Gdyby wielka miłość rządowa i rosnący Duch kraju przerósł je był . . . i wielkością swoją, niby kopułą ogromną, przycisnął: stanęłaby prawdziwa *Hierarchia* na świecie *podług zastugi mocy duchowej* zbudowana . . . w kryształ ścięta . . . porządkiem prawdziwym cielesnym objawiająca się: gdzie wszelka Rewolucya ze zwierzęcych samolubnych pasyj musiałaby pochodzić . . . a wszelki Rząd z miłosnego ducha i z porządku wypływać.

Taki był *ideał duchowy* Republiki, do którego Polska — pobrawszy wszystkie Słowianizmu wolnego części — dążyła.

Na takąto przyszłego rzeczy porządku Rodzicę szedł ze Wschodu Mongolizm . . . a z Zachodu straszniejsza odeń *Forma* przez Rzym dawny pogański na Chrystyanizm włożona, *forma nie podbicia, ale oporu*. Straszniejsza więc od mongolskiej, bo pozbawiona ruchu . . . mająca za hasło *stój!* . . . za naukę *nie buduj, ale poprawiaj!* Gdzie ona weszła, tam wszystko stare przyjęto: kodex Justyniana — filozofią Arystotelesa — panowania spadkiem krwi idące — niewolę Ludu. I Ewangelia (która jest cała nauką ducha) tak różna od Mitologii (która jest pojęć o świecie fizycznym i duchowym krystalizacją) pogodziły się z sobą w cywilnym rzeczy porządku. Ewangelia nawet zgodziła się, jako służebnica Ruth, indywiduala zbawiać i kłósów samotnych na polu narodów wyszukiwać; gdy tymczasem *ogółem ruchu* zajął się Jowisz z całą olimpijską gromadą. Tento straszny mocarz (przywołałszy sobie raz na pomoc

dawne rzymskie duchy), Sylłę ubrał w Marata kaftan i czerwoną kamizelkę... nawet chorobą podobną do Sylłańskiej zaraził; Maryuszowi pozwolił wdziać jedwabne pończochy i pokazać się ze srebrnymi klamrami na trzewikach; mnóstwo retorów wsadził w ptasie ciała francuskie; z mownic porobił dziwne gestów telegrafy, republikanizm cały rzymski na mownicy objawił, potem przyzwał Cezara w grzybkowym kapeluszu i kazał mu to wszystko wymieść z *widzialności pałacu*; albowiem Jowiszowa myśl o świecie była już dopełnioną ogłoszeniem *des droits de l'homme*.. to jest praw cielesnych..., które ma wszelki człowiek do pokarmu, do wody i do lasu.

Teraz, Mości Książę, racz porównać dzieło Jowisza ostateczne z początkiem sprawy ducha Chrystusowego w Polsce... i wyznaj: czyli nas pod obcego narodu formy poddawać się godzi?

A list ten odczytawszy z uśmiechem, pozwól, że Ci pisarz rozjaśni którą z godzin wygnania... o *wolności duchowej*, mówiąc jako rewolucjonista, a szanując ducha W. Ks. Mości, który jest jeden z wolnych i szlachetnych..

REPUBLIKANIN Z DUCHA.*)

*) List ten, drukowany „w Wydawni polskiej Radwańskiego“ w Paryżu, był ogłoszony jako ulotne pisemko, bez wyrażenia roku.

DO EMIGRACYI.

O POTRZEBIE IDEI.

Dwa są dzisiaj narody, które stoją nie pod człowiekiem, ale pod ideą narodową, nad każdym człowiekiem, choćby najwyżej stojącym, ulatującą. Idee obu tych narodów są materyalne i grube, wszakże silne są, bo niby chęć jedną i żądanie całego narodu wyobrażają.

Anglia wyraża się trzema słowy: chcę panować na morzu.

Rosya zaś tymi trzema: chcę panować na ziemi.

W tych narodach każdy człowiek, nie wychodząc z szranków, które mu natura jego ducha zakreśliła, może być patriotą.

Anglik, dobry zegarmistrz, czuje, iż zegarmistrzem będąc lepszym nad innych, dopomaga krajowi swemu w celach jego ostatecznych. Majtek, lepiej nad inne wiosłem robiący, (choćby w obcym się znajdował porcie samotny) wie dobrze, że jego sztuka i sprawność we władaniu łodzią, wyobrażenie rodząc wysokie o marynarce angielskiej, świadczą o jej wyższości, a stąd wojnę może od ojczyzny jego oddalają. — Podobnie kobiéta patriotką być może, gdy wyroby angielskie w używanie wprowadza; pisarz, gdy gust do literatury rozszerza a tém samém język czyni powszechnym i morza nim obejmuje.

Podobnież w Rosyi, każdy Rosyanin, czy to w kraju czy za granicą będący, choćby najpłochtszy, w osobie swo-

jój świadectwo dać może o sile podbijającej moskiewskiej, a to nie tylko w ważnych pracach, ale nawet w śmiałym rzuceniu pieniędzy na kartę. W zakupieniu miłości pierwszej najślawniejszej tancerki pokazuje młodzik, iż na wszystkie hazardowne przedsięwzięcia niesie go ducha natura i zdaje się mówić: „Oto patrzcie na mnie! ja młokos i szaleniec, ale podobni mojemu duchowi a wyżsi ludzie milionami gotowi tak się rzucić, aby zajęli najwyższe stanowiska w Europie!“

To o dwóch narodach, mających ideę.

Są w Europie ludy, które niższe koniecznie być muszą z postępem czasu, albowiem chęć swoją objawiają tylko w ideale: ideał zaś ten musi koniecznie uosobić się w człowieku.

Ideałem n. p. Francji był Napoleon.

Teraz ideału nie ma*), nawet przecucie o nim urodzić się nie może. A ktoby chciał francuskim być patriotą, nie wie z pewnością, do której się partyi ma rzucić? Jeżeli pracować chce, nie wie, którą z prac patriotyzm mu każe przedsiębrać: czy drogi żelazne prowadzić, czy Algier kolonizować, czy cukier z buraków wyciskać, czy lnianymi fabrykami Anglię gubić? Jeżeli poetą jest, nie wie, ku czemu lud powołać? wolność bowiem stała się synonimem konstytucyjnej formy, a forma nie wystarcza natchnąć poetę.

Kraj więc taki musi oczekiwać na ideał, t. j. na człowieka; a tymczasem przez czas duchowego *interregnum* upada.

W niektórych narodach duchowe i fałszywe są ideały, najczęściej przez poetów stworzone.

Niemieckim ideałem jest zawsze Markiz de Poza, który z najwyższym zapałem królewskich kolan dopada, prosi o wolność druku, o zaprowadzenie wieku złotego na ziemi. Studenci wszyscy ku niemu się podnoszą, rzemieślniczki nawet niemieckie przenikają się duchem jego; ale już minister stanu, co mówię, nawet hofrat i urzęduik

*) Pamiętać potrzeba, że Słowacki pisał to w roku 1846. (Przyp. Wyd.

niższy, obeznany z trudnością machiny rządu, kiwa głową z politowaniem, gdy mu ten ideał przed oczy synu zapaleniec postawi. I ma słuszość.

Peel i Wellington pod ideą panowania na morzu rosna z dniem każdym, do idei swojej modlić się mogą, myśląc o niej, bezsenne noce przepędzać; a gdy to czynią, rosna a ministrami być nie przestają.

I przeciwnie, pruski który minister, za ideałem Szyllera poszedłszy, musiałby śmiać się przed zwierciadłem z exaltowanej swojej postawy i giestów.

Hiszpania ani idei nie ma ani ideału.

Polska najnieszczęśliwsza!

Zapomniawszy o misyi, którą dawniej na świecie pełniła, zaczęła być naśladowniczką francuskich idei; we własnym zaś duchu twórczość swoją postawiła pod ideałem kolorowego ułana, który w obozie arystokratycznym za myślą porządku, w demokracji zaś głośno za równością cielesną ob staje.

Cóż zostaje tym, którzy na wzór takiego ideału kształcić się nie mogą? Cóż się stanie ze starcem, z kupcem, z urzędnikiem cywilnym, z gospodarzem? Żaden z nich, widzimy, w każdej chwili patryotą być nie może.

A tak kraj 20-milionowy przez wyłączność ideału swego pozbawił się codziennego usiłowania 19stu, a tylko ku jednemu milionowi popisowej młodzieży obraca swoje wejście.

Gizotom, Tiersom i Lamartinom ciągle będzie wyrzucał aż do trumny, iż nie służyli w Afryce i nie dopomogli jako podoficery do sławy oręza francuskiego. Dla starości jedynie staremu Peelowi przebaczy, iż sam swoją ręką nie wrzucał bomb ręcznych do Pekinu.

Taka to bezwładność ogarnąć musi powoli masę narodu, która ciągle ku celom ostatecznym nie jest jako morze przez gwiazdę miesięczną podnoszona.

W imię francuskich komunizmów podniosą się ruchy, wręcz zaraz przez całe drugie masy niekomunistów niszczone.

Jezuityzm swoje chorągiew podniesie, a sektarze przeciw jezuitom powstaną.

A jednak wszyscy nie wycinać się, ale służyć wyższej idei powinni.

Dla tego to rzekłem, że nad ideałem ułana — nie zniszczywszy go wcale, owszem świętością go celu podnosząc — postawić trzeba *wyższą ideę prawdziwą* (trzecią między Anglią i Rosyą) *matkę czynów*, któraby, w niebo prowadząc ku celom ostatecznym, wskrzeszała pył drogi, po której stąpa, a człowiekowi nie hołdując żadnemu, wszystkich podniesionych w kraj jeden zaprowadziła.

Idea dopiero wszystkie i rozmaite siły ruchu w narodzie rozwinie. I nie będzie to odtąd naród, który ciągle na konia tylko wsiąść usiłuje, ale lud (jak powiedział jeden z filozofów mesyanizmu) wyższy jednym idei stopniem na świecie, a stąd potrzebny Bogu w spełnieniu jego woli na ziemi.

Idei każdy człowiek służyć może. A jeżeli jest jedna i najwyższa, w celu ostatecznym stworzenia całego zamknięta, w nikim nie złamie sił, natchnień nie wystudzi, cnót nie uczyni bezużytecznymi, ale wszystko to jako wielka duchowa osoba będzie obracała w krew jedną i w siłę narodu.

Powtarzam, tak jako Anglia, która rośnie dziś każdym zegarmistrzem i każdym kredytem kupca i każdym majtkiem i każdym ministrem, a człowiekowi żadnemu nie oddaje *całkowicie* ducha swego — ale idei.

Wy, którzy w kontrakcie społecznym albo w jezuityzmie albo w konstytucyjnych machinerych szukacie sił waszych, dla czegoż nie pomyśleliście o wyjęciu z dusz waszych dawniej polskiej idei, która była *zbudowaniem kraju na wolności ducha ludzkiego, z zastrzeżeniem wolności dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń*, a która bez zgody duchów trwać w żaden sposób nie mogła.

O świętą duchową wolność chodziło ojcom naszym o formę rządu, która w przewidzeniu bożem musi koniecznie nastąpić i być uczynioną przez narody.

Prawo położyli jakoby z oczekiwaniem na przyjście Chrystusa.

Bo oto Chrystus, przyszedłszy w starożytną ojców naszych ojczyznę, choćby się był w najniższym na ziemi obywatelu urodził, podług praw ojczyzny położyć mógł *reto* swoje święte przeciw Herodowi, królestwo nawet swoje przyszłe zapowiedzieć, a nie znalazłaby się była za prawdę żadna karta w prawach polskich, któraby go na krzyż narodowy zaprowadziła.

Więcej powiem! Apostołowie na *reto* i zaprzeczeniu Chrystusa Pana oparci, podług praw naszych wolność mieli zawiązać się w świętą konfederacją kościoła, a słowem i czynem rozprzestrzeniać ideę pańską.

A związek apostołowski wywoływać mógł ducha narodów i otrzymać zgodę jednomyślną, ogłaszającą panem i królem Syna bożego.

Zbudowanie zatem kraju takiego było wysokim celem ojców naszych.

A niedotrwanie w tym duchu świętym obaliło ojczyznę starożytną.

Albowiem duchy, które pojną najwyższą myśl bożą i podług tej myśli rozpoczną świętą postępu budowę, a dla trudności pracy od myśli bożej odstąpią, zgruchotane są pod ruiną niedokończoną budowy.

Jestże to chwałą duchów naszych, że nie czujemy się zdolni podnieść ojców roboty i żyć tak, jak żyli nasi ojcowie, u których jednomyślność z ducha nie była niepodobieństwem, a świętość i wola jednego obywatela uszanowaną była przez wszystkich, dopóki jadło, kielich i pieniądz nie zaczęły jednomyślności i głosu ludzkiego kupować.

Karze nas Bóg jako ludzi, którzy zaczęli a ustali... jako Anioły, które widziały niebiosa a nie weszły... jako naród, który stał przewodnikiem i wzorem ludów, a zszedł na małego naśladowcę innych narodów, teraz zaś chce iść za duchem Francuzów, Niemców i Anglików, a swęj przeszłości wstydzi się jako szaleństwa i snu poczętego w pijanej młodości godzinie.

Biada wam, którzy sobie wmawiacie, że krzyżem podobni jesteście do Chrystusa, niepomini na to, że Chrystus niewinnie, owszem, wolę swą zgodziwszy z wolą Ojca, na krzyżu cierpiał za narody.

Owszem podobni jesteście do sług, którzy rozkazu bożego nie wykonali — kościołów, w którychby świętość ducha ludzkiego mieszkać mogła, nie postawili — pracy się wyrzekli — oczekiwanie serc ludzkich (uświęconych zawsze za ideałem) zawiedli — wyższość niższym ideom przyznali i niewytrwaniem drogę postępu opóźnili — a teraz chcą już niepolakami na widownię świata powrócić.

Bo to niepolak, który sobie nie zostawi świątyni we wnętrzu ducha własnego, niezgwałconej prawem dla ducha świętych zaprzeczeń, albo też niezdolny jest duchem świętym zlać się w jedność organiczną. Niepolak, kto pod martwą ołowianą kartą prawa zgodzi się być kołkiem obrotu w obrotów nieświętych machinie.

Bo nie jest ostateczną formą w myśli bożej dla ludzkości owa niby-równość przed prawem i reprezentowana przez kilkuset myśl milionów, gdzie już reprezentanci opozycyj niewolnikami są, ulegając prawom, na które się nie zgodzili.

Kto dziś skupuje stronników albo wykazaniem materialnych korzyści chce obudzić zapał Polaków, taki popełnia grzech przeciwko Duchowi świętemu ziemi naszej, dla którego Bóg nas oddał w niewolę.

Bóg bowiem chce Polski, aby czyniła *wysokość między wysokościami, do której dążą w ideałach inne narody.*

Niemożność zrealizowania tej idei w ciele jest: duchy albowiem wasze są wysokie i mogłyby dojść do jedności kresek przez miłość! nie przez trunek i jadło...

Veto także od anioła iść powinno jako *veto* ducha; a gdy od ciała idzie, szataństwem jest i ziemi ohydą.

Ażali ty, Emigracyo, nie jesteś jako olbrzymie *veto* z ducha położone i jednością ducha trzymane przeciwko wszelkim mocom widzialnym i cielesnym?

Stoisz jako wielki Anioł duchowy-zaprzeczyciel. A Bóg sam wyraźnie ci to ukazuje, że duchem czynisz sprawę polską; albowiem — co chwila nogi twoje toną coraz głębiej w glinę francuskich cmentarzy — a ty

z ciała prawie wyjęta... jesteś jako w pierwszy dzień żywa a teraz już nawet twórczą być zaczynasz.

Czas to jest, abyś się zlała w jedną ideę ognisko, na wsze strony rozrzuciła słów i czynów miecze! Słyszysz wszędy o ruchach budzącego się ducha, a ty we Francją wpatrzona nie rozumiesz, co znaczą różne elektryczne strumienie, tam i tu potracające masy narodów.

Nie chciwość-to jadła ani złota, ani machin rusza duchami ludzkimi, lecz moc Ducha świętego dawno już przez materialistów odepchnięta niewiarą!

Cudów pragniesz? lecz te będą w rozbudzeniu się duchów, w objawieniu się nagłym naszej wewnętrznej polskiej natury, która teraz oszukana jest i uspio-ną brzękiem różnych opinij.

Wiedzy dostań! a bądź jako chłopiek, który już teraz trzema słowy Kopernika o stojącym słońcu wiedzący, lepiej krażenie gwiazd niebieskich rozumie niż najmędrszy przed Kopernikiem żyjący astronom.

Nie lękaj się! że jako dziecko w początkach będziesz szczebiotała pomiędzy ludami, nie mogąca zrazu wytłómaczyć się wyraźnie z zapałów twoich. Zapały te kraj ci jakby we śnie stwórzają, a ty go ugruntujesz, skoro ci już w ręce nie myśl sama, ale kamień się formy dostanie.

Ideą podbijaj duchy narodów, aż cię ukochają dla wielkości i anielstwa celów twoich! A wszyscy dopomogą do czynu.

Któż pomoże ludziom niepotrzebnym, którzy oświadczają wyraźnie, iż chcą dom swój na to tylko odebrać, aby w nim używali dostatków i wezasów, albo czynili rzeczy pracom innych narodów podobne?

Twarz swoją duchową wymaluj przed narodami! a żaden lud nie zaśnie, ale westchnie, aby się twarz ta ciałem zjawiła.

Przytomną się uczujesz w każdej godzinie między narodami, i już nie żebraczka narodów, już nie próżno płody ziemi jedząca.

Oto już opinią jest, że myśleć nie umiesz a dobra tylko jesteś do korda, jak gdybyś ty nie wzięła testamentu żadnego po ojcach twoich i nie wiedziała o żadnym ducha polskiego rozkazie!

Na obchodach przewodniczą ci cudzoziemcy, którzy we własnych narodach żadnej mocy nie pokazali. A ty godność swoją unizas przed wyznawcami cząstkowych i nieznanych opinij.

O jakże się cieszą ci ludzie, gdy nie znalazłszy we własnym narodzie słuchaczy, w zlewku barbarzyńskiego (jak sądzą) narodu mogą przewodniczące krzesła zajmować!...

Niepoczucie ducha własnego jest grzechem twoim, Emigracyo, grzechem, który będzie przyszłość, ku celom bożym idąca, sądziła.

Zakończę przypowieścią:

Pewnego dnia — gdy kry na Wiśle pękały a mosty były zerwane — pokazało się ludowi warszawskiemu na drugiej stronie Wisły cudowne zjawienie:

Ojczyzna — niby przez sto lat niewidziana a w anioła przemieniona tęsknotą ludu, a słońcem przez Boga ukoronowana, stanęła nad wodą i wyciągnęła ku ludowi swojemu swe matczyne ramiona, prosząc, aby ją wzięli synaczkowie wierni i przenieśli przez Wisłę i postawili w stolicy ducha.

Lud więc cały, z krzykiem i wrzaskiem, postrzegłszy matkę swoją na drugim brzegu stojącą, zapragnął jęj ogniście.

Lecz żadnego nie było, ktoby umiał pływać; mosty zaś były zerwane.

I rozpacz lud ogarnęła.

A widzenie trwało jakoby przez dziewięć godzin dnia zimowego.

Jedni rzucali się w wodę i tonęli; drudzy szli aż po szyję, a dna nie znalazłszy już pod nogami, wracali; inni chcieli budować pontony i posłali do Francyi po inżynierów; inni wreszcie zaczęli bić profesory, których obowiązkiem było uczyć w szkole sztuki pływania.

A gdy widzenie zniknęło, smutek był po umarłych i większy jeszcze żal po ojczyźnie straconej.

Wszakże znów stanęli starzy ludzie, którzy naród cieszyli nadzieją, mówiąc:

„Miéjcie dobrą otuchę: albowiem anioł ten niezawodnie pokaże się nam, nim pomrzemy.

A uczyni to albo zimą, gdy lód będzie na wodzie, albo latem, gdy mosty rzekę nam do przejścia łatwiejszą uczynią.

Dla czegożby miał znowu obierać Wielki tydzień, a pojawiać się jakby na udręczenie nas biédnych?

Wszakże widział, jak oto nawet, tonąc dla niego, umiemy tysiącami ofiarować mu życie nasze. A pełni jesteśmy odwagi.

Ufajcie tedy Bogu, a miéjcie oczy silnie zawsze na tamten brzeg obrócić, a nawet krzyczcie głośno wszystkimi głosy: „pokaż się“ — może usłyszy!“

A jeden człowiek był, który nie krzychał, owszem naganiał owe próżne bezsilne krzyki i wołania; a sam co rano, rozebrawszy się do naga, biodra swoje przepasywał i rzucając się do wody, mordował się z Wisły falami....

Aż mu pierś ową pracą rozrosła się, a oddech posilniał tak, że nietylko na wodzie, ale pod wodą mógł zostawać całe godziny.

A inni mówili, że szalony jest i głupiec, bo pod wodą chodzi a żadnych ryb nie wyciąga.

Czy pereł szuka — krzyczeli — a tego nie wie, iż perły są w morzu, a Wisła jeno muł ma na spodzie i chwasty?

Wszakże uczyli się pływać od swoich profesorów.

A do Francyi posłane niektóre, aby się w sztuce inżynierskiej wyćwiczyli.

I stało się, że dnia jednego dał się słyszeć głos niby z pod ziemi wychodzący, który wołał: „Ojczyznę waszą jestem! znów przychodzę.“

A lud, zbiegłszy się nad Wisłę, słuchał! I głos ten niewidzialnymi usty wydany słysząc, radował się... wpadł w szaleństwo!

Lecz około jakby wieczora, nie widząc nigdzie anioła — gdy nareszcie i wołanie ono ustało — wrócił do domu smętny, mówiąc: „Wiatr był i złudzenie!“

Sam jeden człowiek ów, który się był nauczył pod wodą oddychać, nie stracił nadziei; albowiem, uważniej głosu słyszanego pilnując, przekonał się, iż ten, jakoby od Krakowa ku Gdańskowi, spodem wody wędruje.

Upatrzawszy więc czas i minutę... gdy anioł podwodny (ciągle idący) był mu najbliższy... rzucił się w toń, ofiarowawszy wprzód Bogu życie swoje.

I w obec tej garstki ostatniej — która jeszcze na brzegu stała smutna, zniechęcona i bez nadziei, a jeszcze trzymała w ręku mosty gotowe i odwagę miała rozpaczy — zjawił się rybak ów podwodny, lecz jakby umarły, a niesiony na rękach przez anioła jasnego — przez Ojczyznę!...

A Ojczyzna szła do miasta, niosąc ciało jego i mówiąc: „Nie umarł, ale śpi, a tylko w omdłałość wpadł, gdy mię pod wodą twarz w twarz zobaczył i samotny się ujrzał, że mnie jeden wyciągnąć nie zdolny.

Oto przez wolę i miłość jednego człowieka, który się domyślił drogi, po której pójde, wyratowaną jestem i żyć będę na wieki.“

* * *

Uczcie się, iż potrzeba jest zgłębić dno globu a obaczyć tajemnicę żywota i nauczyć ducha waszego, aby przez całe godziny mógł żyć w głębiach wiedzy bożej jako duch widzący świat ducha.

W środku aż bowiem ziemi może się pokaże anioł ów ze słońcem na głowie i z miesiącem stratowanym pod nogami, o którym mowa jest w Jana św. *Widzeniach*.

REPUBLICANIN Z DUCHA.

GŁOS BRATA JULIUSZA SŁOWACKIEGO

DO ZGROMADZONYCH

I W KLUB ZAWIĄZAĆ SIĘ CHCĄCYCH POLAKÓW,

PRZEDSTAWIAJĄCY POTRZEBĘ PRZYJĘCIA NOWEJ FORMY
KONFEDERACYJNÉJ.

(19 MARCA 1848 ROKU.)

Wezwany i z miłością tu zaproszony przez kilku braci moich, abym myśl moję w sprawie przyszłego powstania narodowego objawił: pozwólcie, że zapytam naprzód: czy już jako *klub* zebrani tu jesteście? bo w takim razie, przeciwny klubowi, zgody zaś waszój mięszać nie chcąc, żadnego nie miałbym prawa, z myślą nową, na naradę prywatną i nie przy drzwiach otwartych odbywającą się, przychodzić.

(Tu jeden z członków zebrania oświadczył, że chociaż istotnie zamiarem zebranych jest zawiązanie klubu; wszakże nie przeszkadza to proponowaniu nowych opinij, których zgromadzenie chętnie wysłucha. A wtenczas brat nasz tak dalej mówił.)

Wiadomo wam wszystkim, M. Panowie, że w formowaniu się kryształu pierwszy atom i zawiązek, z którego kryształ powstać ma, już ten kształt i tę formę zachowuje, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje się, i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno wszelkim organizowaniom się ducha w ludzkości. Ani forma, ani nawet nazwisko téj formy, nie może być obojętném. Widzieliście sami w ostatnich wypadkach Francyi, jak lud w tém

słowie *republika* rozmiłowany i do najwyższego stanu exaltacji magicznym jego wdziękiem prowadzony, na ratuszu o republikę dopominał się. Widzieliście, jak wyrobnik do zgromadzonego rządu przez bagnety przedzierał się, pierś obnażał, nóż podawał i wołał: albo mięż zabij, albo mi daj republikę. Forma więc dawna, przed kilkudziesięcior laty użyta, teraz wywołana — a taki czar wywierała, chociaż sami to wiecie, że przez cały czas trwania Restauracji i konstytucyjnego królestwa formę tę umyślnie hańbą okryć, krwią ohydzić i z oczu usunąć, wszędzie, a nawet w edukacji publicznej rządu staraniem było.

Tak samo działo się w Polsce przed powstaniem 1830 r. Nauczyciele, którzy młodzież wychowywali, może bezwinnie, lecz systematowi Caryzmu, który na zjednoczeniu cieleśnym stoi, usługując — a może też z powodu przygasłego na czas ducha polskiego — od myśli republikańskiej polskiej młodzież odstręczali — nazywając ją anarchią, jęj przypisując wszystkie nieszczęścia kraju. Natomiast zaś wpajali w młodzież potrzebę zgody, przez zgodę nie rozumiejąc — tak jak być powinno — godzenia się na jedno w duchu miłości i prawdy — lecz wystawiali zgodę jako bezwarunkowe poddanie się woli jednego człowieka, niepomni na to, że Ewangelia sama od każdego poddania się błyskawicami sądu ostatecznego odstrasza; że sama natura święta i wysoka ducha polskiego nigdy na takie poddaństwo zgodzić się nie powinna. Jakoż wyexaltowana tymi naukami młodzież, zawsze nad cel ofiarami swoimi wylatująca, zaprzysięgła w duchu, że w pierwszej chwili, gdy ją wskrzeszenie Polski do ofiary zawoła, myśli swoich, ani uczuć rozsądzać nie będzie, ale któremukolwiek i jakimubądź na czoło stojącemu człowiekowi bezwarunkowo się podda.

Gdy więc wybuchnęło w kraju powstanie, nietylko że o formach polskich żadnej mowy nie było, ale nawet wydobycie tych form uważano by wtenczas za zdradę sprawy narodu. — Próżno duch wielki polski czuł to powstanie z całą straszną potęgą jakiejś niebieskiej i zagrobowej sprawy podnoszące się; próżno lud, przepełniony wróżbami, patrzył na te czerwone, ogniste zorze i światła, które nad Warszawę przybiegły i zdawało się, że świętego ducha Ojców wywoływały: Przeciwno temu duchowi wyszedł rozum

nie z siebie, ale ze źródeł obcych czerpany, i czterma przeciwnymi sobie formami wytrysnął.

A naprzód, jak wiecie, wywlokła się z ciemności drżąca o przyszłość zgrzybiała starość, i w postaci *Rady administracyjnej* pod kopułą banku usiadła — zagładzić chcąc dzień wczorajszy, jako dzień przelotnego zapału i grzechu, który następstwami swymi rozsądnie i dobrze myślących ludzi o jutro zatrzymała.

Z drugiej strony element szkolny, jak mówiłem, do strasznych ofiar przygotowany, po formę i po nazwisko téj formy aż do szkolnych nauk, aż do Greków i Rzymian poszedłszy, postawił *Dyktaturę*, gotów jęj bronić z całym zapałem i pedantyzmem młodości.

Inny nareszcie Duch z książek już nowych i niby głębszych czerpany, duch niemiecko-francuski, tworzyć rozpoczął *Kluby*, i na różnych pryncypiach w Europie nanczas kursujących nadzieje swoje budował. Mochnacki, wyobraziciel téj trzeciej ówczesnej potęgi, był, jak sami wiecie, niepospolitym człowiekiem, wszakże elementu mu polskiego zupełnie brakowało; a że tak jest, świadczy to ono godło sentymentalne, wzięte przezeń z wątpliwości Szekspira i na świętą Polskę gwałtem wtłoczone. Dewiza ta, przezeń przyjęta: *być albo nie być*, przeciwna jest wręcz wierze powstającego Polaka, który ma za hasło *jestem, bo jestem*, jako duch, który się czyni żywym, nieśmiertelnym i od cielesnych potęg niezależącym. Człowiek, któryby z pierwszym godłem przed wami wystąpił, otrzymałby może oklask, jako młodzieniec rozpaczny ostatnie swoje siły na hazard stawiający, ale nie powierzylibyście takiemu sprawy narodu, ani byście się o pierś taką niespokojną z ufnością, jako o pierś narodu oparli.

Czwarty nareszcie element, naśladujący podówczas Francją konstytucyjną, *Sejmem*, a raczej powiem, *Izbami deputowanych*, zamek królewski napełnił. I tak cztery duchy w czterech sobie przeciwnych formach stanęły i, zda się, że o upadek narodu aż do końca walczyły.

A tu, abym wam dowiódł, M. Panowie, że formy polskie nie dla słabości swojej obcym rewolucyjnym formom miejsca ustąpiły, przypomnę ten tylko fakt: że kiedy już wszystko ginęło, gdy wojsko już z kraju wychodziło, to

ks. Czartoryski, jeden z ówczesnych rządu wyobrazicieli, rzucił się i krzyknął na *pospolite ruszenie*. Zaprawdę, to *pospolite ruszenie* — będąc w gruncie *témsamém*, czém są dziś gwardye narodowe *stałe i zmobilizowane* dla Francyi, z taką wtenczas rozpaczą na pomoc wezwane, o potędze nieśmiertelnych form, przez wolność polską wynalezionych, daje świadectwo. Są to nawet za mocne i niby heroiczne lekarstwa, które tylko sama silna polskiego ducha organizacya wytrzymać mogła.

Tak było w kraju.

Gdyśmy na Emigracyą przybyli, duchem francuskim już całkowicie owładnięci, zaczęliśmy tworzyć *Komisye, Komitety i Towarzystwa*. — Formy te, krajowi zupełnie obce, żadnego już wpływu na kraj nie miały, żadnego entuzjazmu w sercach naszych wzbudzić nie mogły. — Jakoż rozpadły się przerdzawione nudą i smutkiem tak, że nastąpiło jedno tylko *Towarzystwo demokratyczne*, ponieważ o wolności mówiło, stało się dla młodzieży naszej obudzającym i ponętym żywiołem. Wszakże tęsknocie jakiegóś ducha polskiego, za wielką duchową wolnością utęsknionego, wystarczyć i odpowiedzieć nie mogło.

Teraz tworzy znów Emigracya *Komisye*; a wy, jak widzę, *Klub* zawiązać chcecie; pozwólcie więc, że o potędze działalnój, która z samój formy rodzi się, a częstokroć natury jój przekroczyć nie może, cokolwiek powiem.

Kluby — pomnę to, że w kraju smutną pamiątkę zostawiły i dotąd żadnój ufności wzbudzić nie mogą — Kluby, M. Panowie, w naturze to swojój mają, że z różnorodnych osób złożone, w nocy najczęściej przy latarniach, przy szczęku broni i bagnatów ognistą i krwawą mową rozexaltowane, na zewnątrz wylać się umieją i sprawę już zaczęłą popchnąć są zdolne. Mają one siłę wsparcia. Nabijaniu broni podobne, dopóki radzą; nabite — działać mogą siłą wystrzału. Lecz uorganizować, ani walki prowadzić z wewnętrznym i zewnętrznym wrogiem, długięj, zaciętej, nie umieją.

Komitety, jako formy, zamykają tylko w sobie *Rozząd* i *Reprezentacyą*.

Komisye, formami są ducha *usługi i wykonania*.

Żadna z tych form, jak widzicie, nie jest taką, ażeby w sobie zarazem *ruch*, *wiązanie się* i *zarząd* wyobrażała.

A my jednak, jako Polacy, za cel to dziś sobie wziąć powinniśmy, żeby nie tylko liczbową pomocą być dla kraju, ale umodelowanym, że tak powiem, na wolnej ziemi posągami Ojczyzny, w którymby już pierwsze zarysy i pierwsze światła swęj świętej i wolnej przyszłości zobaczyła. Mówiąc to, przeciw pokorze nie występuję. Do nas należy w ruchach i w czynnościach naszych przedstawić krajowi takie formy, któreby mu w olbrzymiej walce o wolność szybko zjednoczyć się i zorganizować się dopomogły. Cierpieniom wygnania długiego winniśmy, że nam w ten sposób przewodniczyć nie wzbronno.

Jest forma przez wielkie i czujne Przodki nasze ku obronie wolności wystawiona, która wielokrotnie Narodowi naszemu w walce z postronnym wrogiem i z wewnętrznym intrygantem lub cudzoziemcem posłużyła — forma, której wewnętrzną naturą jest *ruch* i *ciągłe działanie* — forma, która nie wyklucza miłości, bo zwykle się zdarzało, że zwyciężywszy zło panujące w narodzie, forma ta unżyła się sama, rachunek z czynów swoich przed istniejącą władzą składała, i z pocałowaniem rąk od prześląganego Ojca i Króla narodu odchodziła — forma, której natura jest *jedność*; bo gdziekolwiek stanęła, tam wszystko przed jej potężną władzą zamilknąć i ustąpić musiało. Jak jest straszną ta forma, tém tylko dowiodę, że kiedy w Emigracyi pozwolono nam formować Komisyje, Komitety, Towarzystwa; kiedy wszystkie te igraszki naszej chęci urzędowania rządu tolerowały: to forma, o której mówię, raz jakimś instynktem w Emigracyi wywołana i postanowiona, skoro tylko zabłysła, wnet wywołała prześlądowanie. Car, znawca prawdziwy rzeczy rzetelnie niebezpiecznych, upomniał się wnet przez swoje ambasatory, aby tę garstkę ludzi, którzy mu strasznego upióra wskrzeszali, z Paryża wypędzono. Tu już wszyscy zapewne, Mości Panowie, domyślicie się, że ta forma, o której mówię, jest to:

KONFEDERACYA!

Zaprawdę! przyszedłem tu z tą myślą długo w duchu noszoną, abyśmy teraz tę formę, a potem wszystkie inne polskiej wolności kształty do ludu rozszerzyli, do czasu zastósowali i tychże form do odbudowania kraju naszego użyli. Potrzeba więc, abym się nieco jaśniej, mówiąc o formie konfederackiej, wytłómaczył.

Jeżeli to jest prawdą, że doskonałość form ludzkich rośnie, o ile się coraz bardziej do pojęcia i do naśladowania form niebieskich zbliżamy — jeżeli już konstytucyjne rządy pokazują się nam jako zrealizowanie politeizmu, jako sprowadzenie Olimpu na ziemię — jeżeli istotnie król konstytucyjny, pod swoją zaprzysiężoną kartą siedzący, wygląda coś na Jowisza pod księgą losów; a sejm rozdzielony na dwoje, bogi nam na dwie strony rozdzielone wyobraża: to teraz nowe przeczucie i wespół ujrzana, a na Trójcy oparta, *Nieba chrześcijańskiego* budowa, powinna by nam w wybudowaniu najwyższej ziemskiej doskonałości przewodniczyć. Sądzę, że tak położonej rządów zasadzie *forma konfederacji* odpowiada.

Wicie wszyscy, że żadna konfederacya powstać i zawiązać się nie mogła bez uprzednio wprzód, a często z hazardem życia położonego *вето*. Istotnie więc, jak to widzicie, że naczelną *osobą* konfederacyi była *idea* czyli duch i myśl tego zaprzeczenia, które potem w sercach wszystkich powszechny odzew znajdowało i naród cały w tej jednej myśli kojarzyło. Pod tą *osobą* — którą dziś, jak sądzą, uwidzialnić i w człowieku postawić będzie potrzeba, — stawały dwie drugie osoby, przez zapał idei wybrane i okrzyknione za równe sobie, w trzecim duchu onego to zaprzeczyciela i *ojca* konfederacyi stojące i połączone. W istocie więc każdy urząd konfederacki był *trójcą*; a władza jego w *jedności* rządząca, chociaż samowładna i dyktatorską prawie miecza potęgą obdarzona: przez dziwny czar jakiś — a tylko samym duchowym rządom właściwy, indywidualnej wolności nie obrażała. Trójce te i to w sobie miały, że po wszystkich prowincjach, na *jedności* zaprzeczenia, lecz według różnego ducha tychże prowincyj w chwili jednej zrodzone, Trójcy najwyższej poddawały się i za rozkazem jój w okamgnieniu niknęły.

A tegoż nam potrzeba, M. Panowie, w naszej konfederackiej robocie. Bo byłoby to z hańbą naszą i z obrazą wielkiego majestatu narodowego, gdybyśmy formę jaką stworzyli, któraby się w mgnieniu oka, przed krwią ochrzczoneą, przed najwyższą Trójcą Narodu, z wielkiego uszanowania i miłości w proch nie rozpadła. Konfederujemy się więc tu na wygnaniu z całą pokorą doczesną wygnaićców. Niech się ręce nasze tysiącami wiążą i rozlewają miłość i braterstwo po Emigracyi. Konfederujemy potem przyległe do kraju prowincye, aż duchem skonfederuje się ojczyzna nasza, i w jednej chwili, cała skonfederowana, tysiącem trójce konfederackich w oczach nieprzyjaciołom zaświeci. Mam to ufanie, że zadrży potęga cielesnej jedności na strasznym tronie siedząca — noc tę widząc terażniejszą, nagle słońcem Trójcy Warszawskiej i słońcami Trójce Wojewódzkich ognicie rozświeconą. Bo nie potrzeba na to ani spisków na papierze spisanych, ani znaków na piersi noszonych, aby się związać w duchu, oczyma porozumieć, wodze wspólne w sercu ponaznaczać i zegara bijącego najwyższą godzinę wysłuchać.

Oto jest wszystko, co wam z miłości przynoszę na tę naradę, bracia moi! a gdym to uczynił, o to jedno upraszać będę, abyście mi z dalszych narad dnia dzisiejszego ofiarę złożyli — a myśli tu wniesionęj pod dyskusyą nie oddawali. Raccie pamiętać, że formy nasze dawne, są to żywe i zaczarowane, a snem do trupów podobne olbrzymy, które długo w trumnach leżały. Trącając je nieuważnie i bez należytego uszanowania, wstałyby nie ciała, ale prochy i popioły z tych szat, które są prawem ziemi nadpsute i już nieco spróchniałe. Z miłością więc proszę was, zatrzymajcie się z sądem i z dyskusyą, aż się ta forma z żywotem wskrzeszonym obezna, sił dostanie i gotowa bronić się będzie.

Wskutek tego głosu niektórzy z braci przystąpili do związku i podpisali akt zawiązania się w konfederacyą. *)

*) Głos ten był ogłoszony jako osobna broszura, odbita w Paryżu w drukarni L. Martinet, przy ulicy Jacob, 30.



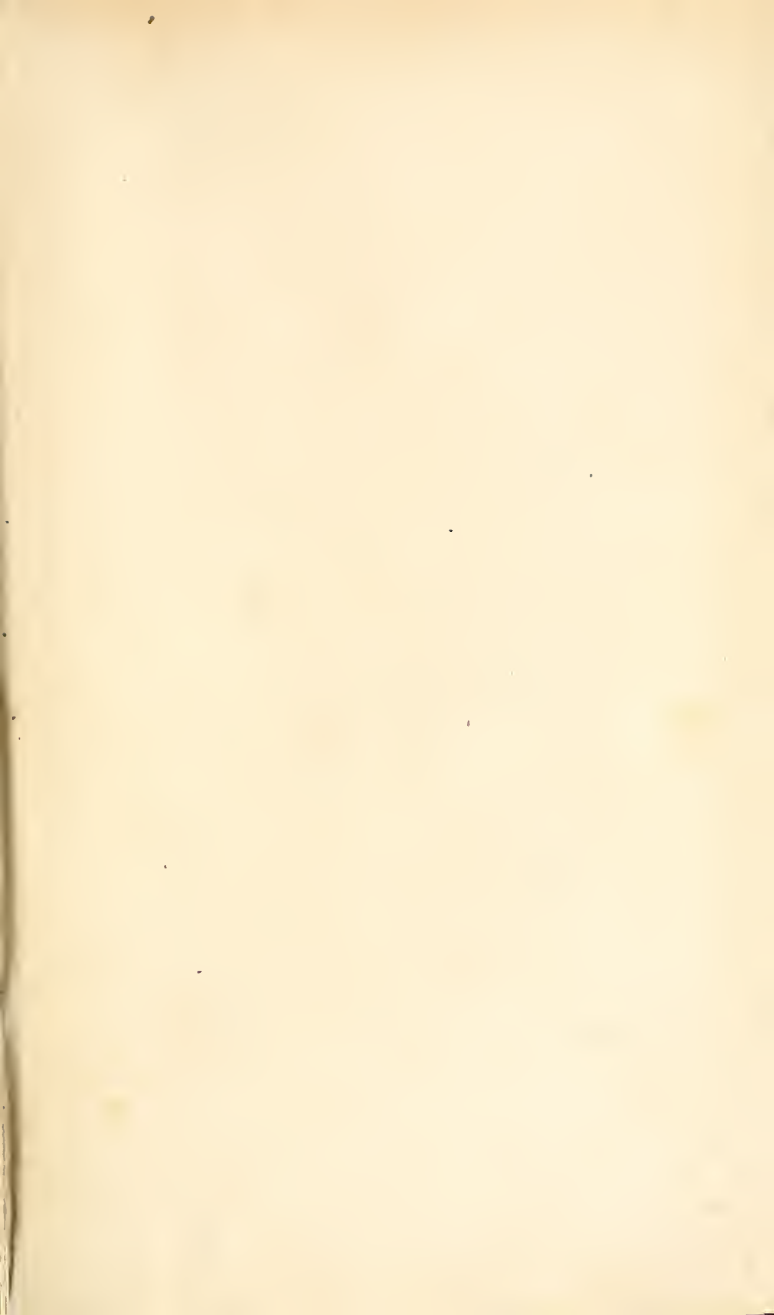
SPIS PRZEDMIOTÓW.

	Str.
Ksiądz Marek	1
Sen srebrny Salomci	91

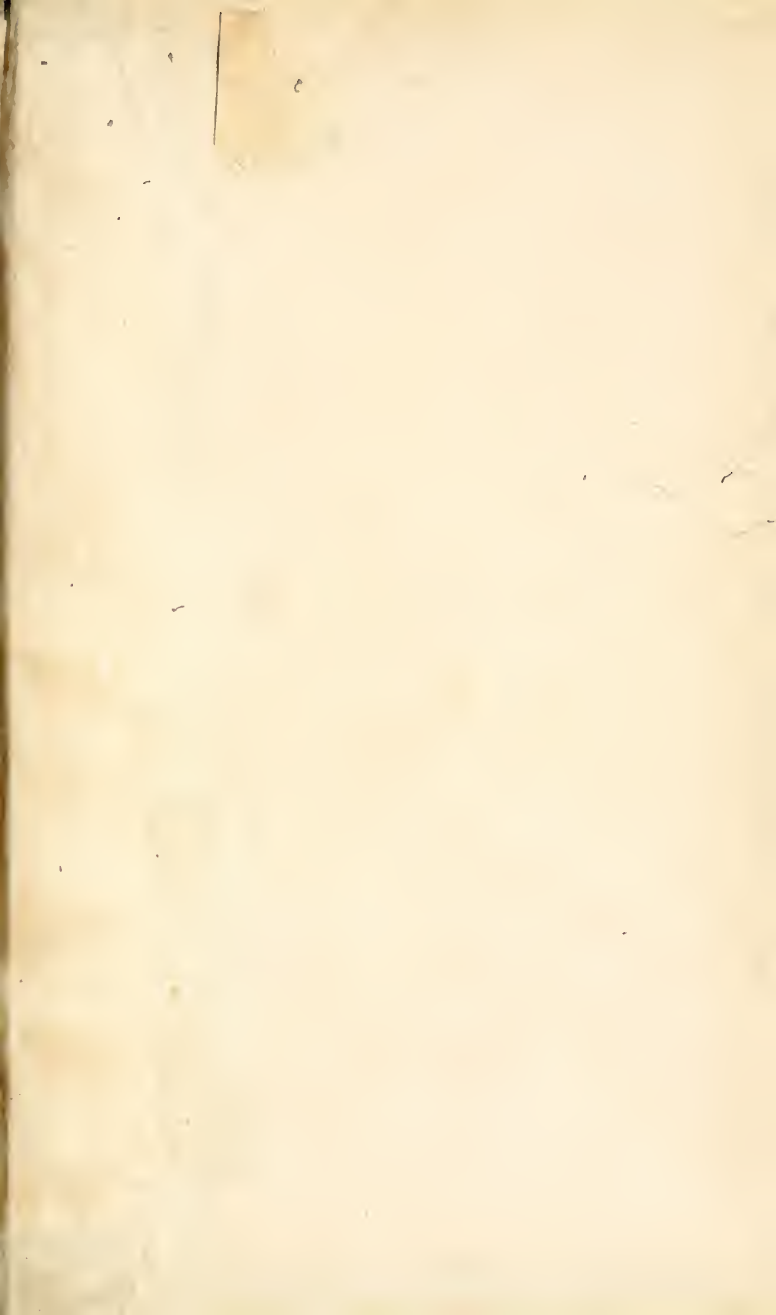
PISMA RÓŻNE PROZĄ.

Preliminarya peregrynacyi do Ziemi św.	217
Trzy poematy Juliusza Słowackiego i t. d.	233
Kilka słów odpowiedzi na artykuł pana Z. K. o poezyach Jul. Słowackiego	237
List do księcia A. C.	241
Do Emigracyi. — O potrzebie idei	249
Głos brata Jul. Słowackiego do zgromadzonych Polaków, na dniu 19. marca 1848	259









00026921449



UNIVERSITY OF N.C. AT CHAPEL HILL